Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 42 (1386) ROK XXVII 20 PAŹDZIERNIKA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Jak rządzić na własnym podwórku?
■ Siatka na węźle
■ Bohaterski dywizjon „Obrońców Warszawy"

Foto: T. Gawalkiewicz

Skandal w Leśmierzu — początek procesu

EDWARD BRYL

Znają się dobrze. Teraz ponownie znaleźli się naprzeciwko: lekarz pewien wygranej, butny — przecież bronią go wzięte adwokackie sławy, duet Mazur i Maisterek — właściciel spółdzielczego M., przy ul. Bratysławskiej w Łodzi segmentu, obecnie już tylko jednego samochodu (drugi niedawno sprzedał) użytkownik luksusowego mieszkania służbowego w Leśmierzu i oni, zagubieni, wystraszeni rolnicy — renciści, pracownicy PGR-u, często z niepełnym podstawowym wykształceniem, żyjący w trudnych warunkach ciasnych wiejskich mieszkaniach, bez wygód — przedstawiciele najuboższej, ciężko doświadczonej warstwy społeczeństwa. Oskarżony błyszczący elegancją świeżością — czuje się jak gwiazdor filmowy, promieniuje lekceważeniem w stosunku do tych szarych, kiepsko sytuowanych ludzików, którzy przecież zawsze byli w jakiś tam sposób zależni od niego, a teraz śmieją podnieść głowy, świadczyć przeciwko niemu...

Sprawa niecodzienna; z uwagi na wysoką szkodliwość społeczną czynu Sąd Rejonowy w Zgierzu zmienił kwalifikację i przekazał ją do instancji wojewódzkiej. Doktor Jerzy Krawczyk, były kierownik ośrodka zdrowia w Leśmierzu odpowiada z art. 239 kk paragraf 1 i 2 wyłudzanie korzyści materialnych... od pacjentów. Powołano aż dwudziestu trzech świadków. Oskarżony nie przyznaje się do winy! Na pytanie Sądu — ile zarabia — długo myśli, w końcu podaje — jedenaście tysięcy miesięcznie. Sąd przypomina, iż w aktach figuruje suma osiemnaście tysięcy czterysta złotych.

— Ach tak, już przypomniałem sobie — mituje się. Do pierwszego listopada 1980 roku pracowałem i mieszkałem z żoną na Śląsku Opolskim, stamtąd przenieśliśmy się do Leśmierza. W ośrodku jest lokal dla lekarza, zajmujemy go nadal — żona pracuje jako stomatolog. Samochód dostałem z ZOZ ze Zgierza, bez żadnych zobowiązań. To, że miałem fiata 125 zupełnie nie przeszkadzało! Wcale nie musiałem nim jeździć na wizyty. Był mój! W trakcie rozprawy wyjaśnia się jednak, że doktor otrzymywał ryczałty za dojazdy na wizyty domowe (zeznanie dyr. ZOZ-u zgierskiego J. Pasińskiego). Wszystkich zgłaszających się zawsze przyjmowałem każdego dnia. Jeśli ktoś nie mógł dostać się do mnie to z winy pielęgniarki Zdziarskiej, pełniącej również funkcję rejestratorki. Ona właśnie utrudniała dostęp pacjentów do mnie. Wystarczyło, że brakowało jakiejś pieczątki w książeczce a już odsyłała. Nie limitowałem też wizyt domowych. Nawet gdyby było kilkadziesiąt, przyjąłbym wszystkich. Nigdy nie brałem pieniędzy w godzinach pracy, chyba że przed lub po. Zdarzało się sporadycznie iż byłem wzywany jako lekarz prywatnie, ale to nie więcej niż raz najwyżej cztery w miesiącu. Nigdy honorarium nie określałem, bo nie miałem prywatnej praktyki. Mówiłem „jak pani uważa". Dostawałem 200—300 złotych. Nie więcej!

Dialog oskarżonego z Sądem toczy się wyłącznie w formie negacji.

Sąd: Przyjął pan od świadka Urszuli K. —

6

Dlaczego szkoła musi źle uczyć?

ANTONI P. TABACKI

Po egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie pojawia się każdego roku szereg artykułów prasowych, w których poddaje się krytycznej ocenie poziom intelektualny kandydatów startujących w eliminacjach po indeksy. Oceny te są mniej lub bardziej rzeczowe, jednak zawsze prawdziwe. We wszystkich tych artykułach poddawana jest surowej ocenie cała szkoła średnia.

Opinią publiczną nie jest jednak informowana o tym, jak owa krytyka przyjmowana jest w szkole, jak ocenia się szkołę i nauczycieli po liczbie zdobywców indeksów... Bywało w niedalekiej przeszłości, że sypały się gromy z wysokości kuratoriów i innych instancji, gdy jakaś szczególna latorośl miała gorszy czas w biegu po indeks. Piszący te słowa doświadczył na własnej skórze skutków oblania na pierwszym roku studiów córeczki pewnie czującego się jegomościa Tatuś, dotknięty takim potraktowaniem córuni w wyższej uczelni, pożalił się swemu kumplowi po fachu w KC. Urzędników zapisujących gruby skoroszyt, nie interesował stopień gramotności tej biedaczki, której wyrządzono krzywdę wabiąc ją punktami preferencyjnymi. Wszystkich interesowało, jak wytłumaczy się nauczyciel mający odwagę wypunktować ze studiów kogoś, kogo najpierw zwabiono mirażem preferencji.

NAUCZYCIELE, KRYTYKOWANI ZBYT CZĘSTO

i ze zbyt wielu stron, stali się już nieczuli na te coroczne porcje batów, serwowanych im z wyższych uczelni. Stając w obronie tych wszystkich szeregowych nauczycieli, „winnych" za złe przygotowanie kandydatów do studiów uniwersyteckich, chciałbym krótko uzasadnić, dlaczego szkoła musi uczyć źle.

Autorzy owych krytycznych artykułów nie zawsze u-

5

WINOBRANIE'84

Jak na lekarstwo

ROMAN KUBIAK

Pierwsze wypiły władze miasta. Była godzina jedenasta minut sześć. W tym momencie dopołudniowa prohibicja została zawieszona w sposób prawomocny. Wino miało barwę rubinu, a i smak pewnie niezgorszy, bo czcigodni notable sączyli je z namaszczeniem. Atoli opróżnione butelczyny skrzętnie ukryto za parawanem, by lud prosty nie dojrzał firmowej etykietki, która bezwstydnie informowała, że szlachetny ów trunek pochodzi z... Jugosławii.

Lud wszelako nie w ciemię bity, darował sobie dworską ceremonię przekazania Bachusowi kluczy do grodu, tudzież folklorystyczne igrce Argentyńczyków i Greczynek; ruszył kupą do szturmu masarsko-cukierniczo-odzieżowych straganów. A że mieszczański nos bezbłędnie wyczuwa dobrą okazję, takoż kto żyw stawał w stumetrowym ogonku po dobra, jakich przez resztę roku nie ujrzy zaopatrzeniowa prowincja.

Jarmark tętnił życiem, czego nie można powiedzieć o nadętym korowodzie, który jako żywo przypominał szkolną akademię. Zziębnięci Latynosi dzwonili zębami, wysportowane dziewczyny pomachały wstążkami, wodzirej w prochowcu à la porucznik Colombo sypał gwarowe kawałki, przejechała furmanka z ogórkami i młodzieńcy na dwukołowych wete-

ranach szos. Bachus prędziutko zwrócił komu trzeba pożyczone klucze, po czym ruch uliczny został przywrócony i tak zakończyła się centralna impreza winobraniowa w Zielonej Górze.

Kto zaś jako tako zaopatrzył się w okolicznościowy towar — rajstopy, kabanosy, szampon, puchową poduszkę i bezkartkową czekoladę, ten ruszał na poszukiwanie owych słynnych beczek z zielonogórskim winem. Wino było, owszem, z tym że w zalakowanych buteleczkach — przeważnie węgierskie i jugosłowiańskie. No i oczywiście miłościwie panujące nam, wszędobylskie kwachy, czyli sikacze, albo jak kto woli bełty. Monopolista „Społem" kultywował tradycję ulicznej sprzedaży trunków, przelewając zawartość flaszek w „gustowne" papierowe kubeczki — po cztery dychy za setkę płynu. Spragniony tłumek krzywił się, złorzeczył, ale siorbał te cuchnące siarką popłuczyny. Cóż miał robić, skoro dla gości ostały się tylko marne ochłapy. W tym roku uprzywilejowani byli mieszkańcy miasta. Tydzień wcześniej z centralnego rozdzielnika skapnęły do zielonogórskich sklepów przednie wermuty i szampany. Trzy dni dzwoniły butelki w pękatych torbach tubylców, aż świąteczny zapas wyczerpał

7

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44
zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Strvjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska
Grafik: Janusz Szymański Glanc
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — kalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2854. E-2.

Odgłosy

Przegląd prasy

„(...) w bieżącym roku nastąpiła wyraźna stabilizacja rynku czytelniczego. Po raz pierwszy od wielu lat mamy do czynienia z autentycznym rynkiem prasowym; czytelnik może dokonywać wyboru pism. Model prasy nie jest jeszcze w pełni ukształtowany, zmienia się wszak sytuacja społeczno-polityczna kraju, pojawiają się nowe potrzeby społeczne."

Tak donosi PAP w swej relacji z plenarnego posiedzenia Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL z 11 października br.

I DONOSI SŁUSZNIE

albowiem nowe potrzeby społeczne rosną w tej dziedzinie jak tegoroczne grzyby. Gdyby każdy z tych „grzybków" dostał szansę przebicia się na świat, zawaliłyby się kioski „Ruchu"... Ale związki zawodowe muszą taką szansę dostać. Potrzeba istnienia pisma związkowego, ba, całej prasy związkowej, wydaje się być bezsporna. Jest to wszak jedno ze skuteczniejszych narzędzi artykułowania i obrony własnych interesów. Kto jak kto, ale związki zawodowe mają istotne powody do wzbogacania własnego arsenału środków perswazyjnych.

Mam właśnie przed sobą produkt wstępny, coś w rodzaju próbnika przygotowanego w trosce o zaspokojenie „nowych potrzeb społecznych" — czyli pismo o skomplikowanym tytule — „Związkowiec — Tygodnik Popularny", numer 0 (tak — zerowy). Zdecydowany bowiem ten wstępny numer skierować do kiosków i poddać go ostrej „czytelniczej konsultacji".

Ta pełna determinacji decyzja wypłynęła zapewne z obserwacji na ogół niewesołych losów prasy związkowej w Polsce Ludowej. Wyjąwszy krótki okres w latach ostatnich — od sierpnia '80 do grudnia '81, kiedy to obok naturalnego ożywienia treści prasy sensu stricto związkowej, większość tytułów posługujących się związkowym szyldem służyła w istocie opozycji politycznej — pisma związków zawodowych były z reguły żenująco nudne, bezpłciowe i bez sensu. Po prostu

ZABRAKŁO ODWAŻNEJ, JEDNOLITEJ I KONSEKWENTNEJ FORMUŁY

redagowania. Więcej — brakowało zapewne ogólnej filozofii prasy związkowej, tak jak nie było w ogóle klarownej idei funkcjonowania samych związków.

Teraz trzeba ostrożnie, w czwórnasób ostrożnie, z solidną asekuracją... A jednocześnie ciekawie, niekonwencjonalnie, z rozmachem i atrakcyjnie. Kwadratura koła!

Jest kilka powodów, dla których lubię czytać deklaracje programowe nowych pism (jednym z tych powodów jest fakt, że kilka takich sam napisałem...), ale najważniejszym chyba jest ta swoista schadenfreude, wypływająca z obserwacji późniejszej szarpaniny w trakcie realizacji programowych obietnic.

W szczególnym przypadku „Związkowca — Tygodnika Popularnego" ludzie organizujący pismo sami sobie wysoko podnieśli poprzeczkę:

„Wybierając nazwę tygodnika — określamy jego związek z ruchem zawodowym, kładziemy szczególny nacisk na źródłosłów, pochodzenie przymiotnika od łacińskiego „populus" — lud. Być popularnym — to być blisko ludu."

A ja myślałem, że nie blisko, a z ludem samym, wewnątrz jego struktur. Ale mniejsza o spory nad sensem obcojęzycznych słów. Czytajmy dalej:

„Jak realizować to wskazanie?

JAK ZABIEGAĆ O POPULARNOŚĆ?

Czyni się to niekiedy — bywa, że nawet z zaskakująco dobrymi rezultatami — w sposób tani. Schlebiając, uprawiając demagogię, głosząc prawdy pozorne, mile łechtające wyobraźnię, potwierdzające stare schematy.

Taka popularność ma jednak krótkie nogi. Zbyt krótkie jak na potrzeby polskiego świata pracy, ruchu zawodowego, sytuacji, w jakiej się znajdujemy.

Zespół redakcyjny tygodnika związkowego zamierza, traktując funkcję „tygodnika" jako służbę interesom ludzi pracy w socjalistycznym państwie, służbę ideałom sprawiedliwości społecznej ukształtowanym w ogniu walki klasowej ruchu robotniczego, w procesach społecznych przeobrażeń, w których klasa robotnicza, ruch zawodowy były podmiotem, siłą napędową przemian, partnerem, weryfikatorem osiągnięć".

Pokrętna stylistyka tego ostatniego zdania uniemożliwia dokładne zrozumienie, co właściwie zamierza zespół tygodnika (może najpierw powinien nauczyć się gramatyki?), ale sens jest mniej więcej jasny. Poprzeczka wysoko — nie wiem tylko ile prób przewiduje regulamin skoków. Tylko trzy, czy może kilkadziesiąt? Aż do skutku?

Popularny nie oznacza żadną miarą, że lekki, łatwy i przyjemny. Ale czy musi zaraz oznaczać, że koturnowy, pryncypialny i słuszny? Marzy mi się pismo związkowe, które byłoby bojowe, agresywne, może nieco demagogiczne, dokuczliwe, bezkompromisowe, nawet prostackie jakby, pyskate i obdarzone chwytem buldoga. Ale

WSZYSTKO W GRANICACH PRAWA

oczywiście.

Sprezentowany opinii publicznej próbnik tygodnika związkowego ma niewielkie szanse na taką właśnie formułę, a moje marzenia wcale nie muszą być normą, tak są subiektywne. Ale pewne zadatki są — mam tu na myśli dwa teksty. Pierwszy głęboko niesłuszny i demagogiczny o politycznych i społecznych implikacjach afery z jachtem typu „Carter" sprzedanym za grube miliony Andrzejowi Jaroszewiczowi. Drugi — rozwichrzony i mocno „pod prąd" — o palącej potrzebie zrezygnowania z protokolarnego sztywniactwa w relacjach z oficjalnych imprez z udziałem najwyższych czynników partyjno-państwowych, ba, głoszący pochwałę „uczłowieczającej" anegdoty w opisywaniu naszego życia publicznego.

Z ciekawostek mniej strawnych — nazbyt wydumana, pseudonowoczesna tzw. szata graficzna pisma poważnie utrudnia jego odczytywanie...

Natomiast odczytanie innego tekstu z ubiegłotygodniowej porcji gazet przyszło mi z trudnością z powodów dalekich od formy druku. Jest to

ODPOWIEDŹ PUŁKOWNIKA KWIATKOWSKIEGO

na zarzuty licznych polemistów pt. „Urażonym inteligentom i inteligencikom co należy" („Polityka" — nr 41 — 13. 10. 84).

Docent Stanisław Kwiatkowski miał ułatwione zadanie, bo większość polemik z jego poglądami, prowadzonych przez autorów listów do „Polityki" była rzeczywiście nie na poziomie, albowiem dotykały one spraw, których Kwiatkowski nie podejmował. Albo tylko udawał, że podejmuje, do czego teraz się przyznaje.

Ale cóż powiada Kwiatkowski, triumfując z chichotem? Ano — że nikt go nie zrozumiał, że wszyscy zarzucili mu poglądy antyinteligenckie i prorobotniczą demagogię o sztucznie klasowych treściach. Tymczasem on, skromny badacz rzeczywistości, chciał tylko przypomnieć parę prawd podstawowych, co do których i tak z góry „nie liczył na zgodę".

Jedna z tych tez jest mi bliska — że inteligencja w jednolitej postaci, jako zintegrowana warstwa społeczna nie istnieje. Dalej już same różnice — obiecuję zatem pułkownikowi Kwiatkowskiemu spisanie niebawem protokołu rozbieżności, albowiem nie można uchylać się od polemiki merytorycznej z jego poglądami, chociaż jest to zajęcie niezbyt przyjemne, jako że pułkownik bardziej woli polajanki i demagogiczne hasła niż argumenty, o czym przekonał się Daniel Passent.

Docent Kwiatkowski w swych polemikach realizuje bowiem

PRAWO DO ROBOTNICZEJ ŻYWIOŁOWOŚCI

wypowiedzi i zachowań. Prawo, które przyznał klasie robotniczej i sam nie omieszkał z niego korzystać „pełnymi garściami". Zapominając wszakże, że robotniczą żywiołowością można zbyt wiele usprawiedliwić — nie chcę mu przypominać expressis verbis paru wypowiedzi „robotniczych" sprzed trzech lat, bo to byłaby tania demagogia. Żadnymi jednak wyimaginowanymi „prawami" nie wolno zasłaniać obowiązku myślenia przed mówieniem i odpowiedzialności za słowa, panie pułkowniku.

Ale dajmy sobie spokój z poważnymi tematami. W tym samym numerze „Polityki" mamy bowiem teksty zabawne, wręcz znakomite — zwłaszcza „Moją teorię higieny" Zygmunta Kałużyńskiego, który przyznaje się, że mimo osobistych wysiłków uważany jest za osobnika brudnego i niechlujnego. W związku z tym poczuł się zmuszony do sformułowania teorii, wedle której *„człowiek ma myśleć, nie sprzątać"*.

Nie podzielam tej opinii bez zastrzeżeń, zwłaszcza w dziedzinie tzw. higieny osobistej nie przypuszczam też, że

UMIARKOWANY BRUD JEST RZECZĄ POŻYTECZNĄ

— wprost przeciwnie. Jednak — jako zdecydowany przeciwnik wszelkiej przesady — nadmierną troskę o higienę i porządek, troskę graniczącą z manią prześladowczą a zastępującą możność myślenia, uważam za szkodliwą dla rodzaju ludzkiego.

Zwłaszcza polska norma obyczajowa jest w kwestiach higieniczno-porządkowo-estetycznych wyjątkowo paranoiczna. Na użytek osobisty liberalna jak cholera, w życiu publicznym zaś sztywna i koturnowa jak japoński teatr marionetek. Bowiem ocena formy zawsze przeważała nad treścią. Najdotkliwiej przekonał się o tym wicepremier Rakowski w ubiegłym roku, gdy „światła i higieniczna" publiczność telewizyjna rzuciła się na niego za podwinięte rękawy koszuli, rozluźniony krawat, przygrażający palec i podniesiony głos — w dupie (mam nadzieję, z umiarkowanie czystej...) mając argumenty i ogromną, rzetelną dokumentację głupoty licznej rzeszy współobywateli.

Z tym wszystkim wolę rozwichrzonych brudasów od pewnych siebie, wypolerowanych higienistów — zwłaszcza w dziedzinie obyczaju, moralności i polityki.

Na zakończenie

DWIE UWAGI DOTYCZĄCE „ODGŁOSÓW"

a właściwie naszego bytowania w społecznym obiegu informacji. Pierwsza uwaga dotyczy „lewego marginesu" w „Przeglądzie Tygodniowym" (nr 42 — 14.10.84), który bez żenady dwukrotnie cytuje nasze teksty, nie podając oczywiście źródła; chodzi o anegdotkę z puszczańskiej szkoły o zbędności czytania lektur, gdyż i tak są to same pierdoły oraz o przypadek cukrzyka skierowanego do Izby Wytrzeźwień.

Druga uwaga dotyczy rymowanego wierszydełka opublikowanego w Karuzeli (nr 19 — 15.10.84) przez Bogdana Koprowskiego pod długachnym tytułem „W związku z drukiem w odcinkach na łamach tygodnika „Odgłosy" powieści Zbigniewa Nienackiego pod tytułem „Raz w roku w Skiroławkach". Oto fragmenty dzieła:

„Gryzę paznokcie i mierzwię włosy
— Dziś się ukażą nowe „Odgłosy"
A w nich krew w żyłach mrożąca scena:
Elwira... gwałci Nepomucena!

i tak dalej jeszcze przez parę zwrotek rymowanki, aż do konkluzji:

„Dziwisz się czytelniku, że świat nie lepszy
Jeśli tak wszystko w koło się pieprzy?!

No i fajnie. Muszę jednak zmartwić pana Bogdana Koprowskiego i dziesiątki tysięcy czytelników „Skiroławek". Zmartwić i ucieszyć jednocześnie. Nieubłaganie bowiem kończy się powieść Zbigniewa Nienackiego. Ale za to mamy dla wszystkich coś nowego, mianowicie **„RAPIER NAPOLEONA"**.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

DZIEŃ EDUKACJI NARODOWEJ

zwany dawniej skromniej — Dniem Nauczyciela, obchodziliśmy w ubiegłą niedzielę. Było to święto przede wszystkim pięciuset tysięcy nauczycieli i wychowawców polskich szkół i przedszkoli — święto osłodzone deszczem odznaczeń i nowymi przywilejami zawodowymi z jednej strony, z drugiej zaś nieco przyćmione bieżącymi bolączkami oświaty — brakiem szkół, podręczników, wykształconych fachowców — i niewesołymi perspektywami w tej mierze. Te fatalne prognozy przyszłości naszej szkoły spowodowały przecież, że ogłoszono społeczną mobilizację — Narodowy Czyn Pomocy Szkole — który ma wspomóc niewystarczające wobec potrzeb i braku materialnych możliwości, działania administracji.

KOLEJARZE CHYBA ZWARIOWALI...

westchnie zapewne każdy jako tako obeznany z rozkładem jazdy i warunkami podróżowania przy pomocy PKP, przeczytawszy, jakie to udogodnienia i w jakiej ilości zapowiedziano w nowym rozkładzie jazdy (dopiero od czerwca 1985 r.!...). Bo czego tam nie ma — tylko dla Łodzi nowe połączenie do Olsztyna, Krakowa i na Śląsk, do Ustki na Podkarpacie i jeszcze w parę innych miejsc, o „dalszym doskonaleniu" rozkładu jazdy do Warszawy nie wspominając. Do tego jeszcze pociągi przewożące samochody na specjalnych platformach, a ich właścicieli w kuszetkach... Rozpusta!

Obyśmy tylko, co jest bardzo prawdopodobne, nie obudzili się z ręką w nocniku...

CZTERDZIESTOLECIE

stuknęło w poniedziałek 15 października „Życiu Warszawy". Ten znakomity i popularny dziennik, startujący od prymitywnego, acz już interesującego jednokartkowca tuż po wyzwoleniu Pragi, stał się przez czterdzieści lat poważną opiniotwórczą i na ogół doskonale (bo miał różne okresy) redagowaną gazetą, o pozycji liczącej się także poza granicami kraju. Gratulujemy i życzymy jeszcze lepszej następnej czterdziestki.

NA RETKINI KŁOPOTY Z GAZEM

a mieszkańcy osiedla są zaniepokojeni słabnącym ciągle tempem przebudowy instalacji na gaz niskociśnieniowy. Kolejne terminy „padają" — okazuje się, że brak środków finansowych, nie ma stosownej dokumentacji, nie do końca wiadomo, kto będzie płacił. Tymczasem odbywają się narady — jak zwykle niestety. Obiecujemy, że wrócimy do sprawy niebawem.

UCZTA DLA MELOMANÓW

szkoda tylko, że spóźniona co najmniej o kilka sezonów, odbyła się w ubiegłą sobotę w łódzkim Teatrze Wielkim, gdy na scenie z recitalem pieśni i arii wystąpiła znakomita śpiewaczka Victoria de Los Angeles. Atmosfera wprawdzie była gorąca, okrzyki i brawa głośne, a bisy liczne — ale... gdy się porówna z dostępnymi i u nas nagraniami płytowymi... To już legenda opery i wokalistyki, nie jej współczesność.

VICESEKATOR

NOWY ROK KULTURALNO-ARTYSTYCZNY

10.X. br. w Centralnym Muzeum Włókiennictwa odbyła się inauguracja nowego Roku Kulturalno-Artystycznego 1984/85. Fakt ten stał się okazją by przypomnieć o tym co już zrobiono, a co pozostało do zrobienia w dziedzinie tak ważnej jak kultura w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jest bezsporną prawdą, że w Łodzi odczuwa się niedostatek placówek kulturalnych, z drugiej strony czy aby na pewno należycie wykorzystuje się już istniejące?

Na dziś w Łodzi trwa adaptacja różnych budynków dla potrzeb kultury. Od listopada br. rozpocznie działalność Szkoła Baletowa w odnowionym gmachu przy ul. Wrocławskiej 3/5. Przy alei Mickiewicza trwają aktualnie prace nad nową biblioteką dla miasta, u zbiegu Piotrkowskiej i Zamenhofa jest przygotowywany ośrodek kultury, dla muzealnictwa przeznacza się lokale, które pomogą rozładować ciasnotę łódzkich muzeów i przyczynią się do rozszerzenia prac badawczo-dydaktycznych.

Pamiętamy nie tak przecież odległe dyskusje nad dylematem: czy wpierw budować gmach dla Muzeum Sztuki czy też filharmonię? Najsłuszniejszą okazała się decyzja by budować obie te placówki. Prezydent miasta Józef Niewiadomski jest zdania, że należy zakładać fundamenty i to szybko. Czy stać byłoby dziś Łódź na Teatr Wielki, gdyby ileś tam lat temu nie rozpoczęto prac wstępnych i przygotowawczych? Trzeba zacząć, a wówczas istnieje pewność, że przecież kiedyś prace zostaną ukończone. I to w czasie nie tak znów odległym. Dziś Łódź otrzymała 1.700 mln zł na kulturę, resztę wygospodaruje miasto. Nasze miasto znalazło się wśród dziesięciu województw otrzymujących największe środki z Narodowego Funduszu Kultury. Łódź uplasowała się na trzeciej pozycji od góry. To cieszy i napawa optymizmem, bowiem przeliczając otrzymane środki na statystycznego mieszkańca województwa, okazuje się, iż znaleźliśmy się na pierwszym miejscu w kraju. Wyprzedziliśmy Kraków, Wrocław, Poznań i całą resztę.

Tak więc nowy 1984/85 Rok Kulturalno-Artystyczny zapowiada się dobrze. Oby tylko w tych wszystkich obiektach, o których mówiłem, było co oglądać, słuchać i podziwiać.

Skoro wspomniałem o Centralnym Muzeum Włókiennictwa, nie mogę pominąć faktu, że w jego salach zorganizowana została wystawa pod hasłem „Tkanina Artystyczna w 40-leciu PRL". Jest to więc przegląd — z konieczności wybiórczy — polskiej tkaniny, która od lat święci triumfy w świecie, a Muzeum Włókiennictwa jest miejscem, gdzie wystawiają swoje prace czołowi artyści krajowi i zagraniczni. Łódzkie Triennale Tkaniny Unikatowej jest — obok Biennale w Lozannie — najpoważniejszą międzynarodową konfrontacją osiągnięć, kierunków, tendencji i postaw artystycznych.

Muzeum w przyszłym roku obchodzić będzie swoje 25-lecie. Do dziś zorganizowało 70 wystaw zagranicznych, a jeszcze więcej krajowych. Jest to nasza, łódzka, wizytówka obalająca niesłuszny mit, że Łódź pozostaje ciągle pustynią kulturalną.

Myślę, iż fakt zorganizowania uroczystości inaugurującej nowy Rok Kulturalno-Artystyczny właśnie w tej placówce ma swoją głęboką wymowę.

(ci)

Przed wyborami do samorządu mieszkańców

ANDRZEJ KAROLCZAK

Pięć znaków zapytania czyli jak rządzić na własnym podwórku?

Zbieranie materiału do niniejszego artykułu rozpocząłem od wyszukania w książce telefonicznej adresów kilku komitetów osiedlowych. Potem próbowałem je odnaleźć. W czterech na siedem przypadków, nie udało się to. Nie było lokalu, nie było jakiegokolwiek szyldu, mieszkańcy nie umieli mi wskazać, gdzie się samorząd mieści. Nie znali również nazwisk członków samorządu, choć to przecież ich sąsiedzi, przez nich onegdaj wybrani...

Dopiero wizyta w dzielnicowej radzie narodowej pomogła mi w dotarciu do „zakonspirowanych" ogniw osiedlowej władzy. Samorząd mieszkańców w miastach, w kwartałach czynszowych, starych kamienic, nie ma — w odróżnieniu od samorządowych organizacji wiejskich czy miejskich spółdzielni mieszkaniowych — żadnych prawie tradycji. Toteż nic dziwnego, że zapoczątkowana około roku 1973 akcja powoływania w miarę jednolitego i prawnie usankcjonowanego systemu samorządu mieszkańców nie dała, bo nie mogła dać poważniejszych rezultatów. Prawie każdy widział w bramie czy klatce schodowej ogłoszenia o zebraniu wyborczym, o dyżurach członków samorządu, o czynach społecznych i inicjatywach komitetu mieszkańców — prawie nikt nie traktował tego poważnie. Na zebraniach mieszkańców frekwencja bywała na ogół kompromitująco śmieszna, na dyżurach działacze samorządowi rozwiązywali krzyżówki. Czyny społeczne nader często odwoływano. Były, oczywiście, chlubne wyjątki, ale samorządowa codzienność tak właśnie wyglądała.

Posierpniowa burza odnowy ominęła samorządy. W dobie uzdrawiania wszystkiego, co tylko można uzdrowić i burzenia wszystkiego co się tylko da zburzyć, reformatorzy nie dostrzegli samorządu. Krucha struktura niepoważnej, podwórkowej władzy runęła sama z siebie, bez niczyjej pomocy. (Tu znów gwoli prawdy zastrzec się muszę, że były chwalebne wyjątki).

Dezintegracja społeczeństwa, tak groźna w makroskali, tak niebezpieczna na szczeblu dużej fabryki, dawała się zauważyć już wcześniej — w bloku, w osiedlu. Zaryzykuję twierdzenie, że w bloku i osiedlu najdłużej trwa i — obym był złym prorokiem — najdłużej trwać będzie. Zauważmy, że nawet pewne ożywienie w okresie samorzutnego tworzenia się obywatelskich komitetów odrodzenia narodowego także minęło, powstanie Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego spowodowało naturalny odpływ kadry społeczników od niższego szczebla — szczebla OKON-ów do szczebla PRON-owskich ogniw miejskich, wojewódzkich, centralnych. PRON dał działaczom społecznym nowej generacji szansę zaspokajania swych aspiracji politycznych i społecznikowskich na poziomie znacznie wyższym niż osiedle. Efekt oczywisty! Władza na *własnym podwórku* znów jest do wzięcia, *tylko jakoś nikt jej nie bierze...*

Nie bierze, bo też i atrakcyjność tej władzy jest wielce problematyczna. Pilnowanie trawniczka i rachitycznych drzewek przed domem, zbieranie podpisów pod petycję do władz, aby zmieniły lokalizację przystanku autobusowego albo zlikwidowały sprzedaż piwa w pobliskim kiosku nie jest zajęciem ani miłym, ani prestiżowym. Za to czasochłonnym...

Toteż nic dziwnego, że typowy działacz samorządowy szczebla podwórkowego jest emerytem. Ma czas, rzadko się oddala na dłużej od własnego podwórka, nie zamierza już reformować ani świata, ani kraju. Nawet porządku panującego na tym właśnie jego podwórku nie chce zmieniać. Ma pełną satysfakcję, jeśli udaje się ten porządek zachować, jeśli tylko nie jest gorzej *niż było.*

OD JUTRA BĘDZIE LEPIEJ

Od jutra, bo wybory do władz osiedlowych tuż tuż. A po wyborach — takie są przynajmniej pobożne życzenia działaczy samorządowych — zupełnie serio zaczną funkcjonować przepisy ustawy z dwudziestego lipca ubiegłego roku o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego. Ustawa w pierwszym rzędzie porządkuje dotychczasowy, dość mglisty status samorządów. Najważniejsze wydaje się *Kazimierzowi Rirowi*, przewodniczącemu Komitetu Osiedlowego nr 12 w dzielnicy Widzew, jasno sformułowane w ustawie prawo samorządu osiedlowego do składania naczelnikowi dzielnicy do realizacji wniosków, wynikających z własnych uchwał samorządu. Naczelnik będzie miał wobec samorządu ustawowy obowiązek bądź realizacji tych wniosków, bądź szczegółowego wytłumaczenia, dlaczego ich zrealizować nie może. Pan Kazimierz Rir dużo sobie obiecuje — dotychczas prosił, teraz będzie żądał. Dużo sobie obiecuje również w wyniku personalnego zbliżenia swego komitetu do Dzielnicowej Rady Narodowej. Dwóch członków komitetu po ostatnich wyborach zasiada w dzielnicowym parlamencie.

Nieco inaczej to wygląda z góry, z wojewódzkiego punktu widzenia, który w tym wypadku reprezentuje zastępca przewodniczącego Rady Narodowej M. Łodzi i przewodniczący radzieckiej Komisji d.s. Samorządu Mieszkańców, *Klemens Kwiatkowski.*

Klemens Kwiatkowski widzi najistotniejszą zmianę, którą przynosi ustawa, w usytuowaniu samorządów w klasycznym już duecie: władza z wyboru plus administracja. Samorząd ma — w myśl ustawy — taką pozycję wobec swojej administracji tj. Rejonu Obsługi Mieszkańców jak (przy zachowaniu wszystkich proporcji), Sejm wobec rządu, a Rada Narodowa wobec wojewody, prezydenta, naczelnika.

Przy okazji wymaga to uporządkowania podziału terytorialnego. Nowe kompetencje komitetów i rad osiedlowych wobec ROM-ów narzucają konieczność pokrywania się rejonu działania ROM i samorządu.

Skądinąd rodzi się pytanie, dlaczego dotąd, przez dziesięć lat nikt nie wpadł na ten genialny w swej prostocie pomysł? Może właśnie dlatego, że wówczas już wcześniej zrodziłaby się myśl o uzbrojeniu samorządu w kompetencje wobec ROM, czego żadna administracja nie lubi...

A są to — w myśl ustawy — kompetencje wcale niemałe, bo do kadrowych włącznie. Kierownik ROM może być zaangażowany na tę funkcję po zatwierdzeniu przez samorząd i na wniosek samorządu odwołany.

PIERWSZY ZNAK ZAPYTANIA

dotyczy właśnie prawa samorządu do egzekwowania wykonania swych uchwał od organu administracji państwowej — urzędu dzielnicowego na przykład. Szczerze mówiąc, nie wierzę, żeby ten przepis kiedykolwiek autentycznie zafunkcjonował. Nie byłoby przecież sytuacją zdrową i przez kogokolwiek pożądaną, żeby naczelnik dzielnicy miał nad sobą więcej niż jeden organ przedstawicielski. Jedną radę narodową i kilkanaście podrad, samorządów właśnie. Praktycznie, — co łatwo przewidzieć — owe uchwały samorządów będą docierać do odpowiednich komisji radzieckich i znajdą (albo nie znajdą...) odbicie w uchwałach Rady Narodowej.

Ten przepis ustawy, wynikający z niewątpliwie szlachetnej dążności do „podciągnięcia" samorządu w górę w hierarchii systemu samorządowego jest chyba w gruncie rzeczy pomyłką. Jego ewentualne funkcjonowanie wprowadziłoby nieład w strukturze i zamazanie kompetencji. Może się mylę? Pożyjemy, zobaczymy...

DRUGI ZNAK ZAPYTANIA

postawić można nad rzeczywistym funkcjonowaniem kompetencji samorządu wobec administracji domów mieszkalnych, tych właśnie — cieszących się nie najlepszą sławą — ROM. ROM, co jest publiczną tajemnicą, cierpią na chroniczny brak pieniędzy, materiałów i siły roboczej. Posada kierownika Rejonu Obsługi Mieszkańców nie jest ani atrakcyjna finansowo, ani prestiżowo. Na pewno nie jest marzeniem ambitnych i energicznych ludzi z menedżerską żyłką. Do dziś sytuacja wygląda tak, że samorząd może grzecznie prosić o remonty na przykład, a kierownik — przeważnie — rozkłada ręce. Zresztą, nie musi się specjalnie z samorządem liczyć.

Kiedy sytuacja się odwróci i samorząd będzie miał wobec kierownika środki, nacisku czy nawet nakazu, to ROM-owi od tego ani pracowników, ani materiałów, ani pieniędzy nie przybędzie. Możecie mnie zwolnić — powie kierownik — za te pieniądze znajdę sobie pracę bez problemów. Problem będzie tylko ze znalezieniem nowego kierownika...

Czy będzie w stanie zmienić tę sytuację

PRZYPŁYW ŚRODKÓW FINANSOWYCH

którego samorządy spodziewają się z dwóch źródeł? Dotychczasowy budżet samorządu osiedlowego składa się z pięćdziesięciogroszówek. Od każdego metra kw. powierzchni mieszkalnej, objętego czynszem lokatorskim, pięćdziesiąt groszy wpływa do samorządu mieszkańców. Kiedy tę sumę ustanawiano były to może jakieś pieniądze. Teraz, nawet uwzględniając podwyżki czynszów, te pięćdziesięciogroszówki wystarczą na herbatę i ciasteczka na doroczne spotkanie emerytów, no, może jeszcze na jakieś inne, równie groszowe wydatki. Samorządy oczekują na zmianę, na podwyższenie swych budżetów o przynajmniej jeszcze jedną pięćdziesięciogroszówkę od metra.

Drugim źródłem finansowej mocy samorządu mają być środki rad narodowych szczebla podstawowego, przekazywane do dyspozycji tego samorządu. Jako niepoprawny sceptyk muszę tu postawić

TRZECI ZNAK ZAPYTANIA

Zrozumiałą jest rzeczą, że pieniądze na potrzeby miasta, takiego choćby jak Łódź, skoncentrowane są w rękach władzy miejskiej — w przypadku łódzkim w ręku prezydenta miasta. Sumy, którymi samodzielnie dysponuje władza dzielnicowa są już — i słusznie — nieporównywalnie mniejsze. Wątpię, czy naczelnicy dzielnic będą się chętnie wyzbywać tych skromnych funduszów na rzecz samorządów. Naciąganie krótkiej kołdry jest zajęciem dość jałowym. Rozcinanie tej kołdry na mniejsze kawałki jest już zupełnie pozbawione sensu...

Skoro jednak ustawa stwarza takie możliwości, jakieś tam, skromne sumki wpłyną na konto samorządów. Tymczasem akurat pieniądze są samorządowi najmniej potrzebne. (Pewnie się działaczom samorządów w tym miejscu narażam). Żeby coś zrobić w osiedlu, w sferze materialnej oczywiście, trzeba cementu, cegły, asfaltu, eternitu itd. itp. Póki co, pieniądze są akurat najmniej ważne w trudnym procesie zdobywania tych rzadkich i — nie obawiam się tego określenia — wręcz luksusowych dóbr...

Od pieniędzy ważniejsze są

KOMPETENCJE

Będą ich samorządy miały sporo. Obok wspomnianego wpływu na angażowanie i zwalnianie kierowników jednostek administracji domów samorządy będą miały decydujący głos w sprawach zatrudniania dozorców. Tylko przyklasnąć i życzyć samorządom, żeby udało im się w tej sprawie osiągnąć choć minimalną poprawę. Dozorca — pardon — gospodarz domu — jaki jest każdy widzi. Tutaj znów, niestety, tylko rzadkie wyjątki potwierdzają jakże niechlubną regułę. A podobno chętnych na dozorcowskie posady — i mieszkania! — wcale nie brak nawet wśród absolwentów uniwersyteckiej humanistyki...

Temat na zupełnie inne opowiadanie.

Inne istotne uprawnienie dotyczy wpływu samorządów na funkcjonowanie placówek służby zdrowia. Chodzi między innymi i przede wszystkim o regulowanie godzin przyjęć pacjentów.

Wreszcie sprawa najważniejsza: samorząd ma głos, jeśli nie decydujący, to przynajmniej bardzo znaczący w sprawie tworzenia i realizacji planu zagospodarowania terenu osiedla. Od lokalizacji trawników, zieleńców i placów zabaw, poprzez lokalizację sklepów i punktów usługowych, aż do decyzji o lokalizacji zakładów przemysłowych. W tym miejscu postawić należy kolejny, już

CZWARTY ZNAK ZAPYTANIA

Czy słuszne jest umiejscowienie na tak niskim szczeblu wymienionych kompetencji? Samo życie podpowiada, że nie. Oto władze miejskie w Łodzi szukają miejsca na fabrykę azbestu. Nie będzie to zakład sympatyczny dla sąsiadów, ale powstać musi. Tymczasem, gdzie się nie przymierzyć, płyną ostre protesty mieszkańców... W końcu ktoś ustąpi. Tylko kto? Mieszkańcy zgodzą się na zanieczyszczenia i przykre zapachy czy władza pójdzie na budowę zakładu o dwadzieścia kilometrów od miasta — bez infrastruktury, bez dróg, z dala od kolei?

Łatwo sobie wyobrazić takie osiedla, gdzie dzielni działacze samorządowi wykorzystują wszystkie uprawnienia i tak zwane dojścia: w każdym będzie szkoła i kino, spory węzeł komunikacji miejskiej, w każdym przynajmniej jeden sklep każdej branży. Tylko w żadnym nie będzie restauracji z wódką, pijalni piwa, sklepu monopolowego. No i broń Boże żadnego zakładu! Ostatecznie jakaś szwalnia, tylko żeby nie hałasowała zanadto...

Nieuchronny konflikt między partykularnymi interesami osiedla a interesem ogólnospołecznym, a choćby tylko ogólnomiejskim musi się rozstrzygać gdzieś wyżej, ponad głową lokalnego samorządu. I będzie się rozstrzygał, budząc rozgoryczenie działaczy samorządu, którzy biadać będą nad arogancją władzy, która pozbawia ich ustawowych kompetencji, nadanych przecież przez najwyższą, bo sejmową władzę...

A pozostając jeszcze przy sprawie kompetencji, to ustawa przewiduje przekazanie różnych uprawnień rad narodowych szczebla podstawowego samorządom. Nie teraz, w przyszłości, kiedy samorządy dorosną. Pożyjemy, zobaczymy...

Na koniec rodzi się ostatni już

PIĄTY ZNAK ZAPYTANIA

czyli: kto to będzie robił?

Powinni to robić, jak powiada Klemens Kwiatkowski, „ludzie odważni i rozważni". Słusznie, a nawet pięknie powiedziane. Tyle że dotychczasowa praktyka wskazuje, iż do samorządu jakoś się ludzie nie garną. Kiedy ktoś spostrzeże, że w jego osiedlu jest dogodne miejsce na budowę garaży, a właśnie garażu potrzebuje, to z reguły szuka kilku sąsiadów, którzy też cierpią na brak garażu i wspólnym wysiłkiem, najczęściej wypróbowaną metodą „dojść" załatwiają sobie zezwolenie, szukają wykonawcy, „załatwiają" materiały itd. Samorząd, owszem, przyda się. Przyda się pieczątka z podpisem przewodniczącego na podkładkę dla ostrożnego urzędnika. I tyle. Czy samorzutnie powołany „Komitet Budowy Garaży na Naszym Podwórku" przekształci się w jakieś stałe ciało samorządowe? Gdzie tam, rozwiąże się, jak tylko pierwszy fiat stanie pod dachem... A w samorządzie, jak dotąd, zostaną bezradni emeryci. Nie neguję ich dobrych chęci i doświadczenia, ale póki w samorządzie nie będzie młodych, tych właśnie „odważnych i rozważnych", póty najefektowniejszym i najefektywniejszym działaniem samorządu będzie — bardzo przecież potrzebna — opieka nad osobami w podeszłym wieku, współdziałanie z PKPS, a w najlepszym przypadku skuteczna działalność samorządowych komisji pojednawczych, tych sądów sąsiedzkich, które samorządy winny sprawować, odciążając w miarę możności tzw. „małą Temidę".

A takie śmiałe zamysły, o których mówi Kazimierz Rir, jak walka ze spekulacją, prowadzona przez samorząd wespół z organami śledczymi, pozostanie na długo w sferze marzeń...

Podobnie na długo w sferze marzeń pozostanie wielka akcja porządkowa, jakiej chciałby doczekać na stanowisku zastępcy przewodniczącego RN Klemens Kwiatkowski. Wspomina on — z rozrzewnieniem niemalże — pobyt w Finlandii, gdzie widział śliczne, czyściutkie, pachnące świeżością osiedla.

Przecież — powiada — żaden rząd ani parlament tego nie zrobił. Ludzie zrobili... Żeby tak u nas!

Obydwaj jesteśmy zgodni co do tego, że nieprędko coś takiego u nas, w Łodzi, w Polsce zobaczymy. Choć to tak niewiele...

Obydwaj także jesteśmy zgodni w innej sprawie. Samorządy nie odrodzą się, jak Feniks z popiołów, nazajutrz po wyborach. Będzie to proces na lata, na długie lata. Niektórzy sądzą, że na całe pokolenie...

Nasuwa się tu nieodparcie analogia z reformą gospodarczą. Jej autentyczne wyniki nie będą widoczne ani jutro, ani jeszcze pojutrze. Reforma jest procesem, który praktycznie nie skończy się nigdy, zawsze będzie coś do ulepszenia, skorygowania, poprawienia. To samo czeka samorząd — będzie się długie lata uczył rządzenia na własnym podwórku, uczył demokracji i odpowiedzialności.

Pięć znaków zapytania postawiłem nie po to, żeby straszyć trudnościami. Po to, żeby je zwalczać. Bo żeby zwalczać trudności, trzeba je sobie uświadomić, trzeba je — na początek — nazwać.

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

Siatka na węźle

Karsznice, niewielka, liczące w latach 1939—1945 niespełna 3.000 mieszkańców osada kolejarska, na łączącej Śląsk z Gdynią, nowo wybudowanej linii kolejowej stanowiła w czasie okupacji przedmiot specjalnego zainteresowania różnych nurtów ruchu konspiracyjnego. Karsznice nie były bowiem jedynie stacją kolejową na szlaku, ale stanowiły wspólnie ze Zduńską Wolą węzeł kolejowy na skrzyżowaniu linii kolejowych łączących Śląsk z Gdynią i Gdańskiem oraz Łódź z Poznaniem i Wrocławiem. W Karsznicach mieściła się też jedna z najnowocześniejszych wówczas parowozowni i naprawcze warsztaty kolejowe. Nic więc dziwnego, że początkowo powstało tu kilka niezależnych od siebie ognisk ruchu konspiracyjnego. Sięgały tu wpływy zarówno z Łodzi, przez Sieradz i Zduńską Wolę, jak i bezpośrednio z Inowrocławia. Kontakty na tych kierunkach ułatwiał układ sieci kolejowej.

POCZĄTKI KONSPIRACJI

Już w październiku 1939 r. z inicjatywy inż. Edwarda Pawlaka, byłego zastępcy naczelnika parowozowni, Edwarda Króla ps. „Pedagog", byłego pracownika biura personalnego parowozowni i Wincentego Kujawy ps. „Iskra", starszego elektryka miejscowej parowozowni zostaje utworzona konspiracyjna organizacja pod nazwą Stowarzyszenie Samoobrony.

Ta trzyosobowa grupa inicjująca wyznaczyła organizacji następujące cele na najbliższą przyszłość. Inżynier Pawlak miał nawiązać łączność z podobnymi grupami w Bydgoszczy, Inowrocławiu, Poznaniu i Łodzi. E. Król miał nawiązać kontakty z pracownikami innych służb na węźle karsznickim i na poszczególnych oddziałach parowozowni, natomiast W. Kujawa miał się zająć „organizowaniem nasłuchu radiowego, sporządzaniem biuletynów informacyjnych, werbowaniem członków spośród pracowników służby warsztatowo-trakcyjnej, organizowaniem grup bojowych i zbieraniem informacji o działalności okupanta".

W tym pierwszym okresie działalności, do początku 1940 r. grupa ta miała bezpośrednie kontakty organizacyjne z Inowrocławiem. Po aresztowaniu inż. Pawlaka w styczniu 1940 r. kontakt ten zerwał się. W tym czasie za pośrednictwem Kazimierza Kałużewskiego ps. „Chińczyk", członka Związku Odwetu nawiązano współpracę ze zduńskowolską i sieradzką organizacją Związku Walki Zbrojnej. Grupa karsznicka utrzymała status Samodzielnej Placówki Kolejowej, podległej bezpośrednio Komendzie Obwodu Sieradzkiego ZWZ.

W końcu 1940 r. przy pomocy dawnego aktywu łódzkiej Polskiej Partii Socjalistycznej utworzono w Karsznicach, wśród kolejarzy, koło pepesowskie. Pracą tego koła kierowali Leon Karwacki jako sekretarz i Zagajewski.

W Samodzielnej Placówce Węzła Kolejowego w Karsznicach, łącznie z parowozownią, do połowy 1942 r. było zorganizowanych w czterech plutonach bojowych blisko 150 ludzi.

O roli i strukturze organizacyjnej tej placówki decydowało znaczenie gospodarcze i militarne węzła karsznickiego i parowozowni, jakie miały one dla niemieckiej machiny wojennej. Dla ruchu konspiracyjnego i jego służb wywiadowczych, dywersyjnych i sabotażowych nie było obojętne to co działo się w Karsznicach. Odbiciem tego zainteresowania są bogate i rzeczowe raporty składane Delegaturze Rządu na Kraj i Komendzie Głównej Armii Krajowej.

Przed majem 1940 r. luźna karsznicka organizacja konspiracyjna Stowarzyszenie Samoobrony, nawiązała za pośrednictwem Kazimierza Kałużewskiego ps. „Chińczyk" ścisłą współpracę z Komendą Obwodu Sieradzkiego ZWZ-AK. Formalne rozmowy w tej sprawie prowadził wczesną wiosną 1940 r. por. Marcin Stachecki ps. „Colliba", ówczesny zastępca komendanta obwodu kpt. Aleksandra Ogrodnika ps. „Schultz".

Tworząc wówczas Samodzielną Placówkę Węzła Kolejowego w Karsznicach, zorganizowano ją według struktur przyjętych w ZWZ. Jej komendantem został wówczas ppor. Edward Majewski, zaś jego zastępcą ppor. Marian Kaczor. Obaj zostali aresztowani przez Niemców w czasie pierwszej wsypy w lutym 1941 r. Na ich miejsce przyszli: por. Władysław Kryński ps. „Konspirator" jako komendant placówki, Wincenty Kujawa ps. „Iskra" jako jego zastępca do spraw służb warsztatowo-trakcyjnych i Marian Milkowski ps. „Topór" jako zastępca do spraw służb ruchu i drogowej. Według relacji K. Sztolca w czasie reorganizacji przeprowadzonej w połowie 1942 r. komendantem Samodzielnej Placówki Kolejowej w Karsznicach został Ignacy Zaremba.

KONSPIRACYJNE STRUKTURY

Siły SPK w Karsznicach składały się w latach 1942—1943 z pięciu plutonów bojowych, sekcji sabotażowo-dywersyjnej (Związek Odwetu), sekcji wywiadu oraz sekcji sanitarnej. Plutony dzieliły się na drużyny, a sekcje na grupy. Każda drużyna z plutonu bojowego dzieliła się na dwie sekcje, przeważnie w składzie siedmioosobowym.

Członkowie plutonów bojowych byli często także członkami określonych grup spełniających zadania specjalne. Tak np. Ludwik Grobelny kierujący grupą wywiadowczą był równocześnie dowódcą II plutonu bojowego. Dowódcami pozostałych plutonów bojowych byli: pierwszego — Wincenty Kujawa, trzeciego — Henryk Muras, czwartego Józef Błaszczyk, piątego początkowo Marian Kaczor, a po jego aresztowaniu Antoni Kosecki. Pluton V został zorganizowany na terenie wsi Karsznice i podlegał bezpośrednio komendantowi placówki ppor. Kryńskiemu, stanowiąc równocześnie jego ochronę. W połowie 1943 r. dowódcą jednego z plutonów był „Sokół". Obowiązki komendanta stacji kolejowej w Karsznicach do grudnia 1942 roku pełnił Michał Glinkowski, ps. „Wolny" i „Wichura".

Poszczególnymi sekcjami wyodrębnionymi kierowali: Edward Król sabotażowo-dywersyjną, podlegającą Związkowi Odwetu. On też był odpowiedzialny za przygotowanie wszelkiego rodzaju „lewych" dokumentów.

Ludwik Grobelny jak już wspomniano kierował sekcją wywiadu, zaś dr med. Zbigniew Obuchowicz ps. „Krótki" kierował sekcją sanitarną. Dwie wyodrębnione sekcje, sabotażowo-dywersyjna i wywiadu dzieliły się wewnętrznie na grupy. Kryterium uczestnictwa w grupie było bądź to zadanie dla realizacji którego grupę utworzono, bądź też tworzono grupę z ludzi tej samej specjalizacji zawodowej.

W sekcji sabotażowo-dywersyjnej były grupy Kazimierza Kałużewskiego specjalizująca się w niszczeniu pojazdów trakcyjnych, Michała Borkowskiego specjalizująca się w niszczeniu urządzeń łączności, Józefa Błaszczyka prowadząca dywersję w zakresie służb ruchu i grupa Wincentego Kujawy prowadząca różnorodny sabotaż. W grupie działali także Ignacy Jagiełło, Juliusz Sylla, Leon Matuszak i Edmund Kiełczyński.

W sekcji wywiadu były dwie grupy: maszynistów parowozów i rewidentów wagonów. Znamy nazwiska niektórych członków tych grup, lecz nie wiemy kto nimi kierował. W grupie maszynistów byli: Jan Jabłoński, Antoni Janczewski, Tadeusz Binek, Henryk Muras, zaś w grupie rewidentów wagonów: Franciszek Klein, Józef Trzebowski, Ludwik Truszkowski i Józef Walczak.

Sekcja sanitarna nie dzieliła się wewnętrznie.

WYNIKI WALKI Z HITLEROWCAMI

O aktywności i sprawności działania poszczególnych sekcji i grup Samodzielnej Placówki Węzła Kolejowego w Karsznicach najlepiej świadczą efekty ich pracy wyrażające się bogatymi w treść i interesującymi raportami wywiadowczymi i meldunkami sytuacyjnymi nadsyłanymi w latach 1940—1942 do Delegatury Rządu na Kraj i do Komendy Głównej Armii Krajowej.

Dwa szczególnie interesujące i wyczerpujące raporty o stanie węzła karsznickiego pochodzą z końca 1941 r. i z początków 1942 r. Są one sygnowane kryptonimem „Włóczka", a późniejsze z 1944 r. kryptonimem „Weber". Pod wszystkimi tymi kryptonimami kryła się Komenda ZWZ-AK Okręgu Łódzkiego.

Raporty nadesłane KG AK przez „Kretona" zawierały wyczerpującą analizę sytuacji personalno-kadrowej węzła kolejowego i parowozowni w Karsznicach oraz personalnej polityki prowadzonej przez okupanta.

Według danych zawartych w raporcie z 28 XI 1941 r. w parowozowni karsznickiej na ogólną liczbę 1233 zatrudnionych było 826 Polaków, 355 volksdeutschów, 39 reichdeutschów, 7 Ukraińców i 6 Białorusinów. Interesujące dane o zmianach w zatrudnieniu na węźle karsznickim w okresie od początków stycznia do końca lutego 1942 r. zawierał raport z 27 II 1942 r. Wynika z niego, że ogólna liczba zatrudnionych zmalała z 1582 do 1374, przy czym liczba zatrudnionych Polaków zmalała z 1161 do 940. Był to efekt programowego działania Niemców dążących do odsunięcia Polaków od pracy w tych działach i służbach, które miały istotne znaczenie dla sprawnej obsługi zarówno parowozowni, jak i służb ruchu i trakcyjnej. Usunięcie Polaków z tych działów i zwiększenie tam liczby personelu niemieckiego miało utrudnić działalność sabotażową.

W początkach 1942 r. władze niemieckie zażądały od pozostałych w parowozowni robotników Polaków składania pewnego rodzaju oświadczenia o lojalności. Każdy zatrudniony tam musiał podpisać deklarację następującej treści:

„Oświadczam, że nie jestem spokrewniony ani spowinowacony z b. obywatelami państwa polskiego, którzy nie uzyskali niemieckiej przynależności państwowej, względnie nie zostali wciągnięci do działów III i IV niemieckiej listy narodowościowej. Wiem, że to oświadczenie dotyczy również krewnych narodowości polskiej przebywających na innych terenach anektowanych na wschodzie lub też w GG".

W zakończeniu meldunku sytuacyjnego złożonego na ten temat Delegaturze Rządu na Kraj pisano:

„Poufne zarządzenie nakazuje usunięcie z terenów wschodnich wszystkich pracowników, którzy by nie mogli lub nie chcieli podpisać niniejszej deklaracji. Wydaje się, że idzie tu o zabezpieczenie warsztatów kolejowych przed sabotażem przez usunięcie niepewnych żywiołów".

Odsunąć Polaków, fachowców od pracy udało się bez większego trudu, jednak niełatwo było znaleźć ich zastępców o podobnych kwalifikacjach. Nic więc dziwnego, że w początkach stycznia 1942 r. „Kreton" meldował o stanie napraw parowozów, że jest on niski, co było spowodowane brakiem fachowców.

„Dobrzy fachowcy Polacy zastąpieni przez dyletantów Niemców. Poza tym brak materiałów. Odczuwa się dotkliwie brak azbestu".

Od chwili napaści Niemiec na Związek Radziecki 22 VI 1941 r. zwiększa się częstotliwość meldunków i raportów nadsyłanych do Delegatury Rządu i do KG AK o sytuacji na liniach kolejowych węzła karsznicko-zduńskowolskiego i w parowozowni w Karsznicach. Te raporty i meldunki zawierały mnóstwo cennych informacji o ruchach wojsk niemieckich, liczebności i stanie uzbrojenia jednostek, zdolnościach przewozowych węzła, transportach sprzętu wojskowego, transportach rannych żołnierzy niemieckich i transportach jeńców. Ostatni raport „Włóczki" datowany 25 VI 1941 r. informował, że w dniach od 23 do 26 maja, a więc na krótko przed napaścią na Związek Radziecki, na stacjach kolejowych w Pabianicach, Sieradzu i Zduńskiej Woli rozładowano 38 transportów wojska przybyłych z Rzeszy. W tym samym okresie przez Zduńską Wolę, w kierunku na Łódź przeszło 55 transportów pod hasłem „Herzvoll". Podobne transporty pod innym hasłem „Argonnenvoll" szły w dniach 27—28 V 1941 r. W dniach 10—12 V według tego samego raportu rozładowano w Zduńskiej Woli cztery, a w Karsznicach siedem transportów wojskowych.

Wzmożony ruch wojsk niemieckich sygnalizował wywiad AK w okresie walk o Moskwę od października 1941 r. do stycznia 1942 r. Podając wielkości przewozów na wschód wymieniano, że szlakiem tym w okresie od 11 X do 10 XI przewieziono co najmniej 57 transportów amunicji, 79 transportów benzyny, 31 transportów żywności oraz 21 sprzętu motorowego. W meldunku tym „Kreton" zawarł też dwa uzupełnienia, choć ogólne, to jednak o niezmiernie istotnym znaczeniu. Pisał on: **„Należy sądzić, że transportów przeszło nieco więcej, część ich bowiem mogła przejść niezauważona. Zaznacza się pewne zmniejszenie ruchu dowozowego na obserwowanych przez nas liniach".**

Szczególnie ta ostatnia informacja wskazująca na słabnące możliwości zaopatrzeniowe Niemców, mogła być szczególnie cenna dla wywiadu. Przez ten meldunek widać też pośrednio skalę i zaciętość walk pod Moskwą. W ich efekcie przewożono tym szlakiem, na zachód 79 specjalnych transportów rannych, oprócz pociągów sanitarnych przewidzianych normalnym rozkładem jazdy, 21 transportów rozbitego sprzętu, 10 transportów jeńców. Z tego też okresu pochodzi meldunek informujący, że nocą z 11 na 12 października 1941 r. przeszedł przez Zduńską Wolę w kierunku na Kalisz pociąg wiozący w 7 wagonach rozbrojonych żołnierzy niemieckich pod eskortą SS-waffe. Informacja ta wskazywała na fakt występującego w armii niemieckiej niezadowolenia.

SKUTKI KLĘSKI POD MOSKWĄ

Wiele meldunków zawierało fragmenty traktujące o nastrojach w różnych środowiskach niemieckich. Na ich kształtowanie się miał niemały wpływ przebieg walk na wschodzie. Stawało się coraz widoczniejsze, że nie uda się pokonać Związku Radzieckiego. Ofensywa na Moskwę załamała się ostatecznie w połowie grudnia 1941 r. Kiedy więc w tym samym czasie ogłoszono ochotniczy zaciąg do armii niemieckiej, kandydatów nie było, a objęci poborem wszelkimi sposobami starali się od niego uchylić. I ten rodzaj informacji miał ogromne

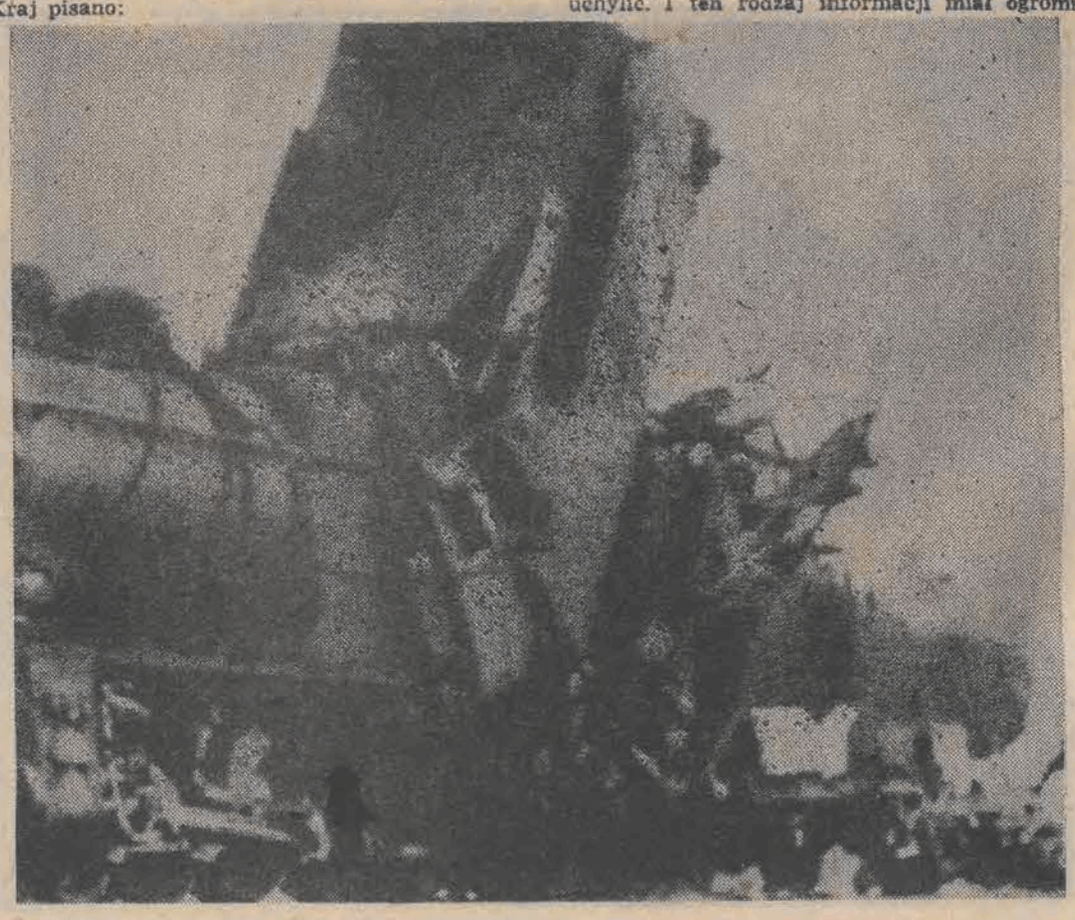

znaczenie dla przewidywania rozwoju sytuacji.

Meldunki wywiadowcze składane przez „Kretona" KG AK wskazywały, że od połowy 1941 r. Niemcy zaczęli rozbudowywać zarówno parowozownię jak i urządzenia stacyjne, a także osiedle mieszkaniowe w Karsznicach. Powodem tego był wzrost przewozów szwedzkiej rudy do hut na Górnym Śląsku i węgla do Szwecji. O natężeniu tego ruchu może świadczyć fakt, że na dobę przez stację w Karsznicach przechodziły przeciętnie 64 planowe pociągi.

Na decyzję o rozbudowie Karsznic wpłynęła zapewne także wojna niemiecko-radziecka. Otóż w trudnych warunkach rosyjskich niemiecki tabor kolejowy, a szczególnie parowozy typu 44, okazywał się za słaby. Natomiast zdawały tam egzamin polskie parowozy Ty-23. Ponieważ parowozów niemieckich typu 44 nie chciały naprawiać żadne firmy niemieckie, wyznaczono do tego celu parowozownie w Starogardzie, rozbudowując dla tego samego celu i Karsznice, których parowozownia prowadziła naprawy bieżące, średnie i główne parowozów polskich. Stwarzało to duże możliwości dla prowadzenia skutecznego sabotażu.

Uprawianiu sabotażu sprzyjał też permanentny brak części zamiennych. W miarę wzrastającego oporu Rosjan i rosnących strat niemieckich na froncie wschodnim rosły zadania stawiane przed zakładami naprawczymi w Karsznicach, a także przed innymi służbami z tego węzła. Jednakże siatka konspiracyjna, zarówno akowska jak i pepeesowska skutecznie działały, by praca w tym kierunku była jak najmniej wydajna, a także organizowała różnego rodzaju sabotaż. W wyniku tych działań, w końcu 1941 r. i w pierwszej połowie 1942 r. przeciętnie około 40 proc. parowozów, jakimi dysponowała parowozownia karsznicka, było niezdatnych do eksploatacji. W listopadzie 1941 r. „Kreton" meldował KG AK o sytuacji w gospodarce parowozami w parowozowni w Karsznicach:

„Ogólny stan przydzielonych parowozów 138. Dla przeprowadzenia planem przewidzianych pociągów potrzeba 94 parowozy. Przeciętnie dziennie nieczynnych jest 50 parowozów, z tego płukanie 7, 11 w reperacji mniejszej w parowozowni, 19 oczekuje na nadejście części zamiennych, 13 znajduje się w naprawie w warsztatach głównych w Poznaniu. Czynnych parowozów znajduje się w ruchu 88. Z tego wynika, że brak jeszcze 6, by móc przeprowadzić planem przewidziane pociągi. Brak parowozów daje się codziennie odczuć i nieraz st. Karsznice jest przepełniona pociągami, bo nie ma parowozów, które by te pociągi dalej prowadziły".

W styczniu 1942 r. ze 139 parowozów będących na stanie parowozowni karsznickiej tylko 90 było w ruchu. W lutym sytuacja była podobna.

POLSKI SABOTAŻ NA NIEMIECKIM ZAPLECZU

Specjalny charakter obiektu, jakim była parowozownia i stacja kolejowa, określał środki i sposoby prowadzenia sabotażu. Przesądzał też o tym, że nie można było w pełni uzyskać informacji o skuteczności tych działań. Źle naprawiony, czy wypuszczony specjalnie z ukrytą wadą parowóz mógł ulec zepsuciu w niewielkiej odległości, ale częściej sabotażu dokonywano tak, by jego skutek uwidocznił się gdzieś znacznie dalej, by nie było śladu naprowadzającego na ośrodek sabotażu.

Środki chemiczne do uprawiania sabotażu placówka karsznicka otrzymywała z Łodzi. Z łączniczek przywożących te materiały do K. Kałużewskiego znane są tylko Halina Chojnacka i Zofia Skonkówna ps. „Zośka". Materiały te przewoził też Tomasz Łabędzki, zatrudniony w transporcie zduńskowolskim i z tego tytułu często jeżdżący do Łodzi.

Grupa M. Borkowskiego dokonała zniszczenia wielu urządzeń sygnalizacyjnych i łączności, co dezorganizowało ruch pociągów. Z grupą tą współpracował też Władysław Kubiak, kolejarz ze stacji Widawa. Potwierdzeniem skuteczności działania grupy Borkowskiego było zderzenie parowozu z pociągiem towarowym pod Karsznicami, uszkodzenie wagonu w transporcie wojsk włoskich w pociągu w Zduńskiej Woli, dwie katastrofy w rejonie Karsznic w pierwszych miesiącach 1942 r.

KONTRAKCJA GESTAPO

Kiedy w grudniu 1942 r. udało się Niemcom aresztować część członków karsznickiej placówki i następnie ich oskarżyć, Kazimierzowi Kałużewskiemu i Juliuszowi Syllі zarzucano całkowite zniszczenie 18 parowozów i uszkodzenie ponad trzydziestu. Rzeczywiste efekty były zapewne znaczniejsze. Części sabotażu władze niemieckie nie mogły przecież wykryć, bowiem parowozy defektowały często o setki kilometrów od Karsznic.

Aresztowania rozpoczęte 29 grudnia 1942 r. trwały do lata 1943 r. Już pierwszego dnia aresztowano 29 osób, a wśród nich całe kierownictwo placówki i większość dowódców plutonów i sekcji w osobach: ppor. Władysława Kryńskiego, Edwarda Króla, Wincentego Kujawy, Michała Glinkowskiego, Józefa Błaszczyka, Mariana Milkowskiego, Kazimierza Kałużewskiego, Juliusza Sylli, Ludwika Grobelnego, Kazimierza Błażejewskiego, dr Zbigniewa Obuchowicza, Edmunda Kiełczyńskiego, Ludwika Kurlandą, Zenona Jenerowicza i Ignacego Jagiełły.

Po trwającym ponad rok śledztwie niemal wszyscy aresztowani zostali zesłani do obozów koncentracyjnych, które tylko kilku przeżyło, dwaj zaś Kazimierz Kałużewski i Juliusz Sylla zostali skazani na śmierć przez powieszenie. Publiczna egzekucja odbyła się 25 II 1944 r. na placu przed kościołem w osiedlu Karsznice. Wcześniej aresztowano rodziny wszystkich oskarżonych o udział w ruchu oporu i wywieziono je bądź do obozów koncentracyjnych, bądź na roboty do Niemiec i Francji.

Te akty terroru osłabiły organizację karsznicką, lecz jej nie rozbiły i nie zastraszyły. Zgodnie z dyrektywami Komendy GŁównej AK prowadziła ona działalność nadal, lecz w ograniczonym zakresie. ■

Dlaczego szkoła musi źle uczyć?

Dokończenie ze strony 1

Świadamiają sobie, że krytykują owoce swojej własnej pracy, często cierpkie, niesmaczne i przez nikogo nie lubiane. Nie jest tajemnicą, że absolwent uczelni trafiający do szkoły, jako świeżo upieczony nauczyciel, jest jej najtrudniejszym uczniem, uczącym się na własnych błędach. Często brak mu wystarczającej wiedzy merytorycznej i metodycznej, a nie brak mu tupetu i zarozumialości. Narzekają więc szkoły na niski poziom kształcenia zawodowego nauczycieli w wyższych uczelniach. Jakby po drodze narzekę jeszcze szkoła średnia na podstawową za mierny bądź niedostateczny poziom licealnych pierwszoklasistów. W końcu zgodnym chórem wszyscy narzekają na stale zmieniające się programy, na kiepskie i w dodatku nieosiągalne podręczniki, na brak środków nauczania, na liczne zarządzenia, nakazy, zakazy i polecenia. Nie trzeba się więc dziwić że nauczyciele o najwyższych kwalifikacjach, doświadczeni i jeszcze sprawni zawodowo korzystają gremialnie z możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę, nie mogąc dłużej znieść tej nie kończącej się nerwówki wywoływanej z nieustannej improwizacji, jaka panuje powszechnie we współczesnej szkole.

W szkole bowiem nie ma spokoju. Nie ma atmosfery spokojnej pracy. Jest natomiast wieczna gonitwa, strach i nerwowość. Wszyscy się boją. Uczniowie boją się złych ocen i groźnych nauczycieli. Nauczyciele drżą przed dyrektorem. Dyrektorzy plączą się nerwowo w gąszczu biurokracji i stale tłumaczą się przed inspektorem. Inspektorzy mają nad sobą jeszcze całe kuratorium i inne resorty władz. Stale ktoś kogoś kontroluje, gani, straszy i popędza. Tylko od święta deklaruje się głośno i szumnie powszechną troskę o autorytet nauczyciela i szkoły, a każdorazową podwyżkę uposażeń w resorcie oświaty ogłasza się głośno chociaż wiadomo, że szkolnictwo nigdy nie opuściło ostatniego miejsca w tabeli uposażeń.

W takiej to atmosferze

RODZI SIĘ MATURZYSTA

często znerwicowany i jeszcze częściej niedouczony. Zostawszy jednak szczęśliwym zbiegiem wypadków studentem, żyje przez pierwsze trzy lata studiów marzeniami o szczytnej pracy naukowej, widząc siebie w białym fartuchu przy skomplikowanej aparaturze lub na placówce zagranicznej. Na czwartym roku studiów, w trakcie nauki metodyki nauczania obranego przedmiotu studiów, zostaje mu uświadomiona możliwość bycia nauczycielem. Przeciętny student zalicza ten przedmiot gładko jako jeszcze jeden „michałek" nie tracąc z pola widzenia obrazu marzeń o jasnej przyszłości. Przysłowie: bodajbyś cudze dzieci uczył — jest zdaje się zakorzenione w podświadomości każdego absolwenta wyższej uczelni. Szuka on pracy dosłownie wszędzie, byle nie w szkole. Jeżeli jednak konieczność zmusi go do przekroczenia progu inspektoratu oświaty i wychowania, to robi to tylko w przekonaniu, że praca w szkole będzie tymczasowa. Pracując więc w szkole „tymczasowo" nie próbuje nawet uczyć się zawodu u boku doświadczonej kadry lecz w dalszym ciągu marzy o zaspokojeniu swych ambicji, często zbyt wygórowanych. W końcu zrezygnowany przywyka do szkoły, a szkoła do niego.

Czyż można się spodziewać, by taki „profesor" stanął na wysokości zadania w szkole? Na pewno nie. Spójrzmy prawdzie w oczy. Od czasu niefortunnego zlikwidowania liceów pedagogicznych, które zasilały szkołę nauczycielami z tak zwanym powołaniem pedagogicznym, trafiają do szkoły ludzie z przypadku, nauczyciele bez przekonania. Krótko zasilali także nasze szkolnictwo niewydarzeni absolwenci SN, którzy rekrutowali się głównie z odsiewu z wyższych uczelni i praca w szkole dla wielu z nich też była smutną koniecznością życiową.

Najgorsza rzecz w tym, że nie widać zmian na lepsze.

KSZTAŁCENIE NAUCZYCIELI

w wyższych uczelniach pozostawiało i nadal pozostawia bardzo wiele do życzenia. W uczelniach panuje powszechne przekonanie, że przyszłego nauczyciela trzeba przede wszystkim naszpikować nowoczesną wiedzą merytoryczną z obranego przedmiotu studiów, a metodyki, czyli samego fachu nauczycielskiego, nauczy się w szkole, najskuteczniej i najlepiej na własnych błędach. W niektórych uczelniach funkcjonują zakłady lub pracownie metodyk przedmiotowych, ale są także uczelnie, w których zawodu nauczycielskiego nauczają dochodzący fachowcy ze szkoły średniej.

Etatowi pracownicy zakładów metodyk szczegółowych w wyższych uczelniach rekrutują się albo spośród personelu szkół średnich albo spośród pomocniczych pracowników naukowych, tzw. ostatniego sortu, którzy w innych katedrach nie zrobili kariery, gdzie formalnie się wyrobili a z różnych powodów nie odeszli z uczelni. Zakład metodyki jest dla nich bocznym torem, na którym oczekują na emeryturę. Na ogół dobierają sobie na współpracowników kogoś z młodzieży akademickiej, kto z racji wieku i doświadczenia nie ma prawa wiedzieć jak wygląda i smakuje szkoła zza nauczycielskiej katedry. Taka jest kadra nauczająca w uczelniach zawodu nauczycielskiego.

Jeżeli znajdzie się w tym światku ambitny osobnik, który chciałby się podjąć naukowej pracy z zakresu metodyki nauczania swego przedmiotu, stanie przed całym szeregiem progów trudności, tylko teoretycznie możliwych do przekroczenia.

Po pierwsze — żadne naukowe czasopismo nie przyjmie do druku pracy z zakresu metodyki nauczania danego przedmiotu.

Po drugie — doktoratu z zakresu metodyki przedmiotowej nie ma u kogo robić. Poza jednym lub dwoma wyjątkami nie ma samodzielnych pracowników naukowych w tych przedmiotach studiów.

Po trzecie — jeżeli ktoś, zrobiwszy doktorat z pokrewnej dziedziny, chciałby się habilitować z metodyki i przejdzie szczęśliwie całą skomplikowaną procedurę habilitacyjną w uczelni, ma bardzo nikłe szanse przejścia przez sito CKK, która nie ma w swoim spisie dyscyplin naukowych metodyki nauczania danego przedmiotu.

Po czwarte — krajowe staże szkoleniowe są niemożliwe w sytuacji, gdy w każdej uczelni jest takie samo nic. Zagraniczne staże nie mieszczą się w pojęciu władz uczelni.

Po piąte — na metodyce przedmiotowej „znają" się w uczelni prawie wszyscy lepiej od samych metodyków. W wielu uczelniach o metodyce decyduje się bez metodyków. Jako niesamodzielni pracownicy naukowi nie zasiadają w radach wydziałowych, a jako nieobecni nie mają głosu.

Podsumowując warunki kształcenia studentów w nauczycielskim fachu trzeba stwierdzić że jest to dopiero początek wielkiej improwizacji, z którą na dobre spotyka się każdy student już w szkole, jako nauczyciel.

PIERWSZYM ETAPEM TEJ IMPROWIZACJI

jest program nauczania, w naszej powojennej szkole, zawsze „tymczasowy". To znaczy, że może, albo powinien być zmieniany co parę lat. Każdy rozsądnie myślący człowiek sądzi, że szkoła podstawowa, jak to wynika z jej nazwy, uczy rzetelnych podstaw wiedzy, umiejętności i nawyków. Podstawy zaś, rozumiane jako fundamenty, na których powinno się budować coś wartościowego, powinny być trwałe niezmienne — jednym słowem solidne, by nie runęły piętra na nich zbudowane. To prawda, że nauka się rozwija, ale rośnie tylko w górę i nigdy nie drżą jej podstawy, gdy jest prawdziwa.

Zresztą, owa modernizacja jakoś dziwnie nie wychodzi autorom naszych programów nauczania. Moje pokolenie pokolenie junaków SP, uczyło się, że Mendel, Weismann i Morgan byli wstrętnymi nieukami na usługach kapitalizmu, że chromosomy to artefakty (sztuczne twory), powstałe w wyniku procesu utrwalania komórek... Zachowane z tego okresu podręczniki szkolne są dziś prawdziwym rarytasem metodycznym i nie tylko.

Najnowsze programy nauczania też są przyczyną komicznych sytuacji, nawet w gronie rodzinnym. Przeciętny ojciec współczesnego pierwszoklasisty, nawet jeśli legitymuje się stopniem naukowym z dziedziny tylko nieco odległej naukom matematyczno-fizycznym, ma poważne kłopoty, gdy zapragnie być przykładnym ojcem i pomóc swemu dziecku w odrabianiu lekcji z matematyki. Okazuje się bowiem, że ta sama szkoła, która uczyła ojca a teraz uczy jego dziecko, wyposażyła rodzica w takie „podstawy", że uchodzi on w oczach swego siedmiolatka za nieuka i skończonego durnia.

Gdy mowa o programach nauczania, warto wspomnieć, że ich autorzy wybierają na ogół jedną z dwóch koncepcji budowy programu — koncentryczną lub liniową. Koncentryczna koncepcja zakłada istnienie szeregu poziomów nauczania w całej szkole. Np klasy 1—4, 5—8 szkoły podstawowej i klasy 1—4 LO. Na każdym z tych poziomów powtarzają się pewne treści nauczania, poszerzając się wraz ze wzrostem zdolności poznawczych uczniów. Zaletą tego typu programu jest duża trwałość wyników nauczania. Natomiast główną wadą jest jego mała pojemność. Pod tym względem liniowy program jest wprost nieograniczenie pakowny. Według jego założeń cała szkoła stanowi jedną liniową całość i uczeń powinien pamiętać w każdej klasie wszystko to, czego się uczył w poprzednich klasach. Program liniowy nie przewiduje bowiem nawrotów do poprzednio przerobionego materiału, jak to jest w założeniach programu koncentrycznego. Obecnie wprowadzany program biologii jest nie tylko liniowy, ale na dodatek jeszcze blokowy. Istota programu liniowo-blokowego polega w przypadku biologii na tym, że w każdej klasie uczy się trochę botaniki, zoologii, ochrony środowiska, przystosowania do życia w rodzinie... Są to tzw. bloki tematyczne, powtarzające się liniowo w kolejnych klasach.

Zapyta ktoś, skąd wziął się

TAKI METODYCZNY POTWOREK

Po prostu, autorzy programu zapatrzyli się na program matematyki i języków. Liniowość jest naturalna w matematyce. Jedno zagadnienie może być bazą dla drugiego i tak dalej, tworząc naturalny ciąg liniowy haseł programowych. Z kolei blokowość naturalną jest w nauczaniu języków. Wszystkie elementy strukturalne języka uczeń musi poznawać porcjami w każdej klasie. Budując biologiczny program liniowo-blokowy zapatrzono się zdaje się, na naszych bliższych i dalszych zachodnich sąsiadów. Nie uwzględniono tylko jednego, małego szczegółu — zasobności kiesy. W bogatych krajach, gdzie prowadzone są próby z podobnymi programami, dzieci nie muszą oddawać podręczników przechodząc z klasy do klasy. Mogą je zachować i gdy zajdzie potrzeba, powtórzyć przerobiony materiał, zbierając go w jedną uporządkowaną kupkę. U nas natomiast dzieci zdają egzamin wstępny, przechodząc ze szkoły podstawowej do liceum. Uwzględniając więc trudności podręcznikowe występujące w szkołach podstawowych, licea powinny na wzór wyższych uczelni organizować kursy przygotowawcze dla kandydatów na licealistów.

Szczegółowa analiza liniowo-blokowego programu nauczania biologii została już dokonana przy okazji tzw. konsultacji społecznej, której był swego czasu poddany. Spotkał się z solidną krytyką i jak się okazało, konsultowano bezskutecznie, gdyż równolegle z „konsultacją" drukowano już pierwsze podręczniki do tego programu. Podręczniki szkolne są kolejnym przejawem improwizacji. Wielu z nas potrafi doszukiwać się w nich niedociągnięć, ale tylko niewielu zdaje sobie sprawę ze skali trudności występujących przy pisaniu i wydawaniu podręcznika, by był zgodny z programem nauczania, zasadami nauczania, by uwzględniał metodyczne poradnictwo dla nauczyciela...

Napisanie podręcznika do zupełnie nowego programu jest trudniejsze, niż się to na pozór wydaje. Nowy program zawiera bowiem szereg zupełnie nowych treści, które znane są tylko w środowisku naukowym. Wymagają one najpierw metodycznego opracowania, czyli przetworzenia na szeroko rozumiany język szkoły. Takich opracowań nie wydaje się u nas, jak to czynią nasi sąsiedzi. Autorzy naszych podręczników mają do dyspozycji nieliczną literaturę metodyczną i polegają w zasadzie na własnych doświadczeniach i intuicji metodycznej.

Autor podręcznika przeznaczonego do programu liniowo-blokowego postawiony jest przed dodatkową trudnością. Na ogół jest on tylko botanikiem lub zoologiem, a zmagać się musi z tematycznymi blokami, z których każdy należy do podwórka jego sąsiada w uczelni. Podręczniki pisane bywają także w wielkim pośpiechu, „na wczoraj". Bywało podobno, że podręcznik był równocześnie u recenzenta i w drukarni. W końcu podręcznik trafia do rąk uczniów i nauczyciela, jeżeli wystarczy dla niego z wyliczonych szkole egzemplarzy, i rozpoczyna się kolejny etap improwizacji.

Nauczyciel przystępuje do sporządzania rozkładu materiału, czyli podziału poszczególnych haseł programowych na pojedyncze tematy lekcyjne, aby nauka była zgodna z zasadą systematyczności nauczania. Jeżeli podręcznik dostosowany jest dobrze do programu, co zdarza się niezmiernie rzadko, gdyż autorzy podręczników zazwyczaj niewiele mają wspólnego ze szkołą, wówczas łatwo uporać się może nauczyciel z tą ważną czynnością na początku roku szkolnego. Często nie da podzielić się poszczególnych rozdziałów podręcznika na równe tematyczne jednostki lekcyjne. Znakomita więc część nauczycieli uczy tylko według podręcznika, nie konfrontując go z programem nauczania, który jest często obszerniejszy treściowo. Dbają oni, by starczyło im podręcznika do końca roku szkolnego, ale w czerwcu okazuje się często, że podręcznik był za obszerny. Jednak szczytem improwizacji jest sama lekcja, nie mająca często nic wspólnego z elementarnymi zasadami dydaktyki, nie tylko współczesnej.

Warto przeanalizować, co robi nauczyciel biologii realizujący np. ogólny temat: biocenozy wodne. Znajduje w podręczniku opisy stawu, rzeki, jeziora..., rysunki roślin i zwierząt wodnych, obrazy przedstawiające poszczególne typy zbiorników, no i opisy charakteryzujące cechy danej biocenozy. Nie ma natomiast najmniejszej wzmianki o tym, w jaki sposób uczeń ma zdobyć te wiadomości, jakie środki dydaktyczne należy do poszczególnych lekcji wykorzystać, czy ryby, owady wodne, mięczaki i plankton oraz rośliny...

A jeżeli już to wszystko będzie w podręczniku, to powstanie pytanie →

SKĄD NAUCZYCIEL TO WSZYSTKO WEŹMIE?

Kto go zmusi, by biegał po mieście z siatką na motyle w czasie wolnym od zajęć w szkole? Wiadomo, że Centrala Zaopatrzenia Szkół świeci pustkami i gdy się coś w niej znajdzie, szkoły kupują to jak leci, chociażby dla dekoracji pracowni, byle wydać budżet przed końcem roku. Dawno skończyły się czasy, kiedy w CeZaSie można było czynić zakupy zgodnie z rzeczywistymi potrzebami programu nauczania.

Realizując wspomniany temat, może także zaprowadzić młodzież nad zbiornik wodny i tam na żywym organizmie stawu pokazać jego części ciała i ich wzajemne powiązania. Byłoby najlepiej, gdyby taki modelowy staw znajdował się w ogródku szkolnym.

Tej możliwości przeprowadzenia lekcji nauczyciel unika jak ognia. Tylko wtajemniczeni wiedzą, dlaczego tak jest? Naga prawda jest wstrząsająca. Przeciętny nauczyciel po prostu nie wie, co jest czym w zbiorniku, w lesie, na łące, w polu... On często nie odróżni żaby od ropuchy, okonia od płotki, larwy ważki od larwy jętki, oczlika od wioślarki, tataraku od pałki wodnej... Czy można mieć o to do niego pretensje? Poniekąd nie. W wyższej uczelni uczono go przecież botaniki i zoologii prawie w mniejszym wymiarze godzin niż w całej szkole podstawowej i liceum łącznie. Wymiar godzin studenta biologii przeznaczony na chemię nieorganiczną, organiczną, biochemię, biofizykę i wiele innych bardzo potrzebnych biologowi przedmiotów jest łącznie o wiele wyższy od czasu nauki botaniki i zoologii. I tu w uczelniach słyszy się tłumaczenie — przecież tego miała nauczyć szkoła średnia! Chciałoby się rzec, że współczesne studia biologiczne mają więcej wspólnego z teologią niż z samą biologią. Łączy obie te nauki więcej wiary, niż doświadczenia i poznawania wszystkiego przez szkiełko i oko, które powinno dominować w studiowaniu biologii.

Mając takie „możliwości" nauczyciel musi improwizować, budując lekcję. Najczęściej uczy werbalnie metodami, do których nie przyznaje się metodyka nauczania biologii. Są to metody paznokciowe: „od — do", referatowe, posterowe i jeden Bóg wie, co ci ludzie jeszcze wymyślają. Najczęściej przerzucają cały ciężar pracy na uczniów, którzy ślęczą po nocach nad referatami, planszami, zaprzęgając do tego wszystkich domowników.

Totalne wpadki zdarzają się improwizującemu nauczycielowi rzadko. Przy okazji wizytacji otrzyma najwyżej kilka uwag od swego mądrzejszego kolegi na stanowisku wizytatora, ale nie zdarza się często, by jakiś wizytator pokazał nieszczęsnemu improwizatorowi wzorowo przeprowadzoną lekcję ku pouczeniu. Zresztą, liczą się w końcu tylko wyniki nauczania i to ilu absolwentów szkoły poszło wyżej. Dlatego każdy nauczyciel, nawet ten najbardziej improwizujący, chce się wykazać wysokim poziomem nauczania. W zastraszająco szybkim tempie opanowuje tzw. metody sprawdzania wiadomości (których nie przekazał!). Uczy się zaskakiwać uczniów, nabiera tupetu, „być górą" staje się jego dewizą. Potrafi zadawać trudne pytania, na każdą okazję ma testy sprawdzające, tematy klasówek, kartkówek, sprawdzianów...

Dochodzi do tego, że nauczyciel mało uczy, a dużo pyta. Wiedzą o tym uczniowie i studenci, że

PYTAĆ MOŻE NA „TAK" I NA „NIE"

Ci pytający na „nie" drążą pracowicie każdą najmniejszą szczelinę, w której zwietrzą niepewne wiadomości. Zdają się przeżywać prawdziwe zadowolenie z każdej postawionej dwójki. Razem z dwójką mają zawsze dla ucznia solidną reprymendę. W ich przekonaniu winny jest zawsze uczeń. Nigdy nie ma winy po stronie przeciwnej. Niby dlaczego ma być winny nauczyciel, którego nie nauczono dobrze fachu? Jest rozgrzeszony, przynajmniej w swoim przekonaniu. Nauczyciel pytający na „nie" szybko przekonuje uczniów, że tylko on zna wykładany przedmiot na „pięć". Dla wybitnych uczniów może być u niego najwyżej „czwórka", a najczęstsze oceny to „trójki" i „dwójki". O dziwo, środowisko szybko zaczyna go uważać za bardzo dobrego pedagoga. Ma przydomek wymagającego, a więc takiego, który dobrze nauczy. Taki nauczyciel ma nawet rzeczywiście dobre wyniki nauczania. Spadają mu one wprost z nieba i są wynikiem mozolnie pracującej w podziemiu całej armii nauczycieli-korepetytorów. Korepetytorzy ogłaszają się w gazetach i trafić do nich łatwo, ale jest ich stale za mało jak na wzrastające potrzeby rynkowe.

Tak musi być, gdy żąda się od nauczyciela zbyt wiele, nie dawszy mu praktycznie nic. Nauczyciel nie może się bowiem pochwalić solidnym wykształceniem zawodowym czy odpowiednimi środkami dydaktycznymi. Często nie wystarcza dla niego jednego egzemplarza programu nauczania czy też podręcznika. Żąda się natomiast wzorowej realizacji bardzo nowoczesnego programu nauczania, nie dawszy mu do tego koniecznych środków dydaktycznych. Żąda się od nauczyciela mistrzostwa i artyzmu, gdy on nie ma możliwości być nawet tylko porządnym rzemieślnikiem.

Podobno są kraje, w których od nauczyciela nie wymaga się ani artyzmu, ani mistrzostwa, a jedynie dobrego rzemiosła. Są to kraje ponoć bardzo bogate, ale nie stać ich na nie kończące się manipulacje zwane unowocześnianiem programu nauczania. Mimo że nikt tam nie ulepsza programów, szkoła daje takie szanse zdolnym ludziom, że już dwudziestolatki mogą zasiadać na uniwersyteckich katedrach. Nauczanie w tych krajach można przyrównać do zabawy w klocki Lego, z których, jak wiadomo zbudować można wszystko. A polega ono na tym, że na każdym poziomie nauczania uczeń musi poznać odpowiednią ilość owych klocków, którymi są podstawowe elementy wiedzy z każdego przedmiotu nauczania. Klocki te są ściśle określone i wyliczone. Nie jest ich znowu tak dużo. Za znajomość tych klocków oraz za sprawność operowania nimi, czyli za sprawność konstruowania określonych budowli uczeń otrzymuje oceny, które jak same klocki też są precyzyjnie mierzalne.

W takim nauczaniu nie jest możliwe pytanie na „nie" lub na „tak". Nie jest także możliwe różnicowanie poziomu nauczania na miejski i wiejski. Wyklucza ono także możliwość improwizacji, gdyż szkoła wyposaża równo wszystkich uczniów we wszystko, co jest niezbędne w nauczaniu, a nauczyciel realizuje z góry precyzyjnie opracowane jednostki metodyczne, czyli lekcje. Wszystko to idzie jak w komputerze, dzięki sztabom metodyków z prawdziwego zdarzenia, pracujących w uczelniach i instytutach pedagogicznych, pracujących na rzecz szkoły, by nauczyciel mógł uprawiać wzorowe rzemiosło, a społeczeństwo było dumne ze swej szkoły. Wszystkie drogi stoją w takiej szkole otworem dla uczniów wybitnie uzdolnionych, to znaczy takich, którzy z tych samych klocków potrafią zbudować większe i bardziej skomplikowane konstrukcje niż ich mniej zdolni rówieśnicy. Uczniowie ci mają możliwość przechodzenia z klasy do klasy w ciągu roku szkolnego i podobnie przez uczelnię wyższą osiągając w bardzo młodym wieku szczyt kariery naukowej.

Podobna rzecz jest u nas możliwa tylko teoretycznie. W praktyce jest wręcz nieosiągalna. Nauczyciele, z tych co to pytają na „nie", nie pozwoliliby, by wymknął im się z rąk podobny Zimermanowi utalentowany uczeń. Musiałby zjeść wszystkie pigułki do ostatniej. Kto zna szkołę przyzna, że tak dzieje się nie tylko w szkołach, ale i w uczelniach.

Zagubiono gdzieś po drodze także klimat dawnej szkoły, wynikający z wzajemnego szacunku nauczanych i nauczających. I znów należałoby wrócić do daty likwidacji liceów pedagogicznych, od której zaczął się ujemny dobór naturalny do zawodu nauczycielskiego. Trafili i trafiają do szkoły ludzie z przypadku, nie lubiący ani zawodu nauczycielskiego, ani młodzieży. Brak umiłowania wykonywanego zawodu nie może przynieść dobrych rezultatów, nie może rodzić przysłowiowej dobrej roboty. Efektów braku umiłowania zawodu nauczycielskiego nie da się wyrównać żadnymi punktami preferencyjnymi, bo te efekty sięgają pokładów duszy i umysłu społeczeństwa, gdzie nie sięga moc konsultowanych dziś punktów.

ANTONI P. TABACKI

Dokończenie ze strony 1

3750 złotych za zwolnienia lekarskie.

Oskarżony: Zaprzeczam! Pani K. to osoba nadwrażliwa. Pretensje miała ciągle. Pod namową złożyła na mnie skargę. To jest pomówienie złośliwe.

Sąd: Brał pan pieniądze za akty zgonu.

Oskarżony: Nie! Mogło się jedynie zdarzyć, iż ktoś chciał mnie uhonorować (?) i coś dał. Może było to po godzinach pracy albo w niedzielę...

Dziesięciu świadków stwierdza, iż pieniądze te faktycznie pobierał, lekarz mówi, że są to osoby nastawione.

Sąd: A dlaczego oskarżony wydawał akty zgonu bez oględzin zwłok?

Oskarżony: Nie było takiego przypadku! Potrafię zawsze określić z dokładnością do kilku godzin, kiedy chory umrze (?) Zawsze wcześniej widziałem zmarłego. Mówiłem „on rana nie doczeka". I rano przychodziła rodzina po akt zgonu...

Jasnowidz! Ten moment nieodparcie przywodzi mi na myśl tragedię w ZOZ-ie sandomierskim, na terenie wiejskim. Też wszystkowiedzący medyk już od progu wrzasnął — co to do nieboszczyka mnie wzywacie?! Nawet nie podszedł, nie mówiąc już o badaniu. Choremu, w śpiączce cukrzycowej wypisał akt zgonu. Pogrzeb odbył się szybko. Pochowano żywego człowieka! To, że był złożony akurat w grobowcu w niedługim czasie pozwoliło odkryć prawdę. Wyszła ona na jaw, kiedy w dwa miesiące później zmarł następny członek tej rodziny. Po otwarciu płyty okazało się, iż poprzedni domniemany nieboszczyk — tym razem już naprawdę martwy — klęczał za ciężkimi kamiennymi drzwiami. O gehennie jego ostatnich dni najbliżsi dowiedzieli się z wyniku sekcji. Ocknął się już w trumnie. Żył jeszcze kilka dni w tym ponurym zamknięciu. Jadł ziemię, pił mocz. Co czuł, tego możemy się tylko domyślać...

Charakterystyczne, iż ów lekarz, który skazał go na tak samowitą śmierć nadal pracuje i nie poniósł żadnych konsekwencji... Ale wracajmy na salę sądową, do zeznań świadków.

Stanisław G. zamieszkały w Leśmierzu:

— Ojciec mój leczył się u doktora Krawczyka. Nie opuszczał łóżka, wobec tego lekarz przyjechał do domu. Wręczyłem mu 200 złotych, wtedy powiedział, że należy się jeszcze 50. Więc dopłaciłem. Kiedy zmarł w roku 1982 kartę zgonu wystawił też doktor Krawczyk bez oglądania zwłok.

Eugeniusz S. ze Skotnik:

— Matka miała 74 lata, chorowała ponad rok. Leczyła się u doktora Krawczyka w ośrodku. Mówiła, że płaciła za wizyty.

Świadek trochę się gubi, więc Sąd odczytuje poprzednie zeznania. Wynika z nich, że dokładnie wie, iż jego matka kilkakrotnie płaciła lekarzowi Krawczykowi. Świadek potwierdza zeznania, również to, że dostał akt zgonu bez oględzin zwłok...

— Doktor Krawczyk zażądał za to ode mnie sześćset złotych — powiedział Eugeniusz S. na zakończenie.

Jadwiga B. ze Skotnik.

— Mieszkała ze mną teściowa. Chorowała z pół roku. Na dwa miesiące przed śmiercią nie wstawała z łóżka. Parę razy wzywałam do niej doktora Krawczyka. Zmarła w połowie października, a lekarz ostatnio był w sierpniu, albo na początku września... Siostrzeniec pojechał do dr Krawczyka, przywiózł akt zgonu. Mówił, że płacił 500 złotych.

Ireneusz N. — wnuk zmarłej:

— Byłem u lekarza około godziny ósmej rano w niedzielę. Spał jeszcze, otworzył mi w szlafroku. Powiedziałem, że przyszedłem po kartę zgonu. Wypytał się dokładnie, kiedy babcia zmarła, o której godzinie... Byłem grzecznie obsłużony, w niedzielę, z samego rana, uważałem, że należy zapłacić...

Doktor Krawczyk broniąc się sięgał po wszelkie możliwe argumenty. Tłumaczył, iż starzy ludzie na wsi, bez grosza przy duszy, chcąc wyprosić od bliskich drobną sumę mówili, że idą do lekarza, stąd wzięła się cała fama... Niechęć pań do swojej osoby wyjaśniał Sądowi przy drzwiach zamkniętych, twierdząc, że to są sprawy intymne. Długo ciągnęły się przesłuchania świadków.

Stanisław K. — rolnik ze Skotnik:

— W ośrodku u doktora Krawczyka byłem dwa razy. Płaciłem ze swojej woli po dwieście złotych, żeby mnie lepiej zbadał, przepisał dobre leki...

Skandal w Leśmierzu — początek procesu

Adwokaci nie dają za wygrana.

— A na co świadek się leczył — indaguje mecenas Mazur.

— Na głowę, głowa mnie bolała.

— Głowa, wiadomo! — Podchwytuje skwapliwie obrońca. — Wszystko jasne, wysoki Sądzie!

Daleko idące sugestie przerywa zdecydowanie przewodnicząca.

— Powoływać biegłych psychiatrów nie będziemy!

Błyskotliwa elokwencja, pełna uroku, prawie że niemęska kokieteria adwokata w tym przypadku nie na wiele się przydała. Już miałem okazję poznać ten niewątpliwie najlepszy duet podczas słynnej sprawy kibica meczu Juventus — Widzew. Z identyczną zajadłością atakowano wówczas świadków oskarżenia, ale tamci to przynajmniej byli partnerami co się zowie — światli, przywykli do publicznych wystąpień funkcjonariusze ZOMO. Teraz sytuacja do złudzenia przypomina zabawę kota z myszą. Przykro było patrzeć. Adwokaci dosłownie pastwili się nad nimi.

Zofia S. 65-letnia mieszkanka Sierpowa. Chodziła tylko do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Odpowiadała na pytania nieporadnie. W tej sali niełatwo zrozumieć przyczyny powszechnej niechęci do wysłuchanych. Był u mnie jeszcze dwa razy, też płaciłem tyle samo. Uważam, że jak się do domu prosi lekarza, to jest wizyta prywatna (?). Doktor przychodził także dwa razy do mojej żony, zawsze wołał trzysta złotych. Dawaliśmy!

Urszula K. — pracownica PGR przyszła na salę roztrzęsiona. Nie chciała składać dalszych zeznań. Poinformowana przez Sąd, iż nie może się wycofać, potwierdziła, że jeden dzień zwolnienia kosztował ją 250 złotych. W sumie za czternaście dni zapłaciła około 3,5 tysiąca. Mówi, iż nigdy w tych kilku przypadkach nie była badana, ani też nie miała przepisywanych leków.

Janina Z. zamieszkała w Leśmierzu, zeznawała, iż za każdą wizytę zamawianą dla babci w godzinach pracy ośrodka (!) płaciła po pięćset złotych. Zaskakujące jest wyjaśnienie oskarżonego, który tłumaczył, że babcia przybyła z innego rejonu. Czyżby doktor Krawczyk nie wiedział, że istotne jest miejsce przebywania, a nie zameldowania? A w ogóle to niby z jakiej racji staruszka opłacała jego wizyty? Czasy, kiedy rolnik nie był ubezpieczony minęły bezpowrotnie.

Wszyscy świadkowie zeznawali zgodnie, że dr Krawczyk zawsze przyjmował sam, bez pielęgniarki.

Z ramienia łódzkiego Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej występował lekarz Jerzy Żabicki.

— Badaliśmy sposób orzekania jedynie w świetle dokumentów. Z pacjentami nie rozmawialiśmy. Pewne niedociągnięcia były. Znaleźliśmy także przypadki zupełnie inne np. dzisiaj wypisuje się zwolnienie trzy dni wstecz, a już jutro do pracy... To może nasuwać poważne wątpliwości. Zdarzało się też, że dla „dobra pacjenta" lekarz nie zaznaczał w zwolnieniu — pijany. (A wiadomo, zakład nie może płacić za pierwsze trzy dni zasiłków).

...Wyczuwało się też w ośrodku niewłaściwą atmosferę!

W przerwie oskarżony podchodzi do dyrektora ZOZ-u Jerzego Pasińskiego, który również występował w charakterze świadka. Jest zainteresowany amnestią, informuje się, czy już może się ubiegać o kierownicze stanowisko... (w związku ze sprawą Komisja Kontroli Zawodowej pozbawiła go niedawno prawa zajmowania takowych przez okres trzech lat). Dr Jerzy Pasiński przyznał mi się, że jest zdumiony frywolnością oskarżonego. Sam występuje tu przecież tylko w charakterze świadka, a czuje się wielce skrępowany, zestresowany, a cóż dopiero ci prości ludzie.

Powiedział, że w czasie zeznania miał tyle do powiedzenia, chciał wyjaśnić Sądowi — bo przecież wyglądało jakby nikt się tu nie orientował — że lekarzowi w żadnej sytuacji nie wolno wystawiać aktu zgonu bez szczegółowych oględzin denata... Bez zezwolenia na praktyki prywatne nie można przyjmować datków pieniężnych od pacjentów, ani tym bardziej żądać, ani określać ich wysokości. Niestety mówił mało, głos mu uwiązł w gardle, a przecież wystąpienie publiczne dla niego, to nie pierwszyzna...

Zofia P. właścicielka gospodarstwa rolnego zeznając powiedziała:

— Kiedyś doktor Krawczyk zażądał ode mnie pół świniaka, ale gdy wyjaśniłam, że nie mam, bo biję dwa razy do roku, wtedy zażądał jajek...

Jako jeden z ostatnich świadków w tym dniu zeznaje dyr. PGR w Leśmierzu **Jerzy Smolewski:**

— Teraz, gdy doktora Krawczyka nie ma w Leśmierzu, ilość zwolnień zmalała radykalnie! Przedtem rozkładał mi zupełnie pracę... Prawie każdy chory na druku L-4 miał adnotację „może chodzić z ograniczeniem". Ilość tych zwolnień była ogromna. Zdarzyło się raz czy drugi, iż „chorzy" mieli napisane „powinien leżeć", a złapano go jak chodził po Leśmierzu. Już następnego dnia przynosił karteczkę od dr Krawczyka „może chodzić z ograniczeniem". Pracownicy, którzy nie mogli akurat dostać dnia wolnego, kiedy sobie tego życzyli, wykrzykiwali brygadzistom — „jest jeszcze lekarz w Leśmierzu" i faktycznie przynosili zaraz zwolnienie. Teraz wszystko zwyczajnie skończyło się, możemy pracować.

— Nieobecność doktora Krawczyka nie ma z tym nic wspólnego. Przyjmujecie pracowników nie korzystających ze zwolnień! — atakuje adwokat.

— Nic podobnego! Nie robiliśmy tego uprzednio! A obecnie nie ma już takiej potrzeby. Nagminne „choroby", absencja — to się skończyło...

Należy się dziwić, że na sali sądowej zabrakło takich świnoków jak I sekretarza Komitetu Gminnego PZPR w Ozorkowie — Jana Marlickiego, naczelnika gminy Ozorków — Elżbiety Gieragi, gdyż sprawa zwolnień, w ogóle specyfiki działalności lekarza Jerzego Krawczyka była poruszana niejednokrotnie na egzekutywach KG partii oraz na licznych naradach w Urzędzie Gminy. Zwracano się z nią także do Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi...

Rozprawa sądowa została odroczona do 25 października 1984 r., nie jak planowano do 11. Mecenas Mazur poprosił Sąd, aby mógł przed jej zakończeniem wykorzystać urlop. Oskarżony z aprobatą kiwał głową, nic nie miał przeciwko zwłoce. Sąd też się przychylił.

EDWARD BRYL

Widok z okna

Słońce rozpoczynało właśnie swoją codzienną wędrówkę, wypływało ponad dachy domów i nanosiło na plan miasta sieć ciepła i optymizmu. Przebudzone wróble jazgotały na gałęziach klonu, puste jeszcze miejskie autobusy zaczynały swoje w koło Macieju, a dostawcze ciężarówki dzwoniły butelkami po mleku. Gdzieś za firanką terkotał budzik, przerywając smaczny sen urzędnika. Dozorca strumieniem wody czyścił chodnik. Starzec wygrzebywał butelki z pojemnika na śmieci.

W mieszkaniu na drugim piętrze zatrzeszczało radio „Pionier" i popłynęła muzyczka na dzień dobry. Pani Sabina odrzuciła kołdrę, zanurzyła stopy w puszyste bambosze i raźno podreptała do łazienki. Zimną wodą przemyła zaspane oczy, po czym obiema rękami, delikatnie zdjęła z kredensu skórzany futerał. Ostrożnie wydobyła zeń ciężką lornetkę, rozsunęła firanki i zasiadła w fotelu na stałe zainstalowanym przy oknie. Pani Sabina zbliżyła szkła lornetki do oczu, nakierowała je na pierwszy górny rząd okien w sąsiednim bloku i obserwowała.

Pani Sabina jest emerytką. Mąż opuścił ten świat jeszcze w sile wieku. Dopadło go echo ostatniej wojny i zgasł cichutko, tak jak cichutko żył. Dzieci rozsypały się po kraju i krążą wokół swych małych i dużych spraw. Tylko czasem — na święta, albo na urlop zjeżdżają do starej matki, żeby pożalać się na zabiegany los, marne zarobki, złośliwych przełożonych. Bywa, że przybywają razem z gromadką rozkrzyczanych wnucząt — psotnych i grymaśnych, ale jakże kochanych. Wtedy mieszkanie babci tętni życiem, a na starych meblach osiada gruba warstwa kurzu. Babcia czuje się potrzebna. Tak, jest potrzebna tym małym istotom. Babcia nakarmi, uczesze, wypierze brudne ubranka i z porcelanowego wazonu wygarnie zwitek banknotów, odkładanych na takie chwile. Potem przeliczy je w kuchni, rozłoży na kupki i wetknie w dziecięce rączki — niech wnuki uczą się szanować pieniądz. Kiedy dzieci wyjadą, znowu zrobi się smutno i tak jakoś nieprzyjemnie. Nie ma dla kogo przynosić mleka i świeżych bułeczek z samu...

Pani Sabina trzydzieści pięć lat chodziła do pracy. Trzydzieści pięć lat to — jak obliczyła — chyba z dziesięć tysięcy razy. Więc tyle razy wstawała pani Sabina o tej samej godzinie, szła do sklepu, robiła śniadanie, zamykała drzwi.

Dziesięć tysięcy razy budziła się za kwadrans szósta — najpierw przy pomocy zegara, później bez jego potrzeby. Bo w człowieku jest taki biologiczny budzik, taki uparty dzwonek, który odpędzi sen i każe otwierać oczy, nawet kiedy nie chce się wstawać, nie trzeba wstawać. A jednak on — ten budzik — nie da spokoju i nijak go uciszyć.

Dziesięć tysięcy razy wstać za kwadrans szósta, znaczy całe życie wstawać za kwadrans szósta — trzeba i już!

Więc pani Sabina wstaje i idzie do okna. Zagląda przez szyby do innych mieszkań i zazdrości ludziom, że szykują się do pracy, że śpieszą się, że przeklinają poranne wstawanie. Zaraz wyjdą z domu, wsiądą do tramwaju i wrócą dopiero po południu. A ona zostanie sama — bez przydziału.

Kiedy szła na emeryturę, myślała że wreszcie odpocznie, zrobi tysiąc wcześniej odkładanych czynności, zadba o siebie. Ale gdzież tam — dzień był taki długi i tak mało wypełniony pracą. Mogła z tym dniem zrobić wszystko — lecz nie potrafiła. Nie będzie stała w kolejkach, bo jej te wszystkie towary nie są potrzebne, a kobiety z ogonków bywają bezwzględne i wścibskie. Nie będzie chodziła na długie spacery po parku, spotykała się z innymi emerytami, gaworzyła o niczym. Pozostał zatem stary telewizor, czasem radio z rodziną Matysiaków i kłębek włóczki na sweter dla wnuka.

Wieczorem widywała jak w sąsiednim bloku zapalają światła w oknach; całe rodziny zasiadają do stołu. Lubiła patrzeć na tych ludzi. Czuła, że powinna być wśród nich i bardziej, coraz bardziej, wkraczała w ich intymny świat. Z wolna traciła wszelkie wątpliwości, co do moralności swych czynów. — Niech zasłaniają okna — mówiła i dalej wpatrywała się w cudze pielesze. Lecz ciągle między nią a tamtymi ludźmi był wyczuwalny dystans — odległość, która nie pozwalała widzieć ich twarzy, czytać ich gestów.

W końcu miesiąca przyszedł listonosz z emeryturą. Właściwie już wcześniej podjęła decyzję. Z niedzielnej, czarnej torebki wyjęła oszczędnościową książeczkę i poszła na pocztę. Wróciwszy poczyniła obliczenia i wyszło, że półtora tysiąca musi w tym miesiącu starczyć na życie. Resztę — całą emeryturę i tysiąc złotych oszczędności — zawinęła w foliowy woreczek, po czym ruszyła ku przeznaczeniu.

W optycznym sklepie troszkę się krępowała, ale przecież nikt nie musiał wiedzieć co zamierza.

— Proszę mi pokazać tę lornetkę. To dla wnuka na urodziny — zapewniała sprzedawcę i po trosze chyba również siebie. — Wnuczek lubi oglądać przyrodę i bardzo się ucieszy...

Tego wieczora przyciskała swój skarb do zaczerwienionych oczu tak długo, aż pogasły ostatnie światła w tamtym bloku. Za kwadrans szósta była znowu w oknie. Teraz widziała dobrze. Mogła bez trudu odczytać nawet co większe litery na ściennym kalendarzu sąsiadów z przeciwka. Mogła dokładnie widzieć, co jedzą, w co są ubrani, jakie mają meble i naczynia. Mogła robić to wszystko i jednocześnie pozostawać niewidzialną. Wspaniałe!

Czuła dziwną satysfakcję, kiedy mijała na ulicy obiekty swych zainteresowań.

— Pewnie myślą, że jestem zwykłą siwą staruszką — mówiła do siebie. — A ja przecież wiem o nich wszystko. Znam ich dobrze, a oni mnie nie znają. Jestem lepsza od nich...

Nabierała przekonania o swej wyższości. Kontrolowała przecież życie kilku rodzin. Kontrolowała ich zachowania — tak jak matka, która wie, że dziecko kłamie, a mimo to pozwala mu brnąć w ślepy zaułek. Powiew boskości — widzę was, lecz wola wasza wolna.

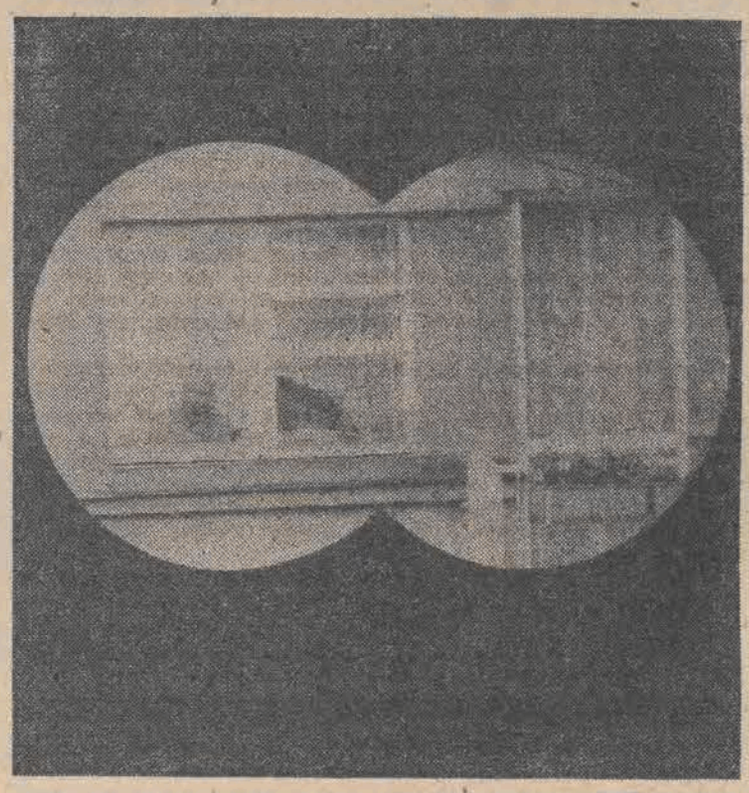

Foto: G. Gałasiński

Ten mężczyzna z parteru pozuje na dyrektora. Jest grzeczny, uprzejmy, zawsze w świeżej koszuli. A przecież wiadomo, że jest zwyczajnym, małym pijaczkiem. Przychodzi do domu i notorycznie pije wódę, aż do utraty świadomości. Co wtedy przeżywa jego żona — biedne kobieciątko...

Małżeństwo z pierwszego piętra dorobiło się fiata. Tylko jak oni żyją, jak marnie jedzą, jakie łachy noszą po domu.

Albo ten kombinator ze środkowej klatki. Nic tylko ubija interesy z ciemnymi typkami. No, ale w kuchni ma boazerię i włoską lodówkę.

Pani Sabina zna na pamięć nazwiska swych podopiecznych. Poszła kiedyś do tamtego bloku i przepisała spis lokatorów. Potem wyrysowała na kartce papieru wszystkie okna i podpisała je nazwiskami właścicieli. Tak jest znacznie łatwiej. Już nie tamten, tamta, ale konkretnie: Warecki, Notkowa... Pod trzynastym mieszka ekspedientka. Codziennie przynosi pękate torby jedzenia, ale zaraz rozprowadza towar między sąsiadki i koleżanki. Musi pracować w spożywczaku, gdzieś w innej dzielnicy, bo tutaj pani Sabina zna wszystkie sprzedawczynie. Ona — ta ekspedientka — żyje na kocią łapę z blondynem, który jest kierowcą furgonetki. Żyją zgodnie — nie można powiedzieć, tylko dlaczego nie po bożemu?.....

Pod osiemnastym mają dorastającego syna. Raz, gdy rodzice wyjechali na wczasy, smarkacz urządził pijatykę. Dokazywali strasznie — była nawet milicja. Pani Sabina musi koniecznie napisać list do rodziców tego chłopca, żeby wiedzieli co tu się działo. Nie, nie podpisze się. Wrzuci list do odległej skrzynki jak pojedzie na cmentarz podlać kwiaty na grobie męża.

Na trzecim piętrze mieszka „Ropucha". Pani Sabina tak ją nazwała i sama nie wie dlaczego. Może z obrzydzenia? Tak, chyba z obrzydzenia i z pogardy dla kobiety, która przyjmuje w domu obcych mężczyzn. Tych panów było już kilku. Jeden przyszedł nawet o wpół do jedenastej wieczorem. Ohyda!

Słońce wdrapywało się coraz wyżej, ku szczytowi nieba. Ludzie są już w pracy, dzieci wybiegły do szkół. Zresztą teraz, o dziewiątej niewiele już widać. Promienie słońca odbijają się od okiennych szyb i oślepiają obserwatorkę. Pani Sabina wie, że najlepiej widać o wschodzie. Wtedy słońce przedziera się wprost do mieszkań i prześwietla firanki. Wtedy można zobaczyć wyraźnie jak wstają domownicy, jak ubierają się.

Pani Sabina odkłada lornetkę i idzie na zakupy. Gotuje obiad, sprząta, ogląda telewizję. Czeka. Czeka do wieczora, aż zgaśnie dzień i w oknach znowu zapłoną światła. Znowu siądzie w swoim fotelu, przetrze bibułką soczewki i będzie czuwała. Ona jedna na straży prawa i moralności. Ona — sędzina ludzkich czynów i zamiarów. Ona jedna...

Pani Sabina wie już, że jest niezastąpiona, że jej obecność może kiedyś zaważyć na życiu tamtych ludzi. Czasem wyobraża sobie jak w sąsiednim bloku, w jednym z okien widzi ogień. A tam są małe dzieci. Pobiegnie wtedy do sąsiadki na parter i zadzwoni po straż. Uratuje dzieci, uratuje dom! Albo przyjdą złodzieje. Pani Sabina pozna złodzieja, bo przecież zna wszystkich w tym bloku. Więc gdy zobaczy rabusiów, to wezwie milicję. Będą jej wtedy strasznie wdzięczni... I jeszcze może pomóc w innych, nagłych wypadkach. Może ocalić małżeństwo przed rozbiciem lub młodzieńca przed złym towarzystwem. Pani Sabina może zrobić to wszystko.

Starsza pani twierdzi, że ludzie nie zasłaniają okien, bo chcą pokazać swój dorobek. Chcą pochwalić się pięknymi meblami, kolorowym telewizorem, wzorzystą tapetą na ścianie. Ludzie chcą być obserwowani, więc ona — pani Sabina — nikomu krzywdy nie czyni. Więcej, spełnia jedynie ludzkie kaprysy i jest potrzebna.

LUDZIE, ZASŁANIAJCIE OKNA!

ROMAN KUBIAK

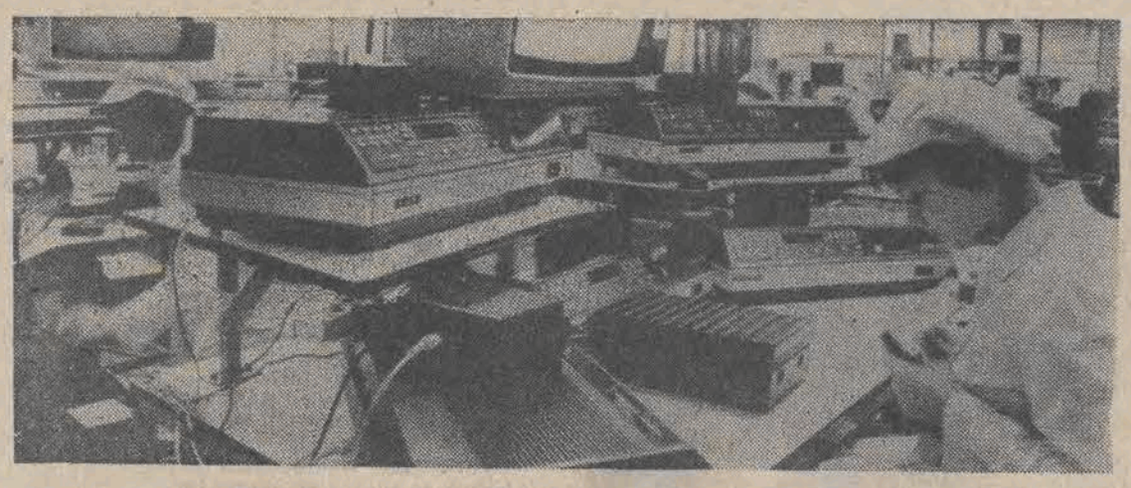

Video — teren do uporządkowania

Pierwsi szczęśliwi nabywcy sprzętu video, mający głowę do interesów, zaczęli zgłaszać się do Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta mniej więcej dwa lata temu. Od roku, mówią w wydziale, stali się prawdziwą plagą. Nie ma prawie tygodnia, żeby nie przyszły w tej sprawie, trzy, cztery osoby. W innych dużych miastach sytuacja podobno „też nie jest lepsza". Łódź nie stanowi tu wyjątku.

Do urzędu często przychodzi się po jakiś papier. A urząd nie zawsze chce taki papier wydać. Nieraz po prostu nie może. Ale nie wszyscy mogą to zrozumieć. Podejrzewają Bóg wie co. Dziwią się. Denerwują.

Jak to? — pytają. — Przywiozłem z zagranicy dobry zachodni magnetowid, przywiozłem kasety z filmami (nie żadne polityczne czy „pornuchy", normalne, dobre filmy), których u nas w kinach nie zobaczysz. A że kin w Łodzi też jakby ostatnio nie za dużo, to ja chciałbym otworzyć takie małe prywatne kino video. Ludzie obejrzą kawałek niezłego filmu, ja zarobię parę „groszy"... Oczywiście wszystko legalnie, bez lipy — cenzura zatwierdzi filmy, będę płacić podatki... Chodzi tylko o ten papierek, że wolno. Państwo też przecież na tym zarobi. Mam rację, nie?

Ale w urzędzie zasada, że petent ma zawsze rację, niestety, nie obowiązuje. Urząd, który reprezentuje przecież władzę, ma bowiem swoją, całkiem inną rację. Poza tym urząd w przeciwieństwie do petenta na ogół dobrze zna przepisy, a wiadomo, że przepisy to święta rzecz. I — głową muru nie przebijesz.

Pierwsze projekcje filmów muzycznych z videokaset Łódzki Klub Jazzowy zaczął organizować jesienią ubiegłego roku. Członkowie klubu (nie wyłączając tak zwanych osób towarzyszących) bardzo sobie tę nową inicjatywę chwalili. I prawdopodobnie dalej mieliby powód *do radości, gdyby nie to, że ŁKJ za obejrzenie na przykład filmu „Ściana" z muzyką słynnego* brytyjskiego zespołu Pink Floyd, kazał każdemu widzowi zapłacić najpierw za bilet. Klub uważał, że ma do tego pełne prawo, gdyż zarówno magnetowid, jak i kasety z filmami musi wypożyczać, jako że sam takowych nie posiada, a to oczywiście kosztuje. Pieniądze ze sprzedanych biletów szły więc na pokrycie kosztów organizacyjnych projekcji i tylko na to, ponieważ klub nie chciał na tym zarabiać, choć przecież mógłby, bo chętnych nie brakowało.

Niestety, urząd był innego zdania, a konkretnie — że klub nie ma prawa pobierać opłat za oglądanie filmów. Jeżeli go na to stać, niech robi zamknięte pokazy dla swoich członków, a koniecznie — bezpłatnie. Tak mówią przepisy. *I — projekcje musiano zawiesić.*

* * *

30 listopada 1983 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki wysłało do wszystkich wydziałów kultury urzędów wojewódzkich specjalne pismo, w którym starało się wyjaśnić, co z video wolno robić, a czego nie wolno. Treść pisma można by mniej więcej sprowadzić do tego, że: 1. W Polsce obrót filmami prowadzą wyłącznie przedsiębiorstwa państwowe, 2. Właściwym organem do wydawania zezwoleń na publiczne wyświetlanie filmów z videokaset (pochodzących wyłącznie z Przedsiębiorstwa Dystrybucji Filmów) jest terenowy organ administracji państwowej stopnia wojewódzkiego, 3. Filmy nie pochodzące z tego przedsiębiorstwa, a prezentowane publicznie, eksploatowane są bezprawnie, gdyż jest to sprzeczne z przepisami prawa autorskiego i zasadą państwowego monopolu w tej dziedzinie.

Temu, że ministerstwo zajęło zdecydowane stanowisko, trudno się dziwić. Ministerstwo musiało tak zrobić, aby — po pierwsze — odeprzeć jakoś „napór" pomysłowych posiadaczy mangetowidów, którzy nie chcieli trzymać ich jedynie do prywatnego użytku, a po drugie — ażeby odeprzeć zarzuty zachodniej prasy, zarzucającej władzom polskim, iż świadomie tolerują „piractwo video".

Fakt ten jednak skłania również do postawienia co najmniej dwóch ważnych pytań, a mianowicie:

Dlaczego MKiS w sprawie video „obudziło się" dopiero w listopadzie ubiegłego roku?

Oraz:

Dlaczego mówi się o wydawaniu zezwoleń na projekcje filmów z videokaset, skoro wspomniane już Przedsiębiorstwo Dystrybucji Filmów, z którego owe kasety powinny pochodzić, nie mogło takowych udostępnić, jako że ich po prostu nie miało?

Wypada też od razu zapytać, co będzie dalej, gdyż zrozumiałe, że pismo z 30 listopada 1983 roku nie mogło budzić wśród zainteresowanych zbytniego zadowolenia. A że nie budziło go również w samym ministerstwie, gdyż rzeczone pismo miało przede wszystkim charakter informacyjny, tym bardziej problem wymaga jak najszybszego rozwiązania.

W ministerstwie panuje pogląd, że nie należy hamować upowszechniania się osiągnięć techniki video, jednak — wszystko musi odbywać się legalnie.

Piractwem jest nie tylko publiczne odtwarzanie videokaset za pieniądze, ale także — działalność prywatnych wypożyczalni, gdyż jedno i drugie stoi w sprzeczności z przepisami prawa. W domowym zaciszu każdy posiadacz magnetowidu może sobie odtwarzać, na co ma ochotę. Działalność publiczna musi być jednak prowadzona w pełnym majestacie prawa.

Podobne zresztą zasady obowiązują w przypadku nagrań płytowych. Przecież każda płyta czy to polska, czy niepolska posiada stosowny napis, mówiący, że kopiowanie i publiczne odtwarzanie surowo jest zabronione. Dlaczego kasety video miałyby być traktowane inaczej?

* * *

Jeżeli chodzi o video, MKiS ma ambitne i bogate plany. Po uregulowaniu wszelkich kwestii prawnych (a są tu jeszcze pewne luki) zamierza w najbliższej przyszłości: 1. Uruchomić własne, państwowe wypożyczalnie videokaset (na razie tylko z filmami produkcji polskiej), 2. Zakupić aparaturę do profesjonalnego kopiowania kaset (tak z filmami polskimi, jak i zagranicznymi, na których rozpowszechnianie nabyte zostaną prawa), 3. Zakładać państwowe kina video, które w pierwszym rzędzie uzupełnić mają sieć kin objazdowych.

I wypadałoby z tych planów tylko się cieszyć, gdyby nie świadomość, że za tym wszystkim kryją się, niestety, pieniądze. A że polska kultura nigdy nie była zbyt bogata (w środki płatnicze krajowe i obce), tym bardziej obecnie, w dobie kryzysu trudno spodziewać się, iż nagle z nieba zaczną nam spadać dolary, czy choćby ruble. Dlatego też do ambitnych skądinąd planów MKiS należałoby podchodzić chyba z *pewną rezerwą i sceptycyzmem.*

Kierunek niewątpliwie jest słuszny. Technika video z pewnością *odgrywać będzie* na całym świecie coraz większą rolę. Filmy kręcone przy jej użyciu (przede wszystkim dla potrzeb telewizji) są coraz popularniejsze, a także — co bardzo ważne — tańsze w realizacji od filmów na tradycyjnej taśmie celuloidowej. Również ich dystrybucja daje dużo większe możliwości.

W Polsce kina video znakomicie mogłyby uzupełnić sieć kin tradycyjnych — zwłaszcza na wsiach, w małych miasteczkach oraz w nowych osiedlach wielkich miast. Rośnie też nam stale liczba posiadaczy magnetowidów, którzy potencjalnie będą na pewno zainteresowani możliwością nabycia lub wypożyczenia videokaset za złotówki i blisko miejsca zamieszkania. Warto więc rzeczywiście zacząć wreszcie w video inwestować.

Ale są i bariery. Przede wszystkim jeżeli chodzi o sprzęt. Magnetowid w wielu krajach stał się już urządzeniem powszechnego użytku. Liczba tych urządzeń w Polsce również systematycznie wzrasta. Jednakże dotychczasowe próby wprowadzenia na polski rynek magnetowidów rodzimej produkcji uznać trzeba raczej za nieudane, jako że zakłady im. M. Kasprzaka postawiły chyba na niewłaściwe konie (czytaj: licencje). Magnetowidy MTV-10 i MTV-20 nie były wysokiej jakości, nie mogły skutecznie konkurować ze sprzętem innych firm, miały też różne systemy zapisu. Magnetowid MTV-50 — jak twierdzą znawcy — też chyba nie stanie się cenionym i ogólnodostępnym urządzeniem. Import z krajów zachodnich odpada ze względu na brak dewiz, a import ze Związku Radzieckiego, gdzie powoli przystępuje się do seryjnej produkcji sprzętu video, to dopiero sprawa przyszłości. Zresztą i on nie rozwiąże wszystkich naszych problemów.

W tej sytuacji najwięcej magnetowidów trafia do Polski w wyniku zakupu ich na Zachodzie przez osoby prywatne, które na to stać. Niektórzy robią to z myślą o rozkręceniu jakiegoś interesu i — wiadomo skądinąd — że interesy takie mimo wszystko są robione.

Resort kultury widzi w takich ludziach w pierwszym rzędzie kombinatorów i groźnych dla siebie konkurentów. I to jest zrozumiałe. Ale paradoks sytuacji polega na tym, że to właśnie prywatne osoby stać na zakup dobrego sprzętu, a resort kultury — raczej nie.

Może więc zamiast ostro zwalczać prywatną inicjatywę, należałoby raczej zastanowić się, w jaki sposób z pożytkiem dla wszystkich wykorzystać możliwości i gotowość inwestowania w video osób prywatnych. Jak najszybciej uregulować wszystkie kwestie prawne, stworzyć odpowiednie warunki do legalnego zakupu praw na rozpowszechnianie filmów zagranicznych, przekopiować polskie filmy na videokasety i — dać takim ludziom szansę zgodnego z prawem działania. Bo jeśli szansy takiej nie będzie, piractwo rozszerzy się jeszcze bardziej, a przecież tego byśmy nie chcieli. To tak, jak ze spekulacją — nie zniknie póki nie zapełnią się sklepy.

Video to interes. Można na nim nieźle zarobić. Ale video to również element szeroko rozumianej kultury końca XX wieku. Myśląc o przyszłości należałoby pamiętać o obu aspektach zjawiska. Dlatego jeżeli ktoś prywatnie chce inwestować w niedoinwestowaną przecież kulturę, może warto to jakoś wykorzystać. Że chce przy tym zarobić — nie należy się dziwić. Któż by nie chciał? Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo, że mógłby ktoś zarobić za dużo. Od czegóż jednak podatki?

P. T.

WINOBRANIE'84

Jak na lekarstwo

Dokończenie ze strony 1

się do cna. Winobranie zeszło z ulic w domowe pielesze.

GDZIE TE CZASY...

Ech, łza się w oku kręci, a ślina na języku — wspominają mieszkańcy i nieliczni już goście byłego winnego grodu. Byłego, bo z winnic zostały mizerne szczątki, a gronowego napoju jak na lekarstwo. Nawet coroczne winobraniowe święto z wolna przybiera charakter regionalnego festynu pod oficjalną nazwą Dni Zielonej Góry.

Tradycja umierała tu wolniej niż okoliczne winnice. Dawno już buldożery zrównały z ziemią gronowe plantacje, dawno już festiwal radzieckiej piosenki przysłonił inne skojarzenia z miastem, a przecież winobranie było jak się zowie. Wino dojrzewało w beczkach, beczki wytaczano na ulice i strumień gronowego płynął aż do rana. Potem strumień ów był z każdym rokiem coraz cieńszy i cieńszy... Reszty dopełniły ostre antyalkoholowe zakazy z ubiegłych lat, skutecznie odstraszające gości, no bo jakież to wesele bez panny młodej.

Gdzie te czasy, gdy na winobranie zjeżdżały tłumy rodaków, gdy do Zielonej Góry ciągnęły zakładowe wycieczki, a pociągi były tak zatłoczone jak lipcowe pośpieszne do Kołobrzegu. To była noc! — noc z soboty na niedzielę. Miasto nie spało. Miasto bawiło się do białego rana. Na starówce biesiadne stoły. Winiarnie czynne na okrągło. Co kilka kroków antałek z trunkiem. Co kilka kroków jakaś atrakcja — niekoniecznie zaraz argentyńska czy hiszpańska. Krajowa — za to spontaniczna. Prawda, że byli i tacy, którzy tankowali w co się dało — w żołądki, bańki, garnki i kanistry. Tankowali do oporu. Dziarscy stróże porządku nie wkraczali do akcji. Kto miał słabszą głowę, padał na trawnik, kimał i powracał do zabawy. Tej nocy izba wytrzeźwień była nieczynna. Dopiero dobrze po północy gdy „trup" gęsto usłał centralne skwery, stróże porządku przystępowali do formowania „ekip oczyszczających". Ściągano konwój ciężarówek kierowanych przez z obowiązku tylko trzeźwych, szoferów, pakowano doń bezwładne ciała, po czym konwój brał kurs na podmiejski lasek. Tam delikwentów układano w rowie i wracano po następny ładunek, który zdążył już lec na miejscach poprzedników. Śladem ciężarówek wyruszała zwykle watażka cwaniaków o wybitnych uzdolnieniach manualnych. Rabusie bezkarnie patroszyli kieszenie winobraniowych gości. Znikały portfele, zegarki, a nawet buty i spodnie. Rankiem, gdy gigantyczny kac snuł się nad winnym grodem, szosą ku miastu dreptała luźna kolumna doszczętnie ogołoconych amatorów gronowego. Ale mało kto zastrzegał, że nie przyjedzie więcej. I przyjeżdżali. Ech, łza się w oku kręci, a ślina na języku...

A teraz: reporter miejscowego dziennika pieje z zachwytu, bo na parkingu dostrzegł autobus z Rybnika! Słusznie — być może za rok nie zbłądzi tu nawet pies z kulawą nogą. Wszak Winobranie '84, to impreza jak każda inna — jak festyn w Łowiczu, Suwałkach, czy na Zdrowiu. Dominują regionalne stroje słupsko-podhalańskie, cukrowa wata na patyku, plakat z mistrzem Brucem Lee i płytowe przeboje Krzysztofa Krawczyka. Przepraszam, jest pewna różnica. Mianowicie tu, w Zielonej Górze muszą być winogrona. Gigantyczny ogonek pokornie czeka na przydział owoców rozprowadzanych wprost z platformy ciężarówki. Obok piętrzą się puste już skrzynki z napisem „Bulgareksport". No to co, że importowane — tradycja rzecz święta.

Jakby przeczuwając nieuchronną katastrofę lubuskich obrządków, szacowny Komitet Organizacyjny Dni Zielonej Góry, zafundował grad imprez towarzyszących. Świąteczny tydzień wypełniły między innymi: Międzynarodowy Festiwal Pieśni i Tańca (zespołów „importowanych" z Czechosłowacji, Hiszpanii, Rumunii, Argentyny, ZSRR, NRD, Grecji), pokazy mody i dyskoteki, popis rekordzistów Polski w tańcu disco non-stop (11 godz. i 25 min.) i biegi w workach, wyścigi na taczkach i wystawa fotografii „Wenus", mecz piłki nożnej pań i pokaz karate, a nade wszystko kiermasze — odzieżowy, cukierniczy, wędliniarski, obuwniczy, etc., etc. I żeby zielonogórzanom umilić chłodne popołudnie wystrzelono w niebo sztuczne ognie. Gdzie jest ogień, tam ma się rozumieć potrzebna jest straż pożarna. Wpuścili więc dzielnych strażaków między blok nowego osiedla, żeby pokazali niedowiarkom jakie to długie mają drabiny, jak sprawnie rozwijają pożarnicze węże i jak celnie sikają strumieniem piany. Pokazali i odjechali. A lud cmokał z zachwytu i dziwował się wielce.

Wszystko było! Kompletny groch z kapustą. Totalny przerost formy — czyli szlachetne zabiegi reanimacji denata zwanego tradycją.

Ze skóry wyłaziło Towarzystwo Miłośników Tradycji. Widać, że bardzo zależało im na przedłużeniu agonii winobraniowych godów. Działacz pieczętujący się „Miastosław Zdzisiu Piotrowski" rozdawał gratisowe informatory z planem miasta. Namawiał do wypełnienia ankiety. Jedno z pytań brzmiało: „Jak się ma ustawa antyalkoholowa do winobraniowego święta?" — „Jak wół do karety" — skwitował ktoś ze zgromadzonych. Miastosław nie rezygnował. Proponował honorarium dla tych, którzy odpowiedzą na cztery pytania. Nic z tego, ludzie wolą wypełniać ankiety paszportowe...

Było zimno i siąpił deszcz. Winogrona sprzedano. Kiermasze zamknięto z braku towaru. Winiarnie wcale nie pękały w szwach. Deptak opustoszał przed zmrokiem. Pod ścianą ratusza stała bateria pustych butelek.

PIWNICA?

Na barwnych etykietkach zdobiących szklane opakowania węgierskich i jugosłowiańskich win zwraca uwagę napis: „Centralna Piwnica Win Importowanych w Zielonej Górze". Długo nie mogłem odgadnąć co kryje się za tą nazwą — jakieś kilometrami ciągnące się piwnice, a może składy omszałych butelek słusznej daty? Ba, nikt nie potrafił wskazać mi drogi do rzeczonych piwnic. W telefonicznej książce taka instytucja w ogóle nie figuruje. Może to tajemnica...

Zaczynam poszukiwania od odwiedzin w zakładach owocowo-warzywnych, gdzie jak wiadomo podstawową produkcją jest bełt. No i od razu trafiłem! Okazuje się, że tu właśnie mieści się rozlewnia importowanych trunków, którą warszawscy urzędnicy nazwali górnolotnie Centralną Piwnicą.

Od czasu do czasu zajeżdża przed piwniczne bramy samotna cysterna z zagranicznym trunkiem. Wino przepompowuje się do kadzi, a następnie wypełnia się nim butelki, które bez chwili oczekiwania wędrują na spragniony rynek. Ot i cała zagadka piwnicy.

Jeszcze trzydzieści lat temu tutejsza piwnica słynęła z doskonałego szampana. Najpierw wytwarzali go Niemcy, a kiedy ziemia lubuska znalazła się w granicach państwa polskiego zgromadzone tu zapasy przez prawie dziesięć lat były podstawą produkcji wina musującego. Piwnica miała wówczas dwie kondygnacje, od posad po stropy wypełnione leżakującym trunkiem. Z tamtego okresu została ostatnia już, bogato zdobiona kadź o pojemności, bagatela, 36 200 litrów. Zgodnie z ówczesnymi wymogami sztuki winiarskiej wykonano ją z drewna dębowego. Dziś nie ma ani takiej dębiny, ani rzemieślników potrafiących odtworzyć XIX-wieczny eksponat. Szybciej, taniej i łatwiej budować pojemniki z metalu albo z żelbetonu. Lecz żeby wino nie trąciło rdzą lub cementem, wnętrza kadzi wykłada się drewnem — co podobno trochę pomaga. Zresztą, jakie to ma znaczenie, skoro gromadzi się w nich przeważnie bełty, a więc coś, czego smak opiera się w głównej mierze na walorach siarki i benzoesanu sodowego. Chociaż — trzeba to przyznać — zielonogórskie wina owocowe nie należą do najgorszych. W konfrontacji z łowickim kwachem mogą spokojnie pretendować do miana „królewskiego" napoju. Z drugiej jednak strony samo tylko zapoznanie się z procesem produkcji tzw. popularnych win, skutecznie zniechęca do ich degustacji. Trzeba widzieć te nie pierwszej, ale i też nie drugiej świeżości owoce spłukiwane wodą z pegeerowskiej przyczepy. Trzeba widzieć jak płyną sobie wąskim kanalikiem do młynka, jak opuszczają maszynę pod postacią, która mimo woli budzi niezbyt estetyczne skojarzenia. Potem jeszcze krótki rzut oka na „soczek" cieknący z mechanicznej prasy i... wystarczy! Naprawdę, wyśmienita to kuracja wstrząsowa dla amatorów i obrońców tanich win owocowych, znanych powszechnie pod kryptonimem: „patykiem pisane".

Po kilkutygodniowej fermentacji i ekspresowym dojrzewaniu, brunatny „soczek" zwany odtąd winem, trafia na rynek, a z rynku... Smacznego!

Wydaje się, że cała twórcza inwencja producentów owego „wina" skupiła się na wymyślaniu przepięknych nazw, mających zachęcać, zniewalać i odróżniać dzieło ich rąk od innych wytworów konkurencyjnych firm. Dlatego zapewne z premedytacją chrzci się ohydnego bełta imieniem: „Delicja", „Kwiat jabłoni", „Camea", „Basztowe", itd., itd. A jeszcze gdyby tak wytwórcy mieli pod ręką więcej cukru, drożdży i przerobowych mocy, to mogliby puścić taką rzekę bełta, że szkoda gadać!

Jest w zielonogórskiej wytwórni kilka beczek pod specjalnym nadzorem. W nich, z należytą godnością, dojrzewa napój, który pić będą klienci o wyjątkowo delikatnych podniebieniach, czyli... Japończycy i Amerykanie. To dla nich przygotowuje się finezyjnych kształtów gąsiorki z bajecznie kolorową etykietką. Wino nosi nazwę „Goliath" i jest medalistą kilku międzynarodowych targów. Bywa, że sznureczek oplatający szyjkę gąsiorka poluzuje się z lekka, wtedy egzemplarz taki, ku uciesze rodaków, zasila krajowy rynek. Ale nie łudźmy się — sznurek kaprysi nader rzadko.

W tym roku z okazji winobraniowego święta powrócono do receptury z lat pięćdziesiątych i tytułem miłego wspomnienia, kilka tysięcy butelek napełniono prawdziwym polskim winem gronowym. (Winogrona oczywiście wyrosły w Bułgarii). Wspomnienie nazywa się „Monte Verde" — co tłumaczy nazwę miasta na język włoski.

Tak było w roku 1984. Czy „Monte Verde" stanie na winobraniowych stołach w roku przyszłym — tego nikt nie wie. Prognozy nie są ponoć nazbyt optymistyczne. Ale folklor będzie na pewno — słupsko-podhalański.

ROMAN KUBIAK

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO – OBYCZAJOWA

DZIARSKI STARUSZEK

W latach gdy Prus kreślił w swoich kronikach tygodniowych obraz zeszłowiecznej Warszawy a Gierymski pędzlem utrwalał jej piękno Franciszek Kostrzewski (1826—1911) w setkach dowcipnych rysunków przedstawiał scenki rodzajowe, typy i charaktery ulicy warszawskiej. Był też Kostrzewski, podobnie jak wspomniany już w poprzednich odcinkach „Bigosu" August Wilkoński, przednim facecjonistą, czego dowodem anegdota zaczerpnięta z „Kuriera Literacko-Naukowego" (1935, nr 6):

Znany karykaturzysta warszawski Franciszek Kostrzewski przyszedł pewnego razu już jako ponad 80-letni staruszek do restauracji na kolację. Przy jednym ze stolików siedział jakiś bladolicy młodzieniec i z podziwem patrzył, jak staruszek ze smakiem zmiatał wcale sutą kolację. Ale kiedy Kostrzewski po „dużym piwie" zapalił ogromnego papierosa i otoczył się kłębem dymu, młodzieniec nie mógł już dłużej strzymać i, zbliżywszy się do artysty, zapytał nieśmiało:

— I panu dobrodziejowi palenie nie szkodzi?

— Owszem — odrzekł Kostrzewski, patrząc na bladą twarz młodzieńca — owszem, szkodzi mi szczególnie na nogi; przed siedemdziesięciu laty, zanim zacząłem palić, znacznie, ale to znacznie lepiej chodziłem".

Dopełnienie charakterystyki Kostrzewskiego, a zarazem porównanie obydwu artystów stanowi wiersz Feliksa Świerczyńskiego „Kostrzewski i Wilkoński', po raz pierwszy wydobyty z rękopisu:

Z Wilkońskim i Kostrzewskim równie się spotyka
Żart dowcipny, wesołość i humorystyka.
Każdy z nich w tym rodzaju wyraża to szczerze,
Ten ołówkiem, ów piórem żarty na papierze.
Ale kto je rozważa i treści poszuka,
Widzi, że w nich moralna mieści się nauka.
Dla obywdu to wielką staje się zaletą,
Że każdy z nich jest także prawdziwym poetą.

KILKA MYŚLI O KOBIETACH

Filozoficzne te uwagi zamieścił w 1765 r. „Magazyn Warszawski", poczytne czasopismo z czasów Stanisława Augusta:

— Aby kobieta była wcale kochania godną, trzeba by, aby miała żywość w czuciu Hiszpanki, wesołość Włoszki, a wolną śmiałość Francuzki. Te przymioty w jedno złączone, zniosłyby co tylko jest zbytecznego w charakterze tych trzech narodów.

— Zrzódła przedniejsze kłótni między małżeństwem z strony kobiet są: gra, bigoteria, łakomstwo, zły humor; a z strony mężczyzn: grubiaństwo, zawiść i pijaństwo. Nie masz ani jednego małżeństwa nieszczęśliwego, które by nie pochodziło z jakiej przyczyny z tych któreśmy wymienili.

— Przed ożenieniem nie można przyłożyć nadto staranie około poznania wad osoby ukochanej, a zaś po ożenieniu nie można mieć nadto pobłażania w tej mierze.

— Mąż jaki przepędza pospolicie połowę życia swego na martwieniu żony swojej, a drugą połowę na nagradzaniu jej za to.

— Dobra książka i dobra kobieta poprawiają wad wiele; zła kobieta i zła książka psują serc wiele. Trafiają się ludzie, którzy, gdy idzie o nabycie tych dwóch rzeczy, nie zważają jak tylko na oprawę i ich powierzchowność. Mogąż oni narzekać, kiedy się na nich zawiodą?

STAROŚWIECKIE RADY PRZEDMAŁŻEŃSKIE

Młodzieniec w pannie powinien upatrywać, aby miała pięć p, to jest aby była:
pulchra — piękna,
pudica — wstydliwa,
prudens — roztropna,
pia — pobożna,
pecuniosa — pieniężna, bogata.

Na ten ostatni przymiot zważane zawsze, jak mówi przypowieść stara:

Szukaj sobie bez szwagrów nieubogiej żony,
A przed ślubem miej posag w workach odliczony.

Tyle Kazimierz Władysław Wójcicki w dziełku „Niewiasty polskie. Zarys historyczny" (Warszawa 1845). Temat powyższy rozwinął Włodzimierz Zagórski (Chochlik) (1834—1902) w żartobliwym „Poradniku dla konkurentów. Studium psychologiczno-ekonomiczno-obyczajowym i społecznym dla użytku swych współobywateli", którego punkt 13 brzmi, jak następuje:

O pięciu „P", na które przy wyborze żony uważać należy, i o szóstym „P", o którym zapomnieć nie wypada.

Przysłowie staropolskie chce,
Byś szukał żony z pięcią „P";
Pulchra — powinna piękną być...
Prudens — na karku głowę mieć...
Pudica — w wdzięczny zdobna srom,
Pia — pobożnie rządzić dom,
I pecuniosa — to jest trzos
Mieć pełny jak pszeniczny kłos!...
Są oprócz tego liczne „P",
Które w małżeństwie zdadzą się,
Bez których — o tym, synu, wiedz —
Małżeństwo nie jest warte nic,
Lecz o tym dziś narazie szał
Bo dłuży się gawęda ma.
Nawiasem li, nie tracąc tchu,
O jednym ważnym wspomnę tu,
A tym zaś ważnym — ojcu wierzj
Jest parva — małą żonkę bierz;
Jeżeli bowiem prawdą to,
Że, jako liczni mędrce chcą,
Płeć piękna jest szkaradnie złą,
Toć lepiej na wypadki wszelkie,
Wybierać małe zło, niż wielkie!...

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Artur Schnitzler, „Anatol"

Fot. Romuald Sakowicz

„Anatol", czyli komfort psychiczny

Dopóki młody Artur Schnitzler, idąc w ślady swego ojca, zajmował się czynnie medycyną, a tylko na marginesie swoich dysertacji naukowych publikował w prasie wiedeńskiej wiersze, dopóty podpisywał te swoje literackie pierwociny wyłącznie pseudonimem „Anatol". Tak przynajmniej informuje wydany swego czasu przez Wiedzę Powszechną „Mały słownik pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich". Z tej informacji wynikałoby także (choć w sposób pośredni), że dopiero od dramaturgicznego sukcesu, który przyniosło mu wystawienie sztuki „Miłostki" (Liebelei), Schnitzler zerwał ostatecznie z zawodem lekarskim i zaczął swoje literackie utwory podpisywać już wyłącznie nazwiskiem.

Jest mi na rękę ta informacja (której potwierdzenia nie znalazłem jednak w innych źródłach), ponieważ umacnia ona moje przypuszczenie, że użycie przez autora swojego pseudonimu jako tytułu wcześniejszej niż „Miłostki", debiutanckiej sztuki z 1893 r. zatytułowanej właśnie „Anatol" nie mogło być przypadkiem i zawierało w sobie „obrachunkowe" aluzje, sygnalizowało próbę zdystansowania się przez ten utwór od dotychczasowej życiowej i artystycznej postawy, a zarazem próbę twórczego jej przetworzenia w materiał literacki. Zawsze przecież tak było, że przezwyciężanie samego siebie uzyskiwał twórca przez „spowiedź", jako catharsis.

Prawda, że moja supozycja nie starcza za dowód, ale: czyż tytułowy bohater nie jest tak samo jak autor, poetą; czyż ów złoty młodzian nie prowadzi tak samo lekkomyślnego, niefrasobliwego trybu życia, pełnego miłosnych przygód; czyż nie obraca się w kręgu tych samych spraw i ludzi z eleganckiego świata lub pogranicza półświatka, gdzie swobodnie i bezkarnie mogą się wyżywać przedstawiciele bohemy? Czy wreszcie autor nie osądza swego bohatera krytycznie ustami Maksa, o czym zresztą później?

Wystawiany obecnie w Teatrze im. Jaracza „Anatol" stanowi cykl sześciu jednoaktówek czy „obrazków scenicznych". Z teatralnego programu nietrudno odczytać, że ma ich być siedem, ale jedna z niewiadomych przyczyn musiała wypaść w ostatniej chwili. Cykl łączy w dramatyczną całość osoba głównego bohatera, któremu, z wyjątkiem dwóch jednoaktówek, towarzyszy stale postać Maksa, dojrzalszego życiowo, nastrojonego życzliwie, lecz krytycznie wobec poczynań i usprawiedliwień Anatola. Jest to zarówno powiernik zwierzeń naszego bohatera, jak i jego głos sumienia, toteż może rację mają ci, co dopatrują się w osobie Maksa alter ego Anatola. A gdyby przyjąć, że sztuka jest w pewnej mierze obrachunkiem autora z życiowymi i literackimi grzechami pierwszej młodości, wolno by tę dwoistość rozumieć jako dwa etapy w rozwoju osobowości autora: niedowarzonej młodzieńczości i sceptyczno-ironicznej dojrzałości. Autor zresztą, choć ustami Maksa wyrozumiale moralizuje, nadal przecież pozostaje wrażliwy na powaby wiedeńskich dziewcząt i kobiet różnego autoramentu, co jest sympatyczniejsze od surowych morałów, którymi raczą młodzież dojrzali zgryźliwcy.

Postać Anatola ukazał autor w sześciu różnych, choć nie za bardzo różniących się sytuacjach, co posłużyło zarówno wprowadzeniu na scenę galerii kobiecych postaci — dam z towarzystwa i kokot, zakłamanych mieszczek i cynicznych lub sentymentalnych dziewczyn z przedmieścia. O ile zresztą każda z kobiecych postaci wnosi swoim pojawieniem się coś własnego, odrębnego, o tyle skala doznań i reakcji Anatola prezentuje się raczej dość ubogo i monotonnie, a przynajmniej tak to wyszło w wykonaniu OLGIERDA ŁUKASZEWICZA, występującego gościnnie w tej sztuce. Ton nieustannego rozkapryszenia poniekąd spłaszcza amplitudę jego zachowań wobec pań. Myślę, że ten utalentowany aktor, obdarzony znakomitymi warunkami „amanta", jest jednak zbyt mało doświadczony, zbyt słabo tkwi w tak znakomitej przecież u nas komediowej tradycji stylowych bon-vivantów, toteż chwilami przydaje urokom i wdziękom dawnego Wiednia pewne rysy współczesnej „warszawki". A już stanowczo postacią nie z tej sztuki był Maks RYSZARDA KOTYSA, psychicznie ociężałego, wygłaszającego swoje kwestie z solennym namaszczeniem.

Znacznie lepiej zaprezentowały się panie: BOŻENA MILLER-MAŁECKA jako **Kora**, MAŁGORZATA ROGACKA-WIŚNIEWSKA jako **Emilia**, EWA WORYTKIEWICZ (Annie). Bodaj najlepiej skreślona przez autora postać, której spontaniczność reakcji doskonale oddała aktorka, dalej IRENA BURSKA — **Elza**, HANNA BIELUSZKO — **Iwona** (jednoaktówka napisana z wielkim wyczuciem komediowego gatunku), a wreszcie EWA MIROWSKA w roli **Gabrieli** — bogato wyposażonej przez aktorkę, dzięki czemu doszedł do głosu melancholijno-refleksyjny nastrój przemijania tego końcowego „aktu" sztuki: tu zresztą Łukaszewicz z łatwością utrafił we właściwy ton. W epizodycznych rolach służącego **Franciszka** i **Kelnera** wystąpili z powodzeniem BOHDAN WRÓBLEWSKI i WŁODZIMIERZ SKOCZYLAS.

Reżyseria, zaproszonego z Wiednia WILLIBALDA BERNHARTA, sprawna, wykazująca dbałość o tempo i swobodne rozgrywanie sytuacji, choć nie ulega wątpliwości, że ołówek reżysera mógł być niego ostrzejszy.

Jak wiadomo, zarówno „Anatol", jak i zwłaszcza kilka następnych komedii, ze słynnym „Korowodem" (Der Reigen) cieszyły się w całej Europie, a także u nas wielkim wzięciem u teatralnej publiczności i uznaniem krytyki. I chociaż do dziś mogą dostarczać widzowi niemało zadowolenia dzięki (sądząc po „Anatolu") zabawnym sytuacjom i błyskotliwemu dowcipowi dialogów, to jednak z upływem prawie stulecia straciły też trochę na obyczajowej śmiałości, wyrażającej się nie tyle drastycznością scen, ile odkrywczością w psychologicznym demaskowaniu motywów postępowania bohaterów. Więcej już dziś wiemy i oswoiliśmy się w sztuce z niejednym.

Dość jednak oporna na zmienne wymagania kapryśnego czasu okazuje się w „Anatolu" prawda przeżyć kobiet poszukujących odwzajemnianej miłości i rozmijanie się tych pragnień z męskim samolubstwem, choć, jak sądzę, w naszej dobie można chyba mówić o zdecydowanym wyrównywaniu rachunków.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że „Anatol", a zapewne i inne sztuki Schnitzlera (znane mi tylko z omówień lub streszczeń) nie są utworami o wielkim formacie artystycznym, o czym przesądza m.in. moim zdaniem, brak odniesienia do współczesnego życia społecznego, są one bez porównania mniej osadzone w realiach swego czasu, niż np. komedie Moliera czy Fredry. Gotowiśmy prawie uwierzyć, że to co się dzieje w salonach i buduarach sztuk Schnitzlera stanowi główną charakterystykę epoki, a bierze się to stąd, że dla autora, a zwłaszcza dla jego teatralnej klienteli nawet problematyka egzystencjalna sprowadzała się do spraw życia erotycznego.

Nie pomniejszając jego wagi trzeba jednak zauważyć, że dla nas jest to dziś luksusowy towar, jakby mało pożywny. Zaabsorbowani tysiącem spraw, traktujemy życie intymne według charakteryzowanej przez Boya zasady: „Dużo, byle jak i prędko". Pewnie, że to nie zysk, lecz strata, ale kogo dziś stać na to, by psychologicznymi uwarunkowaniami spraw erotycznych i kulinarnymi rozkoszami podniebienia delektować się, jak dawni odbiorcy sztuk Schnitzlera. Nie traćmy jednak nadziei...

JERZY KWIECIŃSKI

Arthur Schnitzler: „Anatol" Przekład — **Maria Kurecka**. Reżyseria — **Willibald Bernhart**, scenografia — **Jerzy Rudzki**, muzyka — **Johann Strauss w** opracowaniu **Piotra Hertla i Petera Weikerta**. Prapremiera polska 16 czerwca 84 r. w **Teatrze im. Jaracza w Łodzi.**

Dorota Chróścielewska

☆★☆

Tu się drogi rozwidlają
Jedna w lewo druga w prawo
Jedna wiedzie do zatraty
Druga wiedzie do zwątpienia
ale żadna nie prowadzi ku wytchnieniu

Wędrowałam wędrowałam
bo jak na śmierć zapomniałam
że wytchnienie
jak westchnienie
bywa niczym okamgnienie

Choć się drogi rozwidlają
ale każda z nich prowadzi
do zatraty do zwątpienia

W którą stronę mi — dumałam
bo jak na śmierć zapomniałam
że zatrata że zwątpienie
bywa niczym okamgnienie

★☆★

Znów noc otwiera się nade mną
Niebo wysokie jest jak kościół
Wierzba chce objąć ramionami
kochanków zgasłej już młodości

Płynie szaloną drwiącą rzeką
czas Jego fale wrą na oślep
Jak obłokowi szepnąć — przebacz
I jak majakom — nie odchodźcie

Jestem To moja jest sukienka
To moje usta moje włosy
To wstążka książka to obrączka
Zegar kieliszek papierosy

Łąka wysoka łąka świeża
jest po to aby mi śpiewała
Nie wierzę by przede mną była
Nie wierzę aby po mnie trwała

I oto ranne wstają zorze
Odbija wieczną światłość toń
A kościół pusty i daremny
jak moja opuszczona dłoń

O wierzbo
Łąko
O zegarze

Mirosław Kuźniak

☆★☆

śnimy się światu
ty w sukni zielonej
niemodnej jak to możliwe tylko we śnie
ja w ciasnym garniturze
jeszcze sprzed chwili czuwania przedsennego
zwanego małżeństwem

jaka szkoda że śnimy się światu
w naszych ciasnych i dusznych mieszkaniach
pomyśl pomyśl o tych
którzy nie zdążyli na właściwy sen

świat śni pefekcyjnie
w kolorach
do odróżnienia błysk farby na twoich paznokciach
kropla biedronki jest naturalną reklamą estmancolora
wymyślonego o najciemniejszej godzinie nocy

świat śni przewrotnie
powiadają mędrcy
mają rację
przewrotność snu nie jest kategorią filozoficzną
może być tylko przyczyną rozmyślań
psychoanalityków i poetów

prawdę o śnie świata
znają jedynie autorzy sennników
ktoś lepiej od nich wie
co będzie po przebudzeniu

dobranoc

☆★☆

o otwartej rano światło w oknie naprzeciw
przynosi ulgę brzęk szkła
roznosiciela mleka jest dalszym ciągiem snu
którego nie uda się nawet opowiedzieć
brzęczy w pokoju zbudzona mucha zegara
pająk czasu zastawia na nią sieć
od dawna i bezskutecznie
stukanie do drzwi jest cichsze od łomotu serca
nie wiem czy otworzę nie wiem
kto wejdzie
z czyjego snu ten zapóźniony gość
o otwartej rano gdy światło w oknie naprzeciw
przynosi jedynie ulgę

PIERWSZA GIEŁDA IMPREZ DLA OŚRODKÓW KULTURY

„Za darmo nie ma nic pięknego"

Zadęcie było duże. Skromna do niedawna osiedlowa placówka kulturalna przy ul. Lokatorskiej w Łodzi awansowała na „Dom Kultury Ludowej", co samo w sobie jest pomysłem co najmniej oryginalnym. Czy — analogicznie — we wsiach województwa łódzkiego powstaną jakieś kąciki folkloru miejskiego?

Na sali, udekorowanej tak fifty-fifty, z jednej strony estrady chruściany płot i gliniane garnki, z drugiej — pejzaż wielkomiejski z tekturowych kubików, miejsca dla władz przeróżnych, loża prasowa itp. itd. Organizatorzy serwują herbatę i bigos, gala i pełna kultura. Atmosfera lekko nerwowa — organizatorzy debiutują... Za chwilę rozpocznie się tu Pierwsza Giełda Imprez dla ośrodków kultury województwa miejskiego łódzkiego. Na zapleczu estrady stremowani wykonawcy, na sali... Ach, kogóż tam nie było! (Przypomina się dowcip z piosenki Hertla i Słowikowskiego). Nie było przedstawicieli ośrodków kultury województwa miejskiego łódzkiego. Poza nielicznymi wyjątkami.

Za to reprezentanci placówek, które pragną sprzedać swoją produkcję — w komplecie.

Tajemnica frekwencji oferentów i absencji ewentualnych kontrahentów wyjaśniła się szybko. Na moim zaproszeniu — ponieważ ja i tak nic nie kupię — nie wyszczególniono cen poszczególnych programów. Za to zaproszeni kontrahenci otrzymali pełną ofertę. Najtańsza impreza kosztowała dziesięć tysięcy plus transport. Kto nie ma miedzi, ten w domu siedzi — w myśl tego ludowego przecież przysłowia sala Domu Kultury Ludowej świeciła pustkami. Wreszcie zaczęła się prezentacja. Ponieważ, jak uświadomili mnie gospodarze, imprezy giełdowe nie były selekcjonowane, każdy przedstawiał co tam na bieżąco miał, można giełdowy przegląd uznać za typowy dla codzienności łódzkich domów kultury i usług Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych.

Co w tej codzienno-giełdowej rzeczywistości było symptomatyczne? To, że przedstawiano programy albo dla dzieci, albo — jak to się ładnie a enigmatycznie określa — ludzi trzeciego wieku. (Komplement to nie jest, „trzeci wiek" to brzmi jak „trzeci świat").

Jako klasyczny przerabiacz szarych na złote wystąpiły ZPR: Zestaw kreskówek Walta Disneya z magnetowidu — osiem tysięcy plus koszty transportu, wzorcowa dyskoteka — dziesięć do dwunastu... Zresztą wzorcowość tej dyskoteki musi budzić wątpliwości. Muzyka mi się podobała, co jest poważnym sygnałem ostrzegawczym: skoro mnie się podoba, to pewnie nie podoba się młodzieży. Na wszelki wypadek zasięgnąłem opinii u eksperta — piętnastoletnie mniej-więcej panienka wzruszyła ramionami: — Taka sobie...

Pan prezenter na tle muzyki coś mówił. Nie wiadomo co, bo muzyka z głośników waliła na full. Mógł z powodzeniem recytować książkę telefoniczną albo obrażać słuchaczy najgorszymi słowy...

Starszym widzom i słuchaczom ZPR-y zaproponowały kabaret „Eldorado". Był także inny kabaret Starszych Panów i chyba jeszcze Starszych Pań, mianowicie „Bi — Ba — Bo" ze śródmiejskiego Domu Kultury. Obydwa zespoły mają podobno wzięcie w rozmaitych klubach seniora, domach opieki itp. Chętnie wierzę — sentyment do piosenek zapamiętanych z lat młodości nakłada się wśród tych odbiorców na nieuchronne w podeszłym wieku wady słuchu i wzroku, co pomaga w percepcji omawianych programów i zdecydowanie sprzyja nastrojowi rozmarzonej sympatii dla wykonawców — rówieśników przeważającej części widzów.

Aliści młodszym odbiorcom należy tych produkcji zaoszczędzić. Na giełdzie było to szczególnie jaskrawo widoczne... Na dodatek seniorzy-amatorzy-aktorzy naprawdę lubią występować i zamiast przewidzianych próbek swych programów wyjechali na estradę z pełnymi prawie spektaklami...

Z szacunku dla siwych włosów i estymy należnej zasłużonym amerytom spuszczam już kurtynę milczenia nad wszystkim tym, co fachowiec recenzent nazywa warsztatem aktorskim. Nie mogę jednak nie wtrącić choć kilku złośliwych słów na temat poziomu prezentowanych tekstów. Nie wszystko, co prezentowano na scenkach nadscenkach międzywojennego dwudziestolecia jest wartościową klasyką gatunku. Przeciwnie, ogromna większość tekstów „chodzących" wówczas po estradach była grafomańskim kiczem. Autorzy scenariuszy obydwu kabaretów mieli niezwykle szczęśliwą rękę w odkurzaniu tych właśnie tekstów: dziś jeszcze bardziej niż lat temu sześćdziesiąt ordynarny szmonces jest ordynarnym szmoncesem a tłusty witz na tematy damsko-męskie jest jeszcze tłustszym witzem. Wywołuje to wręcz uczucie zażenowania na widowni. Zwłaszcza w wykonaniu szacownych starszych państwa...

Co się na giełdzie oglądało z prawdziwym zainteresowaniem? Programy dla dzieci firmowane przez bałucki Dom Kultury. Bardzo zgrabny zestaw cyklicznych programów „Kino Przygoda" składa się z zestawu filmów animowanych, konkursów, piosenek śpiewanych dzieciom i przez dzieci itp. itd.

Całość prezentuje zawodowy aktor. Robi to z wdziękiem i warsztatową sprawnością. Szkoda tylko, że pisze również teksty piosenek. To robi akurat bez wdzięku i zawodowej sprawności... Koszt? Głupie dwanaście tysięcy. Przy czym zakup jednej imprezy nie ma sensu. Całość to cykl dziesięciu spotkań przez okres całego roku szkolnego. Bagatela, 120 tysięcy...

Jeszcze sympatyczniejsza inaugura dziecięca to kabaret dla dzieci „Kleks" Fajny, na luzie, śmieszny. Podoba się nie tylko dzieciarni, ale i rodzicom. Cóż, kosztuje przeszło trzynaście tysięcy. Przyzwoity, profesjonalny poziom, znani aktorzy i autorzy. „Za darmo nie ma nic pięknego" jak pisał niegdyś Andrzej Bursa...

Tenże sam bałucki DDK oferuje także program „dla wszystkich" pn. „Gdzie są chłopcy...". Takie „Dziś do ciebie przyjść nie mogę" w pigułce. Ta sama profesjonalna klasa, ta sama cena.

Napisałem powyżej „za darmo nie ma nic pięknego". Przepraszam, oferowano program za darmo. Tylko za koszty transportu wystąpi chętnie dziecięcy zespół taneczny ze Strykowa. Tylko dzieci zachowały jeszcze dusze prawdziwych entuzjastów-amatorów. Zespołu nie prezentowano na giełdzie, bo właśnie nie było czym przywieźć małych artystów...

O ile wiem, nikt nie zakontraktował dziecięcego zespołu. Natomiast miejsko-gminna placówka kulturalna ze Strykowa umówiła się wstępnie na zakup dziecięcych programów bałuckiego DDK.

Na pytanie: — Dlaczego domy kultury bawią się w zawodowy impresariat, wystawiają na sprzedaż profesjonalne programy po wysokich cenach? — próbowała odpowiedzieć pani Krynicka, dyrektor bałuckiego DDK.

Otóż plan jest pogrzebany w sposobie finansowania domów kultury. Jedną piątą otrzymanego budżetu DDK musi zwrócić swemu sponsorowi, tj. miastu. W przypadku DDK prowadzonego przez panią dyrektor jest to aż milion złotych. Stąd te oferty... Czy strykowski dom kultury nie ma podobnych obowiązków, że kupuje programy bałuckie a własny zespół daje za darmo?

Podobne wątpliwości miał reporter łódzkiej rozgłośni PR. Zadeklarował się jako naiwny, co wierzy, że w domu kultury amatorzy popisują się za darmo. Dyrektor Krynicka i kilka innych pań z tzw. pionu KO zakrzyczały mego kolegę z radia. Okazuje się, że amatorzy mają prawo do honorariów za występy, a wreszcie te sumy od ośmiu do trzynastu tysięcy też nie są takie wysokie w dobie inflacji i powszechnej drożyzny. Najdroższe są imprezy bałuckiego DDK? Owszem, ale Krynicka nikomu chłamu nie upycha. Poziom tych imprez jest poza dyskusją. Można i tak. Tylko gdzie się podzieli prawdziwi amatorzy?

Byłbym zapomniał, była jeszcze kapela śródmiejskiego domu kultury „Łodzianka". (Nazwa nie najszczęśliwsza). Nie wiem za ile można kupić koncert „Łodzianki". Jeśli niedrogo, to mam jeszcze jedno pytanie — Czy można „Łodziankę" kupić prywatnie? Gdybym był młody i właśnie żeniłbym się, chciałbym, żeby mi zagrali na weselu!

Giełda miała charakter próbnego wystrzału. Eksplozji nie było, tylko trochę swędu. W styczniu, na drugiej giełdzie ma być dużo ciekawiej. Z góry się wpraszam, jeśli tym co powyżej nie zniechęciłem organizatorów do karmienia bigosem notorycznego sceptyka i szydercy...

ANDRZEJ KAROLCZAK ■

„Arena di Verona"

Z 62 Festiwalu Operowego „Arena di Verona", w którym — zaproszony przez dyrekcję teatru i biuro prasowe — uczestniczyłem w charakterze recenzenta i krytyka muzycznego z Polski, wróciłem naładowany niczym akumulator, pełnią najcudowniejszych wrażeń artystycznych, i kwitnącym życiem największego teatru (nie tylko operowego) świata. Wśród całej plejady dziennikarzy wszystkich chyba kontynentów, zapełniających na co wieczorowych przedstawieniach „Tribuna di Stampa", byłem z pewnością najbardziej natrętnym i wymagającym przedstawicielem prasy, co dyrekcje artystyczna i prasowa, ku mojemu zdziwieniu, nie tylko cierpliwie tolerowały, ale były wprost zachwycone moim zapałem, wynikającym z uprawianej profesji zasadniczej.

Choć nieobce mi są życie na co dzień i system pracy takich wspaniałych placówek operowych, w których miałem przyjemność śpiewać, jak Opera Rzymska czy wiedeńska Staatsoper, przy równoczesnej znajomości od kulis La Scali i Met, to jednak z tego co widziałem, będąc naocznym świadkiem pulsującego „na full" teatru-giganta, moja wiedza na temat systemu pracy, organizacji i funkcjonalności quasi idealnego teatru operowego wzbogaciła się niepomiernie.

Oto przykłady-fakty. Ktoś ze śpiewaków w czasie I aktu nagle zaniemógł lub zwichnął sobie nogę na gigantycznych dekoracjach? — Proszę bardzo, za kulisami czeka jego „sostituto", który bez przedłużającej się przerwy, zastępuje kolegę od II aktu. Deszczyk napadał w czasie przerwy? — O, to nic kłopotliwego, część „armii" pracowników sceny w ciągu kilkunastu minut z łatwością ściąga specjalnymi urządzeniami wodę, widzowie zaś zostają w mig zaopatrzeni w niebieskie nieprzemakalne płaszcze i poduszki na krzesła. A może meloman ma jakąś swoją ulubioną operę lub śpiewaka, których nagrania pragnie akurat dziś wieczór nabyć? — Płyty, kasety, publikacje, zdjęcia — do nabycia w czasie każdej przerwy. Jakaś dama nie zdążyła zjeść swojego „pranzo", poświęcając zbyt dużo czasu na swój wieczorowy wygląd przed przedstawieniem? — Oto bufety z pysznym jadłem i napojami do dyspozycji (uwaga: i nie przestoi się półgodzinnej przerwy w kolejce!).

Czy nie ma tu więc żadnych problemów? Są, owszem. Teatr za mały! Przed każdym spektaklem tłumy zawiedzionych melomanów, którzy w ostatniej chwili przyjechali do Verony, licząc na zdobycie biletu od kogoś tam. Niestety, niewielu jest odstępujących. „Koników" także trudno zauważyć, może dlatego, że „końskie stawki" za bilety (do 120 tysięcy lirów) nie pozwoliłyby im zapewne egzystować. A mimo wszystko tłumy wyzłoconych i wybrylantowanych dam oraz wysmokingowanych „signorów", walą drzwiami i oknami, by na kwadrans przed spektaklem zapełnić już całkowicie 25-tysięczną widownię.

Tak, to trzeba widzieć! Wielojęzyczna „wieża Babel", pokaz mody od dżinsów (tylko na galeriach), poprzez japońskie kimona i szkockie spódnice, do najwytworniejszych strojów, jakie lansuje paryska „Diora". Przez głośniki stereofonii spikerzy serdecznie witają tłumy, zapowiadając w kilku językach rozpoczynający się za chwilę spektakl i jego obsadę. Na udekorowaną już nieprawdopodobnej wielkości dekoracjami scenę wchodzi etatowy przebieraniec, w kostiumie charakterystycznym dla akcji wystawianej tego wieczoru opery i uderza trzykrotnie w złocisty gong. Widownia zaczyna się ściemniać, a w całym amfiteatrze (z wyjątkiem „platea" — parteru; na wytworne toalety bowiem nie śmie kapnąć świeca) widzowie zapalają tysiące świec. Entuzjastycznie witany dyrygent rozpoczyna nastrojową, smyczkami rozpoczynającą się uwerturę do „Aidy", a nad samym środkiem sceny, wysoko ponad świątynią Izydy, wysokości przynajmniej sześciopiętrowego domu — autentyczny księżyc na granatowym niebie, usianym gwiazdami. Dokoła sfinksy i obeliski egipskie naturalnej wielkości. Za chwilę wystąpią ci najlepsi z najlepszych na świecie, bożyszcza La Scali, Metropolitan i Covent Garden.

Tak, za takie przeżycia warto wydać jednorazowo nawet te 120 tysięcy lirów. Warunek, że się je ma. Stąd bogaci melomani fundują sobie takie imprezy bez wahania, ci biedniejsi zaś oszczędzają w ciągu roku, by choć raz w życiu zobaczyć to, czego w żadnym teatrze ani oko nie widzi, ani ucho nie zawsze usłyszeć może.

I pomyśleć na chwilę, że ten gigantyczny amfiteatr rzymski o fenomenalnej akustyce (przedstawienia idą bez żadnych nagłośnień), podobnie jak rzymskie Colosseum, zbudowano pracą niewolniczych rąk w ciągu 8 lat! Około 20 wieków później zaś pewien bank, w stolicy pewnego kraju (zagadka dla klas pierwszych), przy najnowocześniejszej technice, budowano ponad 10 lat!

Cóż, postęp techniki nie zdołał wyprzedzić wspaniałej starorzymskiej organizacji.

Ponad ćwierćmilionowa Verona, miasto legendarnych, nieszczęsnych kochanków z XIII wieku — Romea i Julii, zwane „piccola Roma" albo miastem najbardziej rzymskim po Rzymie, ze swoją cudowną starorzymską i średniowieczną architekturą pałaców, kościołów, placów, domów mieszkalnych, mostów antycznych a przede wszystkim z dwoma gigantycznymi symbolami starorzymskiej świetności, tj. z „Areną" i mniejszym od niej amfiteatrem — Teatro Romano (w którym równocześnie odbywają się festiwale sztuk szekspirowskich latem), wraz ze swoimi jedynymi, niepowtarzalnymi spektaklami operowymi — należy niewątpliwie do najbardziej atrakcyjnych miast świata, przyciągających miliony turystów ze wszystkich kontynentów.

Swoją drogą, jak to się dzieje, że przeciętny gość Verony nie odczuwa żadnych dolegliwości i kłopotów, jakich zwykle dostarcza taki nawał turystyczny, mogąc spokojnie, bez wyczekiwania zjeść obiad, czy wypić „cappuccino" w ogródkowej restauracji, zwiedzać zabytki bez tłoku albo bez końca łazić po wspaniale we wszystko zaopatrzonych sklepach — pozostanie dla nas tajemnicą.

Wróćmy jednak do atrakcji nr 1, do przedstawień na „Arenie". Jak się to wszystko zaczęło. Był czerwiec 1913 roku. W „Löwenbrau", jednej z licznych ogródkowych restauracji przy olbrzymim Piazza Bra, na którym mieści się „Arena", zasiadło sobie towarzystwo wyjątkowo ekskluzywne. Sam rywal Enrica Caruso, sławny tenor włoski, robiący wielką karierę w Metropolitan Opera — Giovanni Zenatello, w towarzystwie swojej nie mniej sławnej żony, mezzosopranistki Marii Gay oraz najznakomitszego obok Toscaniniego, dyrygenta operowego tamtych czasów, któremu 40 lat później Maria Callas miała zawdzięczać rozwój swojej wielkiej kariery — Tullio Serafina.

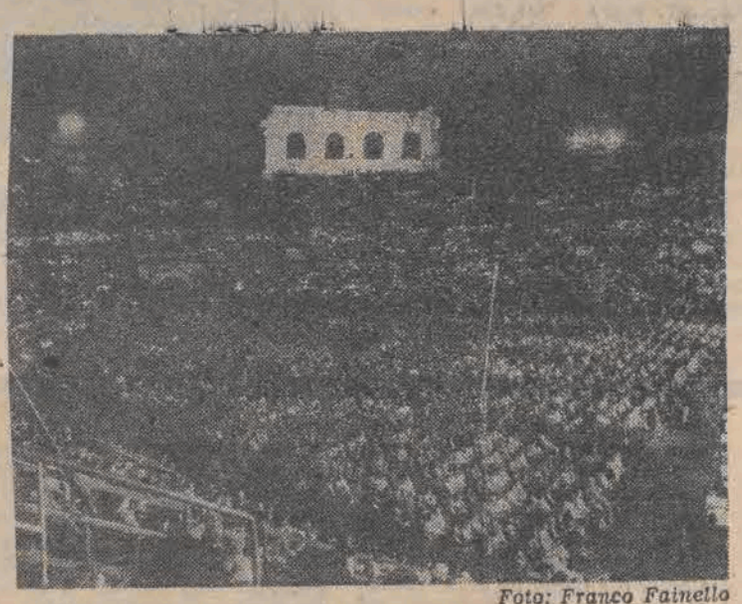

Foto: Franco Fainello

„Przy wystawnym obiedzie i czerwonym winie „Chianti" — jak opowiada po 70 latach córka wielkiego tenora, pani Nina Zenatello-Consolaro — gawędzono oczywiście o operze i Verdim, którego setną rocznicę urodzin obchodzono właśnie w całych Włoszech. W pewnym momencie, ojciec wskazując na „Arenę", powiedział: Oto teatr, którego szukam! Jedyny problem, jaki może być, to akustyka. Orkiestra powinna być słyszalna, ale czy głos ludzki nie zniknie, w takiej przestrzeni? To jest pytanie. Cała reszta natomiast, jest do zrobienia".

W godzinę później, zaimprowizowano pierwszą próbę na „Arenie". Zenatello stanął na antycznej scenie amfiteatru i odśpiewał całą arię Radamesa „Boska Aido!". I stało się! Próba wypadła pomyślnie. Warto, przy okazji, przytoczyć skład 3-osobowej widowni, gdyż są to nazwiska, które na zawsze przeszły do historii Teatru „Arena di Verona", dając podwaliny jej egzystencji. A byli nimi: sławny dyrygent — Tullio Serafin, jego zastępca i chórmistrz — Maestro Ferruccio Cusinati oraz przyszły dyrektor do spraw technicznych i organizacyjnych — Ottone Rovato.

Decyzja zapadła: za 50 dni otwarcie największego teatru operowego świata! Trudno o bardziej atrakcyjną operę od „Aidy", jak również trudno o bardziej właściwą okazję od setnej rocznicy urodzin genialnego Verdiego.

10 sierpnia 1913 roku, na prainaugurację corocznych odtąd Festiwali Operowych „Arena di Verona", zjechały się takie znakomitości kompozytorskie i pisarskie, jak Arrigo Boito, Giacomo Puccini, Pietro Mascagni, Luigi Illica, Maksym Gorki (przebywający na Capri), Franz Kafka, Ildebrando Pizzetti, Ricardo Zandonai. Swą obecnością zaszczycili premierę: książe Turynu, księżniczka Letizia di Savoia oraz przedstawiciele najznakomitszych włoskich rodów książęcych: Borghese, Colonna, Potenziani, Ruspoli i Giovannelli. Błękitnej krwi nie zabrakło także w orkiestrze, w której sama contessa Elena Rizzoni grała na harfie.

Do Verony zaczęły napływać dziesiątki tysięcy turystów nie tylko z Włoch, lecz także z Ameryki, Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Hiszpanii, Niemiec, Rosji, a także z Polski. Biznesy werońskich kupców zaczęły dochodzić do szczytowego rozkwitu. Kroniki zanotowały, że np. jeden ze sklepikarzy sprzedał pewnego wieczoru 1.500 flasków wina „Frascati" i 750 kilo wędzonej szynki. Pierwsze przedstawienie „Aidy" na scenie „Areny", reklamowano w następujący sposób: 120 profesorów-muzyków w orkiestrze, 180 chórzystów, 36 solistów baletu, 50 koryfei, 40 chłopców-Murzynków, 230 osób w zespole baletowym, 12 trębaczy na trąbach egipskich, grająca banda na scenie, 30 koni i wołów, sfinksy, kolumny i obeliski egipskie naturalnej wielkości, a wszystko to na scenie o 30 metrowej głębokości i 68-metrowej szerokości.

Minęły odtąd 62 sezony, przerwane dwukrotnie: w czasie pierwszej (1915—1918 r.) i drugiej (od 1940 do 1945 r.) wojny światowej. 1 sierpnia 1946 r. gigantyczny teatr operowy rozpoczął swoje nieprzerwane pasmo corocznych sukcesów festiwalowych, także premierą „Aidy", w której zadebiutował fenomenalny tenor naszych czasów — Mario Del Monaco. Zaś w okrągły rok później, również debiutem na tej scenie, w partii tytułowej op. „Gioconda", rozpoczęła swoją światową karierę „primadonna stulecia" — Maria Callas, która w tym samym sezonie, w dniu następnym, tj. 3 sierpnia, spotkała się po raz pierwszy ze swoją największą sceniczną rywalką, debiutującą w partii Małgorzaty w op. „Faust" — Renatą Tebaldi.

W okresie międzywojennym, wielkie triumfy odnosił tu tenor o kryształowym głosie i najwspanialszych ponadwysokich tonach, jakie kiedykolwiek głos męski z siebie wydobyć potrafił (z wyjątkiem kastratów oczywiście) — Giacomo Lauri Volpi, częsty partner naszej Ady Sari, która mimo uznanej opinii fachowców, jako najbogatszy dramatyczno-koloraturowy sopran pierwszej połowy naszego wieku, nie otrzymała żadnej propozycji śpiewania na „Arenie", ze względu na wszechwładną wówczas w partiach koloraturowych na tej scenie, choć o wiele słabszym dynamicznie głosie — Toti Dal Monte.

Nic dziwnego, wszakże i sam Enrico Caruso tutaj nie śpiewał, a to z powodu najprostszego: inicjatorem i dyrektorem naczelnym pierwszych sezonów był jego najpoważniejszy rywal z Metropolitan — Giovanni Zenatello, który nie omieszkał wykorzystać każdej okazji, aby obsadzać się samemu we wszystkich dramatycznych, tenorowych partiach wystawianych na „Arenie" oper.

Przez scenę tę przewinęły się wszystkie encyklopedyczne nazwiska w historii opery, jak: Beniamino Gigli i Aureliano Pertile, Hipolito Lazaro i Ferrucio Taglavini, Gina Cigna i Maria Caniglia, Maria Gay i Ebe Stignani; po wojnie natomiast największe sukcesy odnosili: Callas, Tebaldi, Nilsson, Caballé, Stella, Price, Orlandi Malaspina, Arroyo, Barbieri, Cossotto, Del Monaco, Di Stefano, Corelli, Poggi, Bergonzi, Raimondi (tenor i bas), Pavarotti, Siepi, Christow, Giaurow, Biestianini czy Gobbi. Najatrakcyjniejszymi gwiazdami ostatnich lat są: Placido Domingo, Jose Carreras, Giacomo Aragall, Nicola Martinucci, Maria Chiara, Seta Del Grande, Ghena Dimitrowa; Raina Kabaiwanska, Eva Marton, dwie rewelacyjne murzyńskie śpiewaczki — Shirley Verrett i Gail Gilmore, uwielbiana primabalerina — Carla Fracci (grająca rolę Strepponi w serialu „Verdi") i jej znakomity partner — Georgij Jancu.

Pierwszą polską śpiewaczką, która w 1927 r. wystąpiła w 7 przedstawieniach „Westalki" Spontiniego, śpiewając w tym samym sezonie na „Arenie" w dwóch wykonaniach IX Symfonii Beethovena, była znakomita przedwojenna polska śpiewaczka — Stani Zawacka. Ponad 50 lat nikt z polskich artystów nie występował na tej wielkiej scenie. Dopiero robiąca ostatnio międzynarodową karierę Stefania Toczyska pojawiła się w dwóch ostatnich sezonach, jako Amneris w „Aidzie" i „Carmen" oraz Krystyna Rorbach, dublując w partii Giseldy na ostatnim przedstawieniu „I Lombardii" Verdiego, znaną Katię Ricciarelli. Miejmy nadzieję, że na kolejną okazję usłyszenia kogoś z najwybitniejszych polskich artystów operowych, nie będziemy musieli czekać aż tak długo, tym bardziej, że Dyrekcja Naczelna i Artystyczna oraz Biuro Prasowe zaszczyciły mnie, czyniąc swoim ogniwem łączącym między „Areną di Verona" a jakimiś wyjątkowymi, także tymi jeszcze nie ujawnionymi, talentami polskiej sceny operowej, który to kontakt sobie niezwykle cenię.

Poza wspomnianą „Aidą" i „Lombardczykami" Verdiego, w bieżącym sezonie 1984, wystawiono „Carmen", „Toskę" i ballet „Excelsior", z najznakomitszymi śpiewakami, które będę omawiał w swoich recenzjach i wywiadach. W 63 Festiwalu Operowym „Arena di Verona" 1985, ujrzymy: „Trubadura", „Attilę" i „Aidę" Verdiego, a także ballet „Giselle" oraz koncerty symfoniczne, wokalne i instrumentalne.

WALDEMAR PAWŁOWSKI ■

Paranoiczka, schizofreniczka i mieszczka—kokota...

czyli z wizytą u „Pokojówek" w Teatrze im. S. Jaracza

Dosyć długo czekaliśmy w Łodzi na czyste aktorskie przedstawienie, takie które przykuwałoby uwagę widzów kreacjami aktorskimi i na nich opierało swój byt na afiszu. Po „Zdziczeniu obyczajów pośmiertnych", Teatr im S. Jaracza przygotował nową premierę, słynne „Pokojówki" Jeana Geneta w reżyserii gościa z Hiszpanii Angela Facio.

Koncert gry aktorskiej prezentują: ŻYWILA PIETRZAK (Claire), BOGUSŁAWA PAWELEC (Solange) i BARBARA MARSZAŁEK (Pani).

Aktorki odwiedziliśmy już po jednym ze spektakli, kiedy zmęczone psychicznie i fizycznie zbiegają do garderoby, dygocą jeszcze z wielkiego wysiłku, jakim okupują to co dzieje się przez 1,5 godziny na scenie. Oszołomiona aktorskim popisem i wymową sztuki łódzka publiczność jest zbyt zaszokowana i przybita, aby wielki trud aktorek wynagrodzić owacjami i opuszcza salę w milczeniu, a może nawet w stresie?

„Pokojówki" nie mają w sobie nic z ładacznic: postarzały się i wychudły otoczone dobrocią Pani. Nie trzeba, aby były ładne, aby ich uroda została widzom dana wraz z podniesieniem kurtyny, raczej, aby przez cały wieczór z minuty na minutę, nieustannie piękniały — do końca".

Jean Genet

ŻYWILA PIETRZAK — absolwentka PWSFTviT w Łodzi, z 1977 roku. Przez 7 sezonów była aktorką Teatru Nowego w Poznaniu od 1983 roku aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi. Rola Claire w „Pokojówkach" jest łódzkim debiutem tej najbardziej frapującej w spektaklu postaci i fascynującej osobowością aktorki.

SCHIZOFRENICZKA

W „Pokojówkach" gra pani Claire, która bardzo lubi grać swoją Panią. W której z ról czuje się pani lepiej i pewniej?

Jako aktorka lepiej czuję się w roli pokojówki. Zależało mi, aby postać Claire była różnorodna w odcieniach, wypunktowana w tych miejscach: gdy gram pokojówkę, lub w tych gdy gram Jaśnie Panią. Rozpoczynając spektakl gram jakby na koturnach aż do przerysowania tej gry. Taka była koncepcja reżysera.

Claire i jej siostra Solange skazane są na ciągłą grę, aż do unicestwienia, to chyba piekielnie trudne zadanie, jak bardzo dla Pani?

Czasami wydaje mi się że już nie gram że to Żywila gra Claire a Claire gra Panią. Zatracam się w tej grze, nie panuję nad sobą... Materiał aktorski jest znakomity jest z czego czerpać i jest co grać.

Kto pomógł pani w pracy nad rolą Claire?

Reżyser Angelo Facio i koleżanka Bogusława Pawelec. Reżyser dał ogólną myśl która oprowadziła mnie w stronę ukazania samotności tęsknoty, wyobcowania Claire. Partnerka okazała się nieprawdopodobnie kontaktowa, co w tym przedstawieniu ma ogromne znaczenie i bardzo pomaga.

Gra pani schizofreniczkę, kobietę-potworka, monstrum!?

Tak pan to odebrał? Osobiście uważam, że Claire jest potwornie biedna, straszliwie skrzywdzona przez los do takiego stopnia że powinna wywoływać żałość, współczucie u ludzi. I taka chciałam ją pokazać.

Z czego czerpała pani to wszystko, co zademonstrowała na scenie z tak wielką siłą i znakomicie opanowanym warsztatem?

Nigdy nie rozumiałam co to jest warsztat aktorski dla mnie to coś czego ktoś się nauczył. Gram bazując na samej sobie, na swoich wyobrażeniach. Prywatnie czuję się bardzo samotna, zagubiona nie bardzo wiem w którą stronę pójść aby wyjść z tego kręgu. Na scenie mogę sobie pozwolić na to, aby być sobą, w życiu nie mogłabym — bo jestem dobrze wychowana.

Jaki jest pani stosunek do swojej roli, do scenicznej siostry Solange, do Jaśnie Pani, do samej sztuki?

Bronię swojej postaci, staram się ją zrozumieć, wiedząc że od urodzenia została skazana na towarzystwo siostry, nie znając innych ludzi. Jedna zaraziła drugą swoimi kompleksami, wśród których dominują samotność, niedocenienie. Lubię Solange. Jaśnie Panią traktuję tak jak założył to sobie autor tzn. wiem że to osoba która ma nad nami wyższość i ja jej za to nienawidzę. Sztuka Geneta stanowi znakomity materiał aktorski i chyba wszystkie aktorki marzą, aby zagrać te role. Nam się to udało, jestem więc bardzo zadowolona z faktu takiej możliwości, choć nie wiem z jakim skutkiem udaje mi się to pokazać na scenie.

Jakie role do tej pory pani grała?

W Poznaniu, w teatrze i telewizji grałam różne role np. Florę w „Miłości pod Padwą", Korderian w „Łaźni", Maszę w „Rewizorze", Rosikę w „Onych", Gizelę w „Trismusie" Sonię w „Letnikach". Ale przeważnie obsadzano mnie w postaciach kobiet pełnych wybujałego erotyzmu z tzw. dużym temperamentem. Obecnie gram w przedstawieniu typowo aktorskim i realistycznym teatrze a to najtrudniejszy teatr jaki może być. Tu się jest albo nie. Nie ma za czym się ukryć, czym podeprzeć.

Ile wysiłku kosztuje panią każdorazowe zagranie roli Claire w „Pokojówkach"?

Pod halką, sukienkami spływa pot, ale to nieważne, na każdym przedstawieniu przeżywam wszystko od początku i ciągle odczuwam niedosyt, że może mogłabym lepiej zagrać...

PARANOICZKA

BOGUSŁAWA PAWELEC — absolwentka PWSFTviT w Łodzi z 1978 roku, aktorka Teatru im. S. Jaracza od 1978, kilkanaście ról w teatrze także w TV i filmie. W „Pokojówkach" gra paranoiczkę Solange, morderczynię i motor wszelkich działań obu sióstr.

Do kogo należał pomysł na postać Solange?

Do mnie i do reżysera. Moja koncepcja szczególnie wyraźnie zarysowała się w ostatniej fazie pracy. Na początku były różne nieporozumienia z hiszpańskim reżyserem, wynikające z różnych temperamentów kultur naszych krajów. Ponadto w tego typu sztuce potrzebne jest zrozumienie tekstu w ojczystym języku aktorek bo sztuka oparta jest wyłącznie na tekście. A tymczasem reżyser mówił do nas w języku hiszpańskim, a my do niego w języku polskim. Ale bardzo się cieszę, że dano mi szansę zagrania roli Solange, bo to bardzo ciekawe zadanie dla każdej aktorki.

W przypadku pani roli bardzo istotne znaczenie ma uczesanie, makijaż, strój, które zmieniły panią w kogoś zupełnie niepodobnego do znanej z różnych ról na czele z tytułową „Damą Kameliową" aktorki Bogusławy Pawelec?

Makijażu prawie nie mam, fryzurę wymyśliłam razem z panią scenograf. W kostiumie, który tworzy cienka, ascetyczna sukienka, biały fartuszek i czepek, zaczynałam próbować dużo wcześniej przed próbami generalnymi, co bardzo mi pomogło. Rano i wieczorem chodziłam tak ubrana. A jeżeli tak odmienioną pan mnie odebrał w tej roli — to dobrze dla mnie — aktorki.

Jak rodziła się ta morderczyni, ten potwór w niewinnym wydaniu i kto zadecydował o wizerunku, który oglądamy na scenie?

To była wielka praca, ale materiał do aktorskiej obróbki wcale mnie nie przerażał. Przeciwnie. Zaczynałyśmy z Żywilą Pietrzak próby nie wiedząc która będzie grała Solange, a która Claire. Reżyser nie był zdecydowany przez trzy tygodnie. Pracę rozpoczął od środka sztuki, czemu się sprzeciwiałam i narodził się we mnie bunt. Najdłużej męczyłyśmy się nad pierwszą sceną. Jeśli chodzi o postać, to nie potrafię powiedzieć kto ją stworzył, walczyłam tylko, aby reżyser bazował na nas, korzystał również z naszych propozycji. W końcu udało się nam jakoś porozumieć i wspólnie budować postać. Myślę, że zachowałyśmy świeżość, spontaniczność i szczere zaangażowanie.

„Nasze ciało jest więzieniem, na które wszyscy jesteśmy skazani" — powiedział Jean Genet, a co pani dodałaby do tego od siebie?

Nasza dusza jest więzieniem.

Działa pani w realnym czy nierealnym świecie tej sztuki?

Częściej w nierealnym, bo Solange jest nierealna, działa w imaginacji. Ona tylko pozornie jest silna, w sumie jest dość tchórzliwa. Podobnie jest ze mną. To co jest w Solange próbowałam odszukać w sobie, bo to jedyna szansa na zrobienie tej roli. Walczyłam więc o to, prywatnie bardzo często zdarza mi się być tak jak Solange zmęczoną psychicznie.

Kogo obciąża pani za to, jaką osobą stała się Solange?

Życie. Taka się urodziła i taka już została. Jedno co mogło ją wyrwać z własnej matni to śmierć. W sumie bardzo to przygnębiające i nie tylko w XIX-wiecznej rzeczywistości scenicznej, jest mnóstwo analogii do dnia dzisiejszego.

Skąd czerpała pani imperatywy do wizerunku tej wręcz transformacyjnie pokazanej postaci?

Z wyobraźni na ten temat, trochę czytałam choć nie ma u nas zbyt wielu publikacji o autorze sztuki. Nie widziałam żadnej innej inscenizacji „Pokojówek". Nie miałam recepty na to — jak zagrać Solange.

Jak czuje się pani gdy schodzi za kulisy po tak męczącym psychicznie i fizycznie spektaklu?

Bardzo zmęczona. Najbardziej obciąża mnie fakt, że jest to przerażająco smutna sztuka, wręcz wiwisekcja na ludziach. „Kto wie, może wspólnie z Jaśnie Panią znajdziemy najprostszy sposób, a także dość odwagi, aby wyzwolić moją siostrę, a zarazem wyprawić mnie na śmierć" — mówi Solange do Claire przed swoim ostatnim monologiem. Wracając do domu długo nie mogę zasnąć i myślę, że chyba mogłabym to zrobić jeszcze lepiej.

MIESZCZKA – KOKOTA

BARBARA MARSZAŁEK — absolwentka PWSFTviT z 1968 roku, od 1969 roku aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi, kilkadziesiąt ról i pozycja jednej z czołowych aktorek Łodzi.

Wiem, że początkowo to nie pani miała grać rolę Jaśnie Pani w „Pokojówkach"?

Zadecydował o tym przypadek a może szczęście że jednak zagrałam tę rolę, było to niezależne ode mnie.

Była pani przekonana o koncepcji reżysera?

Musiałam, w końcu to on firmuje swoim nazwiskiem spektakl i odpowiada za to, co zrobił. Aktor musi się podporządkować.

Pani w opisie dramaturgicznym Geneta — jaka to postać?

„Na poły mieszczka, na poły kokota, do końca nie wiem na ile jest głupia, a na ile gra taką rolę".

A w wizji reżyserskiej Angela Facio?

Jego wizję widać na scenie.

Podejrzewam, że pani jednak i tak zademonstrowała swoją koncepcję na tę postać?

Gdzieś między wierszami udało mi się przemycić to, co ja myślę o Jaśnie Pani. Oczywiście były duże różnice zdań na temat zagrania tej roli, ale przecież inscenizacji „Pokojówek" było kilkadziesiąt i każda była inna. Reżyser ma prawo widzieć ją taką jak to sobie wymyślił.

A aktorka?

Również, ale w uzgodnieniu z twórcą spektaklu. W przypadku niezgodności opinii może zrezygnować z roli.

Choć występuje pani tylko w jednej scenie i jest trzecią postacią tej sztuki, to zapewne miała ciekawy materiał do pracy?

Oczywiście, za każdym razem jak czytałam tę sztukę widziałam ją zupełnie inaczej, coraz głębiej i w końcu trudno się było zdecydować na wybranie tylko jednej jedynej drogi.

Co stara się pani przekazać widzowi poza popisem aktorskim?

Moim marzeniem jest, aby przekazać prawdę i tylko prawdę odtwarzanej postaci, ale jakie to trudne?

Jaśnie Pani w pani interpretacji nie jest głupia, nie gra swojej roli lubi swoje pokojówki, kocha uwięzionego męża, ale jest za to kokotą i mieszczką. A może należałoby zagrać mocniej, nawet przerysować aż do karykatury, aby osiągnąć mocniejszy efekt wymowy sztuki i tragedii jej pierwszoplanowych bohaterek?

Może ale nie w tej inscenizacji, która jest bardzo oszczędna i zwięzła. Każdy widzi „Pokojówki" inaczej, a trzeba wybrać tylko jeden wariant. Żałuję, że nie widziałam „Pokojówek" w innych inscenizacjach.

Lubi pani grać tę rolę?

Bardzo, ale nie potrafię uzasadnić — dlaczego, rzecz się ma podobnie jak z pytaniem — dlaczego wybrałam zawód aktorki.

Aktorki podczas tej rozmowy w teatralnej garderobie przebierały się w prywatne ubrania, zdejmowały peruki, odpinały przypinki, odklejały sztuczne rzęsy, zmywały makijaże. Rozmawiały o drobiazgach, starały się zapomnieć o tym co przed chwilą robiły na scenie czym żyły, dlaczego płakały, śmiały się, krzyczały, szeptały, biły po twarzach i ciele, zadawały sobie psychiczne i fizyczne tortury. Jeszcze przy finałowych ukłonach były na pół prywatne, na pół w postaciach...

I tylko ich tajemnicą jest — jak potrafiły w ciągu kilku minut tak wspaniale się zrelaksować, wyłączyć, zapomnieć, a może one to tylko tak świetnie zagrały?

BOHDAN GADOMSKI

J. Genet „Pokojówki". Na zdjęciu: Bogusława Pawelec, Barbara Marszałek i Żywila Pietrzak
Foto: Witold Górka

Bruce Springsteen: „Urodziłem się, aby uciekać"

Spieczona słońcem autostrada. Unosi się nad nią zapach wyschniętej trawy i charakterystyczna woń, jaką o zachodzie wydziela nagrzany asfalt. W sportowym samochodzie podążamy za opadającą coraz niżej ognistą kulą. Na ciele czujemy jeszcze bijący od niej żar, a twarz i włosy oplata wpadające przez otwarte okna gorące powietrze. Ręce zaciskają się na kierownicy, której drgania przeszywają całe ciało. Bezwiednie dociskamy pedał gazu. Mając w uszach już tylko narastający warkot silnika, staramy się dogonić uciekający horyzont.

Wyobraźmy sobie muzykę, która w podobny sposób potrafi nami zawładnąć. Jak szaleńczy pęd samochodu. Jak upalny letni wiatr...

Twórczość Bruce'a Springsteena poznałem przez przypadek. Wśród płyt, jakie pożyczył mi kiedyś pewien miłośnik rocka, był podwójny album „The River". Kilkanaście dość podobnych pod względem stylistycznym piosenek nie wywarło początkowo na mnie wrażenia. Typowa dla amerykańskiej muzyki sekcja rytmiczna, obdarzony silnym głosem wokalista i saksofonowe ozdobniki. Niby nic nowego, a jednak... Słuchając po raz drugi, trzeci poszczególnych nagrań, zacząłem dostrzegać ich niepowtarzalny urok.

Springsteen śpiewa o życiu prostych ludzi. Bohaterami jego utworów są robotnicy, farmerzy, sprzedawcy i włóczędzy. Autor opowiada o ich pracy i problemach dnia powszedniego. Większość z nich samotnie boryka się z przeciwnościami losu. Sobotnia zabawa taneczna czy romantyczny spacer z ukochaną osobą w świetle księżyca to okazje do zapomnienia o kłopotach, od których nie można uwolnić się na zawsze. Pozostaje jedynie nadzieja. „W dzień pracuję w warsztacie mojego ojca. Nocą, za kierownicą samochodu, gonię miraż". Motyw ucieczki w pędzącym samochodzie przewija się przez całą twórczość Springsteena. Wolność jest w tym przypadku pozorna i kończy się zazwyczaj z chwilą, gdy w baku zaczyna brakować benzyny. Autor bezwzględnie traktuje swoje postacie, nie dając im praktycznie żadnej szansy. Narracja w pierwszej osobie stwarza specyficzną atmosferę intymności. Dynamiczna i bardzo sugestywna muzyka wzmacnia wymowę tekstu. Nawet pulsujące rytmem wielkie przeboje, takie jak „Hungry Heart" z 1980 roku, czy najnowszy „Dancing in the Dark", w warstwie literackiej dalekie są od optymistycznej wizji świata.

Żałuję, że tegoroczne tournée Springsteena ominęło Polskę i nie mogłem obejrzeć w akcji tego interesującego wykonawcy. Więcej szczęścia miał reporter tygodnika „Newsweek" — Bill Barol, który jako jeden z 20.000 mieszkańców New Jersey zdobył bilet na występ w tamtejszej Brendan Byrne Arena. W mieście, gdzie przed 34 laty przyszedł na świat, Springsteen dał 10 koncertów. W pierwszym dniu sprzedaży jego wielbiciele kupili 202.000 biletów. Koncert w New Jersey rozpoczął się przebojem „Hungry Heart". Gdy po wstępie instrumentalnym piosenkarz zbliżył się do mikrofonu, cała sala zaczęła śpiewać. Springsteen był tak zaskoczony, że pozwolił widzom wykonać samodzielnie pierwszą zwrotkę, co zrobili bezbłędnie, i dołączył do nich dopiero po refrenie.

Jest jednym z najbardziej szczodrych wykonawców. Jego koncert trwa prawie 4 godziny. Stara się grać to, czego życzą sobie słuchacze. W przerwach między piosenkami rozmawia z publicznością, opowiada dowcipy. Śpiewając w New Jersey „Dancing in the Dark", poprosił do tańca jedną z wielbicielek. Dla „swoich ludzi" potrafi dać z siebie wszystko. „Jestem zadowolony, gdy kładąc się do łóżka wiem, że zrobiłem to na co mnie stać".

Karierę estradową rozpoczął 12 lat temu. Krytykom i publiczności, szybko przypadły do gustu jego rock and rollowe ballady, w których opowiadał o życiu amerykańskiej ulicy. „Piosenki o dobrych ludziach, otoczonych złą rzeczywistością" — scharakteryzował je Bill Barol. Jak to zazwyczaj bywa w przypadku nowych wykonawców, próbowano określić dokładnie styl jego twórczości. Niektórzy porównywali go z Bobem Dylanem. Płyta „Born to Run" z 1975 roku udowodniła, że Springsteena nie da się zaszufladkować. Jednocześnie dzięki temu albumowi wykonawca stał się popularny poza granicami USA. Równy poziom artystyczny poszczególnych kompozycji, solidna, wzbogacona o brzmienie sekcji dętej, aranżacja i znakomite wykonanie to główne zalety tego dzieła. Utwór tytułowy określił ideologię Springsteena-poety. „Jestem wystraszonym, samotnym jeźdźcem... Urodziłem się, aby uciekać". Płyta „Darkness on the Edge of Town" z 1978 roku obraca się wokół podobnych problemów. Motywami przewodnimi są samotność i wiara w przeznaczenie. „Rodzisz się, aby płacić za grzechy innych ludzi" to fragment utworu „Adam Raised A Cain".

Gdy wszyscy sądzili, że wykonawcy zaczyna brakować nowych pomysłów, jakby dla obalenia tego mitu, w 1980 roku Springsteen nagrał znakomity podwójny album „The River", na którym znów wszystkie kompozycje są jego autorstwa i żadna z nich ani przez moment nie nuży. Kolejne przesłuchania tylko potwierdzają, że talent autora nadal się rozwija. Pojawiają się nowe elementy w muzyce i tekstach. Coraz mniej smutku i zadumy, coraz więcej radości i wiary w sens życia. „Kiedyś dziewczyno przestaniesz płakać i przekonasz się, że dwa serca są lepsze niż jedno".

Dwa lata temu w swoim domowym studiu w New Jersey zarejestrował utwory składające się na płytę „Nebraska". Zaśpiewał je bez zespołu, przy akompaniamencie harmonijki ustnej i gitary. Ostatnio powrócił do dynamicznego rocka albumem „Born in the USA", z którego pochodzi najnowszy przebój „Dancing in the Dark". Jego niezbyt bogatą dyskografię uzupełniają dwie mniej znane pozycje z początku lat siedemdziesiątych „Greetings From Astbury Park" i „The Wild, the Innocent and the E Street Shuffle". Wszystkie dzieła Springsteena zasługują na uwagę tych, którzy wymagają od rock and rolla więcej niż rytmu i karkołomnych gitarowych solówek. Jego piosenki oprócz niebanalnych tekstów, niosą ze sobą ładunek uczuć, wypływający z wewnętrznej pasji i wyczuwalnej radości z ich wykonywania. W okresie dominacji „komputerowego" brzmienia towarzyszącego ubogim w wartości tekstom, człowiek, który „urodził się, aby uciekać", przypomniał nam, że rock nie jest muzyką tylko do tańca. Słuchając produkcji współczesnych piosenkarzy i zespołów coraz częściej odnoszę wrażenie, że mało wykonawców o tym pamięta.

GRZEGORZ WALENDA

Polemiki • Listy • Opinie

„CZEGO CI STARZY OD NAS BIEDNYCH CHCĄ?"

Przyznaję, że z tym tekstem nosiłem się bardzo długo. Nie z braku przekonania o słuszności myśli, lecz z obawy, że przez wielu będzie on poczytany jako kolejna „mowa-trawa". Ośmieliła uzyskałem pomoc. Ze strony p. B. Madej (Odgłosy, nr 30/84 — „Pistolet nie strzela bez naboi"), która napisała: „...narzekamy na młodzież, że niedobra i rozwydrzona... a z kogo ona bierze przykład? Z krasnoludków może? Nic podobnego. Z dorosłych, tylko dorośli jakoś tego nie chcą pojąć...".

Być może, że byłby to jeszcze jeden dowód na istnienie krasnoludków, lecz w nie nie wierzę. Dlatego, podbudowany uwagami z branży sportowej — piszę i ja. Bo problem ten sam.

Zacznę od przypomnienia dylematu kilka miesięcy temu często dyskutowanego: czy młodzi winni najpierw myśleć o mieszkaniu, czy o dziecku? Rozumiem — natura, instynkt, naród (liczny!). A z drugiej strony wymagać cierpliwości, szczególnie w czasach naszego kryzysu? Może więc kredyty MM lub pierwszeństwo w nabyciu dóbr doczesnych przy zagospodarowaniu pierwszego samodzielnego mieszkania? Lecz tu odpór z drugiej strony — „a co to — my gorsi? Jak już człowiek starszy i zaoszczędził, to nie ma prawa do pralki automatycznej?"

(„Pralkę nową, na gwarancji — sprzedam...").

Jak by kto nie dzielił — to i tak ta koszulka na razie krótka! Może więc wygodniej nie wdawać się w szczegóły, tylko zaatakować s y s t e m? A potem już tylko krok do rozważań o rzekomym braku jakichkolwiek możliwości młodego pokolenia, tego sfrustrowanego i „straconego" (posłuchajcie tekstów zespołów rockowych)? Rzucić parę haseł negujących szanse młodych a z haseł tych stworzyć odskocznię do narzekania i nowoływania. Wiadomo, do czego!

Pisanie to kieruję przede wszystkim do pokolenia starszego do jakiego i sam się zaliczam. I rzucam pierwsze propozycje: a może by tak zastanowić się, skąd się to wszystko wzięło?

Lecz na wstępie relacja z dwóch rozmów.

Pierwszą miałem z eks-kolegą ze szkoły. W lecie 1981 r., w okresie, kiedy to ważyły się losy Kraju, a niektórzy byli nawet skorzy uwikłać się w wojnę (niekoniecznie tylko domową). Otóż zapytałem go, czy nie sądzi, że dość już poniesionych nie tak dawno przecież ofiar? W odpowiedzi usłyszałem: „...eksperci twierdzą, że w takim przypadku mogłoby zginąć około 2 mln Polaków...". Zaszokowany tym beznamiętnym rachunkiem mruknąłem — „a gdyby padło to na Twoich chłopaków?" (miał ich dwóch — nastolatków). Eks-kolega odparł: „No cóż — historia zna wypadki, w których ofiary są konieczne. A jeśli zostanie tak jak jest — to cóż te moje chłopaki mają za perspektywy?"

Pożegnałem się szybko i odszedłem. Rozmowy tej — daję uczciwe słowo — nie wymyśliłem.

Druga rozmowę, mniej więcej z tego samego okresu, relacjonował mi przyjaciel. Otóż — któryś z jego współpracowników snuł również rozważania na temat ewentualnych konfliktów i również rzucił cyfrę około 2 mln Polaków (jacy ci eksperci byli zgodni!). Przyjaciel zapytał: „...skoro jest was tak dużo a ofiary uważacie za konieczne i uzasadnione — to może wybralibyście te 2 mln spośród Was?".

Odpowiedzi nie było. Była za to obraza o niepoważne traktowanie sprawy. A mnie się coś wydaje, że to pytanie przyjaciela było ś m i e r t e l n i e poważne.

Co więc jest z tymi możliwościami i perspektywami? Są, czy ich nie ma, a jeśli nie ma — to dlaczego? Myślę, że odpowiedź na te pytania zależy od tego jak na nie spojrzeć. Czy wszystko się „należy", czy należy po prostu pracować?

I co powinno być przyjęte za miarę porównań? Chciałbym pominąć wszelkie porównania z okresami poprzednimi, choć sam czasem ulegam filozofii „nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej". W szczególności, gdy wspomnę trepy, kisnącą marmoladę i zupę z brukwi z lat czterdziestych i popatrzę na dzisiejsze jeansy i adidasy oraz niewątpliwie bardziej kaloryczne i urozmaicone pożywienie naszej kryzysowej doby.

Sądzę, że rówieśnicy przyznają mi rację, a na żądanie niedowiarków zobowiązuję się rzecz opisać bardziej szczegółowo.

Nie o to mi jednak głównie chodzi bo lata osiemdziesiąte nie mogą być takie same jak okres międzywojenny czy wojenny. Byłoby to zaprzeczeniem postępu. Lecz cały czas się zastanawiam: skąd to wszystko ma się brać? Z powietrza, z kredytów, pomocy zagranicznej? Czy z rzetelnej roboty?

Na mój rozum — z roboty. Lecz przewiduję ripostę: „przecież to „oni" źle zorganizowali, źle decydowali, zmarnotrawili... Brak bodźców do dobrej roboty...!". Nie zgadzam się. Suma „ich" to — niezależnie od szczebla, zakresu roboty i decyzji — „my".

Wybaczcie łopatologię, lecz muszę coś przypomnieć. Koniec lat siedemdziesiątych uderzył większość Polaków jak obuchem w łeb. Jak to — prawie druga Japonia, inwestycje na skalę pierwszej dziesiątki uprzemysłowionych krajów w świecie, tak dobrze — a naraz tak źle? Zadłużenia w „zielonych" terminy spłaty udzielanych nam bez opamiętania, a może właśnie z w y r a c h o w a n i e m — pożyczek? Międzynarodowy bankrut?

A propos „Japonia": widział to kto Polaka, żywiącego się w ciągu dnia trzema miseczkami ryżu z rybkami + jeszcze jakieś „frutti di mare" i usatysfakcjonowanego kilkoma dniami płatnego urlopu po kilkunastu latach pracy? A gdzie zwolnienia lekarskie na kaca, na pranie na fuchę? (w tym miejscu przepraszam ogół lekarzy za użycie stereotypu.).

Wierzę tym młodym, którzy swe samodzielne życie rozpoczynali, organizować w początkach lat siedemdziesiątych. Oni rzeczywiście nie mogą niczego pojąć, albo t r u d n o im pojąć. I ja też z tych dobrodziejstw korzystałem, przyznaję. Start roku 1970 mógł oszołomić. Lecz już po 2—3 latach odzywały się głosy: a jak przyjdzie do płacenia?

Jaka jest więc relacja między dobrobytem a robotą?

S. Harasymiuk w swych reportażach z RFN z 1981 r. („Milionerzy i pomywacze" — Iskry, 1983) pisze: „...znamy kraj, który w ubiegłym dziesięcioleciu otrzymał więcej dolarowych kredytów niż RFN w latach sześćdziesiątych, a nie dokonał żadnego cudu, jeśli nie liczyć „cudu" doprowadzenia kraju do niespotykanego w dziejach kryzysu..."

Choć dolar lat 60-tych nierówny dolarowi lat siedemdziesiątych — nie sposób nie przyznać Harasymiukowi racji, szczególnie, gdy dalej opisuje tych naszych biednych (w kraju) rodaków, wybrzydzających (w kraju) na wszystko i wszystkich, na złą organizację (choć często za nią odpowiadają), na złą wydajność pracy (choć często wykorzystuje maksimum zwolnień), którzy zupełnie inaczej zachowują się za granicą. Z tytułami doktorów zmywają naczynia w knajpach, chwytają się byle jakiej roboty i niczego się nie wstydzą.

Zastrzegam: nie pochwalam (czemu niejednokrotnie dawałem wyraz) preferencji wynikających z faktu posiadania w PRL walut obcych. Są to sprawy na tyle dyskusyjne co konieczne.

Jednak — niewielu jest takich, którzy są w stanie określić swoje podstawy egzystowania w oparciu o podobne sytuacje. Dla większości — zarobki i wydatki liczą się w złotówkach. I dlatego nie sposób pominąć pojęcia dobrej roboty nie tylko w aspekcie produkcji, lecz i — a może przede wszystkim — w sferze decyzji.

Niech każdy — i decydent, i szeregowy pracownik rozważy i oceni własną cegiełkę w tej budowli miliardowych strat i zaprzepaszczonych szans. Ile w tym „ja", a ile „oni".

Nie chodzi mi jednak wyłącznie o sferę materialną. Daleko gorsze, bo niewymierne, są straty moralne. Powielanie wzorców określonych zachowań, wykorzystywania nie zawsze należnych możliwości i apoteoza cwaniactwa.

Tu znów posłużę się konkretnym przykładem: doktorantka UJ, w Krakowie, odznaczająca się znacznymi zdolnościami manualnymi i znakomicie prowadząca zajęcia ze studentami (do których to zajęć nie kwapił się nikt z wyższym stopniem naukowym) — uzyskała swego czasu ciekawą propozycję: „Koleżanko — przydzielimy Wam mieszkanie (a mieszkała w kompletnie zagrzybionym locum z czasów Franca Jozefa) jeśli Koleżanka n i e z r o b i w wymaganym czasie doktoratu..." (czytaj: będzie dalej prowadziła zajęcia ze studentami.). Wybór był oczywisty.

Jedźmy dalej. Śmiem twierdzić, że — niestety — okres spontanicznego, patriotycznego stosunku do pracy skończył się po wojnie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Potem zaczęły się przewartościowania. Tym bardziej, że do głosu dochodziły stopniowo pokolenia nie zanadto wzruszone heroicznymi zmaganiami o Polskę Niepodległą, Ludową. Różne okoliczności powodowały więc, że czynnik materialny brał górę nad poświęceniem i rzeczywistym zaangażowaniem. Wprawdzie w tych latach elita finansowa była chyba szczuplejsza i mniej widoczna, lecz, poprzez swoje coraz bardziej widoczne możliwości — zaczęła oddziaływać na sposób myślenia społeczeństwa.

Aby nie być gołosłownym: gdy w lecie 1953 roku chałturzyłem przez wakacje na swoje studenckie utrzymanie w „Simie" na Placu Wolności za ca. 1500 zł miesięcznie (a było to wówczas dość dużo!) — w tym samym czasie, miły zresztą Prezes Spółki Wytwórców Samodziałów ze Śląska płacił bez zmrużenia oka po 500 zł za kolację. W rok później w Jastarni mieliśmy do czynienia z facetem, który przez trzy tygodnie „wczasów" wydawał średnio dziennie również po 500 zł. A znany aktor filmowy estradowy — p. T. F. płacił za prawo wyłączności produkowania 5-minutowego monologu — 2.000 zł, czego byłem świadkiem. Nie czynię zresztą z tego zarzutu, lecz chodzi mi o proporcje.

Jeśli o tym wspominam to nie po to, aby się natrząsać. Było — jak było. Kto mógł — już wówczas czerpał. Lecz pytanie czy tylko takie przykłady były godne powielania?

Niepopularna sfera pojęć moralnych, kuszenie czystą konsumpcją!

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte przyniosły różne zmiany. Oprócz tych — mimo różnych kryzysów — niepodważalnych, o czym w naszym czterdziestoleciu nie można zapomnieć, także zmian prawie katastrofalnych. Do takich zaliczyłbym rozszerzenie, jakby mimochodem, systemu przywilejów. Przywilejów nie zawsze związanych z rzeczywistymi zasługami. Powielania wzorów stylu i trybu życia, pogłębienie rozwarstwienia materialnego. Dla niektórych „twarde", ciuchy, wyjazdy za granicę, posiadanie sprzętu Hi-Fi i wozów japońskich nie stanowiło żadnego problemu. Inni mieli trudności ze wszystkim.

Stąd się wziął „wzór". Wzór tego, kto ma „dojście", jest górą. Od najmłodszych lat: dlaczego Adaś ma na książeczce SKO w I klasie 10 tys. zł, a Asia jest dowożona Polonezem? Dlaczego on ma portki z Pewexu za 15 dolców, a ja szmatkę za 1000 zł? Dlaczego...

Jak wytłumaczyć dziecku, że ktoś — będąc zdrowy jak byk idzie na wcześniejszą emeryturę i korzysta z możliwości handlu i spekulacji. Że inni korzystając ze znajomości i układów załatwiają szereg rzeczy, nieźle przy tym zarabiając?

Młodzi patrzą, słuchają i obserwują. A potem postępują stosownie do serwowanych im świadomie i nieświadomie przykładów. Przykładów potęgowanych jeszcze przez „domowe dyskusje", w czasie których odsądza się „ich" od czci i wiary, a przyczyn tego, co jest — upatruje się w jakichś wyimaginowanych źródłach, nie patrząc na siebie.

To nie znaczy, że „ich" bronię. Zło jest złem, niezależnie od tego, gdzie tkwi.

Prof. Jabłoński wręczając z okazji Święta Lipcowego odznaczenia i wspominając o latach powojennych powiedział — jak mi się wydawało — z goryczą (cytuję z pamięci): „...był to czas, w którym wszyscy pracowali z zapałem, nie pytając z a i l e..."

Jak trudną sprawą jest zachowanie właściwych proporcji między zasługami, przywilejami, żądaniami i możliwościami...

Popatrzmy na siebie.

A co do młodych? No cóż — nie widzę powodów, aby się nad nimi zbyt roztkliwiać lub usprawiedliwiać. Ale i nie zanadto ganić za to, że radzi by zbierać nie siejąc. Przykład jest zaraźliwy. Lecz w miarę upływu lat i nabierania rozsądku — mity pękają, czego i myśmy chyba doświadczyli?

W. AFELT

„CHCĘ ŻYĆ PO ŚMIERCI"

Leona Gollę — jedynego chyba rzeźbiarza ludowego, który całą swą twórczość poświęca życiu i pracy rybaków, odwiedziłem we Władysławowie z zamiarem napisania kilku słów o jego twórczości oraz ciekawym, rybackim życiu.

— Przepraszam pana, ale nie chcę udzielać żadnych wywiadów — mówi gospodarz i pokazuje mi teczkę wypchaną artykułami prasowymi. — Już różni dziennikarze u mnie byli i obiecali że napiszą to, o czym mówiłem, co mnie najbardziej boli. Proszę zobaczyć tu — pan Golla pokazuje mi wrześniowy numer „Morza" z ubiegłego roku — fotoreportaż! Przecież ten fotograf w ogóle u mnie nie był. Poszedł na wystawę, sfotografował kilka rzeźb, jedną scenę nawet źle ustawił, dopisał, że to „bomba" i koniec! Nie mam już do was zaufania.

— Jestem teraz martwym rzeźbiarzem — mówi pan Leon po chwili zamyślenia. — Przez wiele lat każdy zachwycał się moją twórczością i co z tego? Nikt nie przyszedł mi z pomocą. Widział pan gdzie są moje prace? Stłoczone jak śledzie w zamykanym na klucz pokoiku Miejskiego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji.

Wybrałem się tam którejś soboty, a więc w dniu, kiedy tego typu placówki powinny być czynne. Niestety!

— Tu jest otwarte tylko w dni powszednie od ósmej do trzeciej — informuje mnie pracujący w pobliżu mężczyzna.

— Wątpię, czy moje rzeźby długo wytrzymają — mówi Leon Golla. Ja chcę, by trwały, by ludzie mogli je oglądać, podziwiać pracę rybaków, liczne akcesoria, często dziś już nie używane. Chcę żyć jeszcze po śmierci dzięki tym moim rzeźbom.

W mieście nie zauważyłem żadnego plakatu, żadnej informacji o tym, gdzie można obejrzeć znaną w całej Polsce twórczość tego ludowego rzeźbiarza.

Mały pokój, o którym artysta wspominał, nie może spełniać roli salonu wystawowego — rzeźba potrzebuje chociaż trochę przestrzeni wokół siebie, aby można ją było należycie oglądać. Tym bardziej, że pan Golla rzeźbi nie tylko pojedyncze postacie, ale przede wszystkim sceny z życia rybaków.

W pobliżu dworców PKS i PKP znajduje się maleńki pawilon, w którym kiedyś sprzedawane były lody. Na półtora miesiąca udostępniono ten lokal panu Leonowi. Gospodarz pokazuje mi zdjęcia z wystawy. I tu rzeźby niemal przylegają do siebie. Twórca cieszy się jednak z wystawy, wiele czasu przebywał na niej, z radością rozmawiając z ludźmi, dziękując każdemu, kto wpisał się do księgi pamiątkowej.

— Do księgi wpisywali się ludzie z najróżniejszych stron Polski. Tylko władz Władysławowa nie widziałem na wystawie. Tylko oni nie pozostawili żadnego śladu w księdze.

Pan Leon pokazuje mi ją — kilkadziesiąt stron zapisanych pochlebnymi, nieraz wzruszającymi notatkami.

— W ubiegłym roku przyszła do mnie staruszka, miała chyba z osiemdziesiąt lat — wspomina rzeźbiarz. — Trzęsącym się głosem powiedziała, że była na wystawie w tym pawilonie obok dworca. „Tak, tak — mówiła — Ja to pamiętam. Tak było. Pamiętam te kobiety sprzedające ryby w koszach, tych rybaków wracających z morza". Jej wizyta sprawiła mi niezmiernie dużo satysfakcji i wzruszenia.

Leon Golla prosił władze miasta, aby przebudowały kiosk, w którym wystawiał on swoje prace. Aby zlikwidowano niepotrzebną ściankę działową i przesunięto tylną ścianę do granicy sąsiednich pawilonów. Tę drobną pracę można by wykonać nawet w czynie społecznym. Nie zgodzono się jednak. Nie może być powodem brak funduszy ani względy architektoniczne, ponieważ we wnęce, którą rzeźbiarz postulował zlikwidować przez dłuższy czas znajdował się śmietnik.

Odpowiedniego miejsca do wystawiania swoich rzeźb pan Golla domagał się przez wiele lat. Ostatnio już nie stara się o to.

— Chodziłem do różnych ludzi, aż wreszcie usłyszałem, że marudzę. No to przestałem chodzić. Czekam, aż ktoś przyjdzie do mnie. Bezskutecznie.

Przez wiele lat dostrzegano duże walory jego twórczości, ceniono ją, ale tylko w słowach. W ubiegłym roku artysta otrzymał nawet list z Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku. Dyrektor wydziału Wiktoria Kusińska pisze w nim m.in.:

„Uwzględniana w Pana twórczości specyfika życia i pracy mieszkańców Kaszub stanowi trwały ślad w kulturze naszego regionu."

W 1981 roku w liście do ówczesnego Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Gdańsku Leon Golla pisał: „Nie będę więcej rzeźbił dla miasta do czasu, kiedy będą mi dane inne warunki wystawiania".

— Proszę pana, przecież taki twórca ludowy jak ja ma ogromną satysfakcję kiedy jego prace oglądają inni ludzie, kiedy interesują się nimi — mówi rozgoryczony gospodarz. — Tak jak artysta na scenie cieszy się, gdy biją mu brawo, cieszy się, kiedy nie gra przed pustą widownią, tak nam też potrzebna jest satysfakcja z pracy, dodatkowy doping do niej. A kto dziś wie, gdzie można moje rzeźby obejrzeć? Niektórzy mieszkańcy Władysławowa.

Pana Leona trapi nie tylko ta sprawa. Wiele razy na różnych zjazdach twórców ludowych, na sesjach rady narodowej (był radnym) domagał się utworzenia skansenu rybackiego. Przez lata jeździł do okolicznych rybaków i zbierał od nich nieużywany już sprzęt — stare łodzie, liny, sieci, wiosła, kotwice. Była to niezwykle żmudna praca, ale ostatnie istniejące jeszcze w tym regionie akcesoria rybackie udało mu się zebrać. W TEJ CHWILI ZDEWASTOWANE, DALEJ NISZCZEJĄ I GNIJĄ leżąc na podwórku obok Miejskiego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji.

We Władysławowie skansenu nigdy nie będzie. Szansa została bezpowrotnie utracona, ponieważ — powtarzam — nie ma już żadnego starego sprzętu, a poza tym zrezygnowany Leon Golla zapewnia, że już się tym nie zajmie. Nieprawda, że nie ma ludzi niezastąpionych.

Nie rozmawiałem na temat pana Leona ani z naczelnikiem Władysławowa, ani z dyrektorem ośrodka kultury, ani z pracownikami Wydziału Kultury i Sztuki w Gdańsku. Po co? Przecież skansenu już i tak nie da się uratować. Odpowiedniego pawilonu do wystawiania rzeźb wyjaśnieniami się nie stworzy. Ważne jest, że go nie ma! Zresztą cóż za wyjaśnienia można usłyszeć — że brak funduszy lokalu...? A ileż to tych funduszy potrzeba na przykład na modernizację pawilonu w pobliżu dworca? Pawilonu, który poza sezonem stoi pusty i nie ma już nawet widniejącego kiedyś napisu „Rzeźby Leona Golli" który PO SEZONIE zwodził podróżnych. Wyjaśnienia nie interesują ani twórcy, ani ludzi, którzy chcieliby jego twórczość oglądać.

ADAM KOWALCZEWSKI

ROZSTRZYGNIĘCIE TOMASZOWSKIEGO KONKURSU

Rozstrzygnięty został konkurs na utwór poetycki i piosenkę o Tomaszowie Mazowieckim i ziemi tomaszowskiej ogłoszony z okazji 40-lecia PRL przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta w Tomaszowie Mazowieckim, Oddział Łódzki Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR i Towarzystwo Przyjaciół Tomaszowa.

Jury postanowiło nie przyznawać w kategorii utworów poetyckich I i II nagrody. Dwie równorzędne III nagrody w wys. 5000 zł otrzymali: Piotr Łosowski za cykl wierszy „Pory dnia" (godło: „Czas") i Włodzimierz Wierzchowski za cykl wierszy „Szkice o Tomaszowie" („Faustus"). Wśród wyróżnionych znaleźli się: Jerzy Adam Ćwikła, Mirosław Pindral, Ryszard Bińczyk i powtórnie Mirosław Pindral.

W kategorii piosenek również nie przyznano I nagrody. Natomiast II nagroda w wys. 20 000 zł przypadła Andrzejowi Borowskiemu (muzyka) i Jadwidze Urbanowicz (tekst) za piosenkę „Taki Tomaszów" („Dafne".) Równorzędne III nagrody otrzymali: Michał Sulej i Jerzy Czarski za piosenkę „Nasza polka tomaszowska" („Z przytupem"), Andrzej Borowski i Włodzimierz Ścisłowski za piosenkę „Pomarzymy nad Pilicą" („Lazur"), Bogdan Domagała i Zofia Czerwińska za piosenkę „Tomaszów jest w błękicie" („Jędruś"). Każda z nagród wynosi 10 000 zł do równego podziału między kompozytora i autora tekstu. Ponadto przyznane zostały cztery równorzędne wyróżnienia po 5000 zł dla tytułów: „Jesteśmy z Tomaszowa", „Zaproszenie", „Tomaszowskie zuchy" i „Trochę romantyzmu".

Jury podkreśliło stosunkowo duże zainteresowanie konkursem, co wyraziło się znaczną ilością zgłoszonych prac.

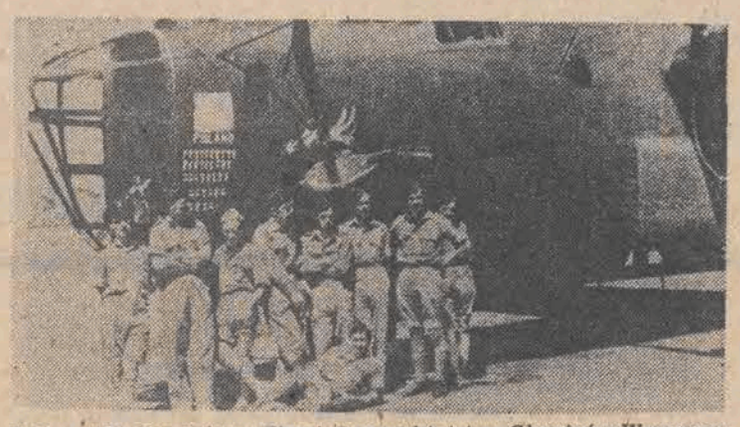

Załoga 301 Dywizjonu Ziemi Pomorskiej im. Obrońców Warszawy

(1)

Bohaterski dywizjon „Obrońców Warszawy"

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Kolebką polskiego lotnictwa bombowego w Wielkiej Brytanii w czasie drugiej wojny światowej było niewątpliwie lotnisko Bramcote, na którym urodziły się wszystkie nasze „Karasie" (P.23), lecz bykładnie trzy tygodnie od powstania pierwszego w Anglii polskiego dywizjonu ciężkiego bombowego nr 300 Ziemi Mazowieckiej, w dniu 22 lipca 1940 r. sformowano pod dowództwem ppłk. pil. Romana Rudkowskiego bliźniaczy — również ciężki bombowy — dywizjon nr 301 Ziemi Pomorskiej. Początkowo lotnicy tego dywizjonu latali na przestarzałych już jednosilnikowych samolotach Fairey Battle" zabierających na pokład pilota, nawigatora i strzelca, podobnie, jak nasze „Karasie" (P-23), lecz były od nich znacznie szybsze i zwrotniejsze, choć słabiej uzbrojone. Na tych maszynach lotnicy szkolili się w zgrywaniu załóg, nawigacji, bombardowaniu itp. Po miesiącu pobytu w Bramcote dywizjon 301 przeniesiono na lotnisko Swinderby, na którym już stacjonował dywizjon 300 Ziemi Mazowieckiej. Odtąd, do 1943 roku obydwa dywizjony bazowały na tych samych lotniskach wykonując wspólnie zadania bojowe.

W połowie września 1940 r. słynna „Bitwa o Anglię" osiągnęła punkt kulminacyjny, a myśliwcy polscy heroicznie zmagali się z niemiecką Luftwaffe, tocząc zaciekłe walki powietrzne, w których odnosili znaczne sukcesy. Butni Niemcy, przekonani o wygraniu tej bitwy, skoncentrowali liczne statki i barki inwazyjne oraz mniejsze okręty wojenne dla ich osłony, w portach holenderskich, belgijskich i francuskich, na wybrzeżu Atlantyku i nad Kanałem La Manche, aby po zwycięstwie w bitwie powietrznej lądować na Wyspach Brytyjskich.

Noc z 14/15 września 1940 r. była historyczną dla obu polskich dywizji z lotniska Swinderby. Każdy dywizjon wytypował trzy załogi, które wspólnie poleciały na nocne bombardowanie barek i statków niemieckich, zgrupowanych w portach: Boulogne, Ostenda i Calais. Lotnicy polscy — mimo silnej obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela — skutecznie zbombardowali cele, powracając na lotnisko macierzyste bez strat. Potem już co noc na zmianę — raz dywizjon 300, to znów 301 — w pełnym składzie załóg, obydwa dywizjony startowały na bombardowania portów holenderskich, belgijskich i francuskich, niszcząc niemiecką flotę inwazyjną.

Od połowy października dywizjon 301 przezbrajał się w dwusilnikowe samoloty bombowe typu Vickers-Armstrong „Wellington" Mk. I, rozporządzające wspaniałym zasięgiem pozwalającym na dalekie loty w głąb Niemiec, zabierające sześcioosobową załogę i dwie tony bomb. Tym samym dwukrotnie powiększył się personel latający i techniczny dywizjonu. Do połowy grudnia szkolono się na nowych maszynach, a już 22 grudnia 1940 r. pierwsze trzy załogi 301 dywizjonu poleciały na wellingtonach bombardować rafinerię ropy naftowej w Antwerpii. Następnego tygodnia trzy inne załogi bombardowały ten sam cel. W obu wyprawach nie poniesiono strat. Niemal sukcesem było zakończenie 1940 r. czterdziestoma dwoma lotami bojowymi w stu pięćdziesięciu sześciu godzinach, przy stracie tylko trzech lotników.

Natomiast bardzo niepomyślnie dla 301 dywizjonu Ziemi Pomorskiej rozpoczął się rok 1941. W dniu 2 stycznia burza śnieżna zaskoczyła nad lotniskiem Swinderby powracające z bombardowania Bremy wellingtony, powodując rozbicie się trzech samolotów przy lądowaniu i śmierć jedenastu lotników, a wśród nich zginął dowódca eskadry „A", mjr. pil. Stefan Floryanowicz. Rozpoczęły się mordercze nocne loty nad Trzecią Rzeszę, z których wiele załóg nie powróciło. Bombardowano różne cele w niemieckich ośrodkach: Wilhelmshaven, Hamburgu, Hannoverze, Bremie, Duisburgu, Essen, Kolonii, Frankfurcie n/Menem Mannheimie i in. Niemcy wzmocnili obronę przeciwlotniczą, zadając coraz poważniejsze straty lotnictwu alianckiemu i loty stały się niebezpieczniejsze.

W drugiej połowie lipca dywizjon przebazowano na lotnisko Helmswell, a w kilka dni później dowództwo dywizjonem przejął mjr. pil. Jacek Piotrowski. W roku 1941 dywizjon zaliczył ponad czterysta lotów bojowych, w około dwu i pół tysiącach godzin, lecz tym razem z wypraw nocnych nie powróciło aż pięćdziesięciu dziewięciu lotników.

Następny rok — 1942 — był rokiem wielkiej ofensywy powietrznej RAF-u na Niemcy, przy użyciu setek, a nawet ponad tysiąca samolotów na bombardowanie jednego celu. Bombardowano nie tylko poszczególne obiekty, ale i całe miasta. Dywizjon 301 Ziemi Pomorskiej również uczestniczył w tych nalotach, bombardując m.in. Hamburg, Bremę, Kilonię, Lubekę, Rostock, Hannover, Berlin, Essen, Karlsruhe, Düsseldorf, Duisburg, Osnabrück, Kolonię i Norymbergę, zapuszczając się też nad Turyn i Mediolan, w odległych Włoszech. Straty personelu latającego rosły zastraszająco, a polski ośrodek szkolenia załóg bombowych — 18 OTU — nie nadążał z wyszkoleniem młodych lotników, a przede wszystkim nie było już ochotników do latania na bombowcach. Tylko sześcioma kompletnymi załogami dysponował w lipcu dywizjon 301.

Bohaterstwo i koleżeństwo załóg bombowych nie miało sobie równych, o czym może świadczyć przytoczony przykład, który nie jest wyjątkiem. W nocy z 2 na 3 lipca 1942 r. powracała z udanego lotu nad Bremę załoga wellingtona 301 dywizjonu: I pilot — sierż. W. Niezręcki, II pilot — sierż. M. Król, nawigator — ppor. obs. Marian Aduckiewicz, radiotelegrafista — sierż. Wojteczko oraz strzelcy pokładowi — sierż. sierż. M. Iwanicz i Z. Wesołowski. Nad Holandią, na wysokości około pięciu tysięcy metrów, polskiego wellingtona zaatakowały dwa myśliwce niemieckie: dwusilnikowe Ju-88 i Me-110, ostrzeliwując seriami polski samolot. Mimo desperackich uników pilota i bohaterskiej obrony strzelców, Niemcy wielokrotnie trafili maszynę, ciężko raniąc drugiego pilota, nawigatora, radiotelegrafistę i tylnego strzelca. Tylko dzięki przytomności umysłu pierwszego pilota, udało się wyrwać z ostrzału niemieckich myśliwców i to na małej wysokości, około trzystu metrów nad ziemią. Wellington był poważnie pokiereszowany. Oprócz licznych dziur w kadłubie, skrzydłach i statecznikach, została rozbita tablica przyrządów pokładowych w kabinie pilotów do tego stopnia, że tylko jako tako działała jeszcze busola. Milczał też uszkodzony telefon pokładowy i załoga nie mogła porozumiewać się między sobą; potrzaskana była pokładowa radiostacja, a ze zbiornika wyciekała benzyna. Pierwszy z szoku otrząsnął się ciężko ranny nawigator, ppor. Aduckiewicz, który mimo bolesnej rany dotarł do pierwszego pilota, podając mu prawidłowy kurs do Anglii, po czym opatrzył rany drugiemu pilotowi i radiotelegrafiście. Nic nie wiedziano o stanie strzelców — przedniego i tylnego. Chociaż obydwa silniki jeszcze pracowały, sytuacja stawała się dramatyczna z powodu wyciekającej ze zbiornika benzyny. Pierwszy pilot wahał się, czy nie rozkazać załodze opuszczenia samolotu, przy pomocy spadochronów, nad terytorium Holandii, czy zaryzykować pokonanie przestrzeni dwustu trzydziestu kilometrów nad Morzem Północnym, aby dolecieć do brzegów brytyjskich. Nawigator, ppor. Aduckiewicz przekonał pilota, aby kontynuował lot do Anglii, ponieważ nie wszyscy mogliby użyć spadochronów ze względu na ciężkie okaleczenia. Maszyna powoli, niezdarnie nabierała wysokości, a ppor. Aduckiewicz z niesłychanym wysiłkiem dobrnął do przedniego strzelca, zastając go ku wielkiemu zadowoleniu, całego i zdrowego, więc polecił mu udać się do tylnej wieżyczki i sprawdzić stan zdrowia tylnego strzelca. W tym samym czasie lewy silnik odmówił posłuszeństwa i przestał pracować. Nie lada problemem było utrzymanie maszyny na odpowiedniej wysokości lotu, ponieważ wskutek uszkodzenia sterów samolot ciążył „na łeb". Tymczasem przedni strzelec — sierż. Iwanicz — dotarł do kolegi i zastając go ciężko rannego, wciągnął go do kadłuba, opatrzył i ułożył na noszach, po czym podążył do kabiny pilotów, pomagając pierwszemu pilotowi w prowadzeniu maszyny. Czas wlókł się powoli, a ranni jęczeli z bólu. Wreszcie wellington osiągnął brzeg angielski, lądując na najbliższym lotnisku ze schowanym podwoziem, także uszkodzonym przez niemieckich myśliwców. Rannych natychmiast odwieziono do szpitala, gdzie dwaj z nich — sierż. Zygmunt Wesołowski i sierż. Stefan Wojteczko — wkrótce zmarli. Lekarzom udało się tylko uratować sierż. Króla i ppor. Aduckiewicza. Nawigator wellingtona, ppor. Marian Aduckiewicz odznaczony został w trybie natychmiastowym najwyższym brytyjskim odznaczeniem lotniczym: Distinguished Flying Cross (Lotniczy Krzyż Zasługi), a wkrótce i polskim Krzyżem Orderu Virtuti Militari V kl. Po wyleczeniu ppor. Aduckiewicz zgłosił się ponownie do latania bojowego, otrzymując skierowanie do 305 dywizjonu bombowego Ziemi Wielkopolskiej.

W drugiej połowie 1942 roku 301 dywizjon latał na minowanie nieprzyjacielskich portów i wód przybrzeżnych: St. Nazaire, Lorient, Brest, Wyspy Fryzyjskie, ujście rzeki Łaby i innych. Załogi 301 dywizjonu wykonały w tym roku ponad siedemset lotów bojowych, w ponad czterech tysiącach godzin, przy olbrzymiej stracie stu dwunastu lotników. W tym osiemdziesięciu dwóch poległo, pięciu zaginęło, a dwudziestu pięciu dostało się do niewoli niemieckiej. Podczas prawie dwuletniej służby w Bomber Command (Lotnictwie Bombowym) 301 dywizjon Ziemi Pomorskiej zaliczył na swym koncie 1.204 loty bojowe w 7.206 godzinach, zrzucając 1.428 ton bomb i kładąc 222 tony min morskich, przy stracie 186 lotników, w tym: 156 poległych, 5 zaginionych i 25 w niewoli.

Na początku 1941 roku zorganizowano w RAF-ie dywizjony zadań specjalnych (Special Duties Squadrons), których zadaniem było pomaganie z powietrza ruchowi oporu we wszystkich okupowanych przez hitlerowców krajach Europy, a więc dostarczanie: broni, amunicji, radiostacji, medykamentów, żywności, odzieży, obuwia, a nawet tzw. „cichociemnych", wyszkolonych w wywiadzie, sabotażu i dywersji oraz instruktorów dla armii podziemnych. Gnębione przez Niemców narody pragnęły walki i odwetu. Napływały rozpaczliwe wołania o pomoc z powietrza, niemal z całej Europy. Polacy, walczący od pierwszego dnia wojny z okupantem, również liczyli jedynie na pomoc z powietrza. Lotnictwo zadań specjalnych musiało nieść pomoc wszystkim okupowanym krajom, co przekraczało jego możliwości sprzętowe, a więc ilość posiadanych samolotów, jak i odpowiednio w tym celu wyszkolonych załóg. Polska była tylko jednym z wielu krajów potrzebujących tej pomocy i według alianckich strategów zachodnich, nie najważniejszym, a przy tym bardzo odległym i trudnym do osiągnięcia przez samoloty, którymi dysponowały dywizjony specjalne. Zdaniem dowództwa brytyjskiego najpierw należało skoncentrować się na pomocy bliższym krajom, jak: Francja, Belgia i Holandia oraz Norwegia i Dania, zaś kraje Europy Środkowej traktowane były w drugiej kolejności.

W styczniu 1941 r. generał Władysław Sikorski, Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, zwrócił się do władz brytyjskich o odkomenderowanie polskich załóg lotniczych do któregoś z brytyjskich dywizjonów zadań specjalnych, motywując prośbę możliwością nawiązania bezpośredniej współpracy z Armią Krajową w okupowanej Polsce. Brytyjskie Ministerstwo wyraziło zgodę i poparło wniosek generała Sikorskiego, potwierdzając swoją obietnicę wcieleniem, już jesienią 1941 roku trzech polskich załóg do 138 dywizjonu zadań specjalnych, stacjonującego w tajnej bazie Strandishall koło Newmarket.

Brytyjski dywizjon 138 zadań specjalnych (138 Special Duties Squadron) wyposażony był w samoloty bombowe typu Handley Page „Halifax", po odpowiednich przeróbkach przystosowane do lotów z zrzutami. Czterosilnikowe kolosy, o rozpiętości trzydziestu metrów i długości dwudziestu dwóch metrów, osiągały prędkość do czterystu dwudziestu kilometrów na godzinę, dysponowały zasięgiem do trzech i pół tysiąca kilometrów, z zapasowymi zbiornikami paliwa oraz osiągały pułap do siedmiu tysięcy metrów. Załogę stanowiło siedmiu lotników: dwóch pilotów, nawigator, który poza normalnymi obowiązkami opróżniał nad celem komory bombowe z zasobników zrzutowych, mechanik pokładowy, radiooperator, tylny strzelec pokładowy oraz tzw. dyspeczer — opiekujący się ładunkiem zrzutowym i wyrzucający go przez odpowiedni luk nad celem. Część komory bombowej wypełniały dodatkowe zbiorniki paliwa, a resztę pojemniki z bronią, amunicją i radiostacjami — wyrzucanymi nad zrzutowiskami przy pomocy spadochronów. Natomiast ładunki nie tłukące się, jak żywność, medykamenty, opatrunki, odzież i obuwie niezwykle starannie opakowano w worki, jutę oraz brezent, wyrzucano bezpośrednio z pokładu samolotów, bez spadochronów.

Loty z zrzutami były nadzwyczaj trudne i niebezpieczne, gdyż odbywały się na małych wysokościach, przy zaciemnionych miastach, nocą, często wiodły nad wysokimi górami i nierzadko wykonywano je w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych. Toteż, mimo że do tej służby zgłaszali się ochotniczo lotnicy, po odbytych kolejkach lotów operacyjnych w dywizjonach bombowych, a więc doświadczeni, musieli przejść doszkolenie w nawigacji na małych wysokościach.

W pierwszej połowie 1941 r. przeszkolono na halifaxach trzy polskie załogi, które jesienią znalazły się już w brytyjskim 138 dywizjonie zadań specjalnych. Najpierw trafił tam były dowódca 301 dywizjonu bombowego Ziemi Pomorskiej ppłk. pil. Roman Rudkowski, a w niedługim czasie po nim pierwsza załoga pod dowództwem mjr. pil. Stanisława Króla. Nocą z 7 na 8 listopada 41 r. wykonano pierwszy lot do Polski. Na pokładzie „Halifaxa" Mk.II/S.I znajdowało się trzech skoczków oraz zasobniki ze sprzętem radiowym, bronią i amunicją. Pilotem tej maszyny był ppłk. Roman Rudkowski, a nawigatorem mjr. obs. Stanisław Król. Załoga przeleciała nad Morzem Północnym, Danią i Bałtykiem, przekraczając wybrzeże polskie w rejonie Gdańska, lecąc w głąb kraju. Po pomyślnym zrzucie zasobników na placówkę „Ugór", położoną w pobliżu Rawy Mazowieckiej, załoga zawróciła do bazy. Odległość z bazy do zrzutowisk na Pomorzu wynosiła około tysiąca trzystu kilometrów, zaś w rejon Warszawy, aż tysiąc sześćset kilometrów, co było granicą maksymalnego zasięgu halifaxów z dodatkowymi zbiornikami paliwa, w sprzyjających warunkach atmosferycznych. W drodze powrotnej bardzo porywisty wiatr czołowy powodował większe zużycie paliwa, którego zapas gwałtownie malał i dowódca samolotu zdecydował się lądować w neutralnej Szwecji, gdzie lotników internowano, ale załoga wkrótce zbiegła i szczęśliwie powróciła do Anglii. Trasa północna nr 1, którą leciała pierwsza załoga do Polski była bardzo niebezpieczna ze względu na dużą odległość i niewystarczający zasięg halifaxów. Czas lotu wydłużały również niekorzystne warunki atmosferyczne, nie mówiąc już o ewentualnych nawrotach nad zrzutowiskami, w celu ich odnalezienia albo manewrowaniu, w przypadku spotkania się z wrogimi myśliwcami w powietrzu. Poza tym, dodatkowe zbiorniki paliwa znacznie ograniczały udźwig samolotu — z tysiąca dziewięciuset do tysiąca stu kilogramów, a wydłużenie czasu lotu powodowało zmniejszenie ładunku zabieranego na pokład samolotu.

Następne dwie polskie załogi przeszkolone na halifaxach, przybyły do 138 dywizjonu w grudniu 1941 r. Wkrótce wykonano dwa kolejne loty do Polski (w dniach: 27 grudnia 1941 r. i 6 stycznia 1942 r.), którym towarzyszyły niezwykle silne wiatry i ciągle grożące oblodzenie. Te halifaxy również leciały północną trasą nr 1, lecz brzeg Bałtyku przelatywały między Kołobrzegiem i Gdańskiem. Obydwa loty trwały po czternaście godzin, załogi powróciły zupełnie wyczerpane, zaś samoloty osiągały własne lotnisko dosłownie na ostatnich kroplach paliwa. Fatalna pogoda, utrzymująca się do końca lutego, nie pozwalała na loty do Polski. Mimo to trzykrotnie próbowano wyprawy do kraju, ale trzeba było zawracać maszyny z połowy drogi z powodu silnego wiatru i oblodzenia.

W połowie marca 1942 r. w ścisłej konspiracji przeniesiono dywizjon 138 na lotnisko Tempsford koło miasta Bedford, skąd kontynuowano loty do Francji, Norwegii, Czechosłowacji, Austrii i Polski. Jednak wyprawy do Polski — ze względu na długotrwałość lotu — organizowano tylko na początku i pod koniec roku, kiedy noce były dłuższe.

Podczas dwóch kolejnych wypraw nocnych do Polski całym dywizjonem, z osiemnastu maszyn siedem zostało zestrzelonych, w tym dwie z polskimi załogami. Z pozostałych jedenastu halifaxów dziewięć trzeba było odprowadzić do wytwórni, celem przeprowadzenia generalnego remontu, ponieważ uszkodzenia były tak poważne, że przekraczały możliwości warsztatów naprawczych na własnym lotnisku. W dywizjonie pozostały tylko dwa halifaxy sprawne do lotu. Dla zmniejszenia strat postanowiono samoloty kierować trasą północną nr 2, dłuższą o sto dziewięćdziesiąt do dwustu sześćdziesięciu kilometrów, ale bezpieczniejszą, wiodącą nad Szwecją, a południowe wybrzeże Bałtyku przelatywano na odcinku Koszalin—Łeba. W związku z wydłużeniem się trasy zdecydowano zastąpienie halifaxów liberatorami, zwłaszcza do wypraw na zrzutowiska znajdujące się w pobliżu Warszawy. Natomiast halifaxy wykorzystywano latem 1942 r. na krótszych trasach do innych krajów położonych bliżej Anglii, jak Holandia, Belgia i Francja.

W październiku 1942 r. dostarczono 138 dywizjonowi zadań specjalnych pierwsze trzy „Liberatory" Mk.V, znacznie większe i szybsze od halifaxów. Rozpiętość skrzydeł tego czterosilnikowego olbrzyma wynosiła ponad trzydzieści trzy metry, osiągał prędkość do czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i dysponował zasięgiem do pięciu tysięcy kilometrów oraz pułapem ponad dziewięć tysięcy metrów. Czas trwania lotu do szesnastu godzin, a więc znacznie dłuższy od halifaxów. W drugiej połowie października, na tym typie samolotów wykonano dwa pierwsze loty do Polski. Samoloty leciały trasą północną nr 2. Jeden rajd trwał dwanaście, a drugi czternaście godzin, a więc ciągle na granicy możliwości maszyn. Liberatory 138 dywizjonu obsługiwały załogi angielskie albo mieszane angielsko-polskie.

Załogi polskie, latające dotychczas w składach eskadr „A" lub „B" 138 brytyjskiego dywizjonu zadań specjalnych, od listopada 1941 roku do 31 marca 1943 r. wykonały pięćdziesiąt siedem lotów do Polski oraz sto pięć lotów do innych krajów.

Brak załóg w polskich dywizjonach oraz niemożność ich uzupełnienia doprowadziły w marcu 1943 r. do rozwiązania 301 dywizjonu bombowego Ziemi Pomorskiej. Część załóg skierowano do brytyjskiego 138 dywizjonu zadań specjalnych, zaś pozostałych lotników przydzielono do innych polskich dywizjonów bombowych, a szczególnie do 300 i 305.

W kwietniu 1943 r. znaczną część załóg 301 dywizjonu bombowego Ziemi Pomorskiej, wcielono do brytyjskiego 138 dywizjonu zadań specjalnych, w którym sformowano trzecią eskadrę „C" — wyłącznie polską. Nawet obsługa techniczna tej eskadry w większości była polska. Eskadrą „C" dowodził mjr. obs. Stanisław Król, dysponując sześcioma załogami i jedną zapasową oraz sześcioma halifaxami. W drugiej połowie roku przemianowano ją na 301 Polską Eskadrę Zadań Specjalnych (301 Polish Special Duties Flight). Załogi eskadry latały nad Francję, Belgię i Holandię, wspomagając z powietrza tamtejsze armie podziemne. Podczas nocnej wyprawy z 16 na 17 sierpnia 1943 r. został zestrzelony nad Francją „Halifax" Mk. II z rejestracją: GR-J nr JD312, ppor. Krzelika. W załodze tej maszyny strzelcem-bombardierem był chor. Mieczysław Pawlikowski, znany powojenny aktor. Całej załodze udało się przedostać przez Pireneje i Hiszpanię do Gibraltaru, a stamtąd do Wielkiej Brytanii. Mimo że loty na halifaxach uznano za graniczące z ich zasięgiem, od września, gdy nastały dłuższe noce, kontynuowano je, latając trasami północnymi nr 1 i nr 2. Niemcy zorientowali się w trasach dolotów do Polski, koncentrując w Danii i na wybrzeżach Bałtyku niezwykle silną obronę przeciwlotniczą: myśliwską i artyleryjską, co dotkliwie odczuły załogi latające tymi szlakami powietrznymi.

Podczas kolejnej wyprawy do Polski, w nocy z 14 na 15 września, pilotowany przez Anglika, por. Milne, halifax, w trakcie poszukiwania punktów orientacyjnych w terenie, między Skalmierzycami i Szczypiornem, zderzył się z kominem cegielni i runął na zabudowania, grzebiąc w swych szczątkach całą załogę oraz trzech cichociemnych. Następna wyprawa, noca z 16 na 17 września była jeszcze tragiczniejsza. Halifax z polską załogą zrzucił dwóch skoczków w okolicy Tłuszcza. Powracając do Anglii, został silnie ostrzelany przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą nad Danią i zaatakowany przez kilka myśliwców nocnych, z którymi załoga halifaxa stoczyła bohaterską walkę, lecz wskutek uszkodzeń, pilot był zmuszony do lądowania na terytorium duńskim z unieruchomionymi silnikami, co sprawiło rozbicie się maszyny na ziemi. Na miejscu zginęli: nawigator kpt. W. Wasilewski oraz, sierżanci: Bordzo i Michalski. Drugi pilot wskutek śmiertelnych poparzeń, po ośmiu godzinach zmarł w szpitalu, a reszta załogi dostała się do niewoli; tylko sierżantowi Tadeuszowi Wiecznikowi — dzięki pomocy duńskiego ruchu oporu — udało się dotrzeć do neutralnej Szwecji, skąd po czasie powrócił do Anglii. Dwa inne halifaxy tej wyprawy zestrzeliły myśliwce bądź artyleria nieprzyjaciela, a pozostałe maszyny były tak pokiereszowane, że po powrocie na własne lotnisko, skierowano je do generalnego remontu, a niektóre nawet na złom. Dywizjon ponosił olbrzymie straty, grożące jego całkowitym wyniszczeniem.

Pierwszego zrzutu z liberatora 138 dywizjonu zadań specjalnych dokonano nad Polską w nocy z 17 na 18 października 1943 r., zrzucając na placówkę „Obrus" koło Łowicza, trzech skoczków. Liberatorem dowodził Polak, kpt. obs. A. Freyer. W tym samym miesiącu również 301 polska eskadra otrzymała pierwszego liberatora, którego obsadzono załogą polską, pod dowództwem mjr. obs. Stanisława Króla.

Trasy północne były nadzwyczaj niebezpieczne i ryzykowne nawet dla liberatorów, utrzymujących się w powietrzu ponad piętnaście godzin i coraz częściej zdarzało się, że powracające znad Polski załogi — z powodu braku benzyny — przymusowo lądowały w neutralnej Szwecji albo wodowały na Morzu Północnym. Dlatego zdecydowano o prowadzeniu akcji zrzutowych nad Polskę, z rejonu Morza Śródziemnego, skąd było bliżej do kraju. Postanowiono więc usamodzielnić 301 Polską Eskadrę Zadań Specjalnych i przerzucić ją drogą powietrzną na północnoafrykańskie lotnisko Sidi Amor w Tunisie, dokąd załogi przeleciały na początku listopada 1943 r. Wkrótce polskiej eskadrze nadano nową nazwę: 1586 Polish Special Duties Flight (1586 Polska Eskadra Zadań Specjalnych) i weszła w skład 334 Special Duties Wing (334 Skrzydła do Zadań Specjalnych), ale polskie władze lotnicze, dla podtrzymania tradycji, nadal nazywały jednostkę w swoich pismach służbowych: „301 dywizjonem Ziemi Pomorskiej".

NOWY DOKUMENT ŚWIĘTEJ KONGREGACJI

Nazwą kongregacji określa się najwyższe urzędy działające przy Kurii Rzymskiej (Watykanie) Jedną z ważniejszych jest „Święta Kongregacja do spraw Doktryny Wiary" powołana przez II Sobór Watykański (zwołany przez Jana XXIII), na miejsce „Kongregacji Świętego Officium", znanego potocznie pod nazwą Świętej Inkwizycji instytucji policyjno-sądowej Kościoła do walki z heretykami.

W dniu 6 września br. „Kongregacja ds. Doktryny Wiary" której przewodniczącym („prefektem") jest niemiecki kardynał Józef Ratzinger, opublikowała dokument pt. „Instrukcja dotycząca pewnych aspektów Teologii Wyzwolenia" (a co głosi krytykowana teologia, wynika pośrednio z tekstu watykańskiego dokumentu).

„W obliczu pilności niektórych problemów pewni ludzie ulegają pokusie jednostronnego podkreślania wyzwolenia z niewolnictwa o charakterze ziemskim i czasowym. Czynią oni to w taki sposób, że wydaje się, iż umieszczają wyzwolenie od grzechu na drugim miejscu i w ten sposób udzielają tej kwestii takiej ważności, jaka jej przysługuje. Tak więc samo przedstawienie przez nich problemu jest mętne i dwuznaczne". I dalej:

„Kongregacja ds. Doktryny Wiary nie zamierza zajmować się tutaj rozległym tematem chrześcijańskiej wolności i wyzwolenia jako takim" (...) „Niniejsza instrukcja ma o wiele bardziej ograniczony i precyzyjny cel: zwrócenie uwagi (...) na odchylenia (...) szkodliwe dla wiary i życia chrześcijańskiego, które pojawiają się w konsekwencji pewnych form Teologii Wyzwolenia".

Przyznając więc w ten sposób pierwszeństwo sprawie zbawienia duszy („wyzwolenie od grzechu") w stosunku do wyzwolenia od innych zjawisk negatywnych, w tym także od nędzy najszerszych mas społeczeństwa w wielu krajach kapitalistycznych (które właśnie na pierwszym miejscu stawiają teologowie wyzwolenia), kardynał Ratzinger przyznaje jednak, że **„z jednej strony ludzie nagromadzili niesłychaną obfitość, która się marnuje, podczas gdy z drugiej strony tak wielu ludzi żyje w nędzy, że nie można nawet zliczyć ofiar niedożywienia"** a ponadto **„brak równości i poczucia solidarności w transakcjach międzynarodowych działa na korzyść krajów uprzemysłowionych, tak że przepaść między bogatymi i biednymi wciąż wzrasta. Stąd wywodzi się poczucie frustracji wśród krajów Trzeciego Świata oraz oskarżenie o eksploatację i ekonomiczny kolonializm, wysuwane przeciwko krajom uprzemysłowionym".**

Dokument Ratzingera potępia jednak rewolucję społeczną za którą opowiada się część teologów wyzwolenia i liczne rzesze wiernych w tak-katolickich krajach Ameryki Łacińskiej:

„Dążenie do sprawiedliwości często popada w niewolę ideologii, które (...) proponują środki działania zakładające systematyczne uciekanie się do gwałtu". Analizując następnie problematykę wolności i wyzwolenia w Księgach Starego i Nowego Testamentu, kardynał Ratzinger daje pouczenie, iż **„Bóg jest obrońcą i wyzwolicielem ubogich"**, a nawiązując do **„wybawienia sprowadzonego przez Chrystusa i oferowanego wszystkim"**, ksiądz kardynał wywodzi, że **„Nowy Testament nie wymaga jakiejś zmiany w stanie politycznym czy społecznym jako niezbędnego warunku osiągnięcia wolności"**

Jak bowiem czytamy: **„Nie można umiejscawiać zła przede wszystkim lub wyłącznie w złych społecznych, politycznych czy gospodarczych strukturach"**, ponieważ: **„niezależnie od tego czy są one dobre czy złe, są wynikiem działań człowieka i są tym samym bardziej skutkami niż przyczynami"**. Toteż jak oświadcza w konsekwencji Ratzinger: **„Domaganie się najpierw radykalnej rewolucji w stosunkach społecznych, a następnie krytykowanie dążenia do osobistej doskonałości** (jak to czynią teologowie wyzwolenia — przyp. J.K.) **oznacza wkroczenie na drogę prowadzącą do zaprzeczenia znaczenia osoby i jej transcendencji oraz zniszczenie etyki i jej podstawy".**

Następnie Józef Ratzinger powołuje się na nauki Kościoła w kwestii społecznej i krytykuje duchownych zaangażowanych w polityczną walkę o sprawiedliwość społeczną: **„W obliczu pilności dzielenia chleba niektórych kusi postawienie ewangelizacji jak gdyby w nawiasach i odroczenie jej na jutro: najpierw chleb, później Słowo Pańskie (...) Niektórym wydaje się nawet, że walka o ludzką sprawiedliwość i wolność w sensie gospodarczym i politycznym stanowi całą istotę zbawienia. Dla nich Ewangelia sprowadza się tylko do czysto ziemskiej ewangelii".** Chodzi tu zwłaszcza o tych teologów, którzy, jak pisze Ratzinger: **„rozumują następująco: niemożliwia do tolerowania i wybuchowa sytuacja wymaga skutecznego działania, którego nie można odkładać. Skuteczne działanie zakłada naukową analizę strukturalnych przyczyn ubóstwa (...) marksizm daje obecnie środki przeprowadzenia takiej analizy"**

Marksizm zaś jest zdaniem kardynała, w ten sposób skonstruowany, że **„gdyby np. spróbować wziąć tylko jedną jego część, analizę, trzeba w końcu zaakceptować całą ideologię"**. A tej właśnie ideologii, a zwłaszcza założenia o walce klas Watykan, jak wiadomo, nie akceptuje, uważając ją za sprzeczną z etyką w przeciwieństwie do znacznej części teologów wyzwolenia, licznych biskupów i ogromnych rzesz katolików popierających ruchy rewolucyjne, głównie w krajach Ameryki Łacińskiej.

Oto ułamkowa tylko relacja o obszernym i wielce interesującym dokumencie opublikowanym ostatnio przez „Świętą Kongregację do spraw Doktryny Wiary" potwierdzającym rozszerzanie się wpływów myśli i praktyki marksistowskiej w skali globu.

J. K.

Co to jest teologia wyzwolenia i kto ją głosi

Kontrowersja wokół teologii wyzwolenia nie jest rzeczą nową. Jeśli od paru miesięcy znajduje się na czołówkach gazet, to ze względu na bezpośrednią interwencję Stolicy Apostolskiej. Najpierw doszło 3 września do publikacji dokumentu z podpisem prefekta rzymskiej Kongregacji do spraw Doktryny Wiary kardynała Josepha Ratzingera. Dokument ten nosi tytuł: „Instrukcja w sprawie pewnych aspektów teologii wyzwolenia". Następnie 7 września 1984 r. wezwano do Rzymu brazylijskiego teologa Leonardo Boffa, jednego z najbardziej znanych wyrazicieli tej teologii.

Ojciec Boff jest autorem licznych prac. Jeśli jego książka „Kościół, charyzma i władza" zwróciły uwagę teologów z byłego Sacrum Officium, to dlatego, że ten franciszkanin przedstawia idee, które są przede wszystkim „niebezpieczne" na płaszczyźnie praktycznej. Jego książka — napisana przez erudytę i solidnie uargumentowana — nie jest niczym innym jak analizą krytyczną Kościoła katolickiego, zwłaszcza zaś jego kierowniczych instancji rzymskich. Stawiając znak równości między Watykanem a radziecką partią komunistyczną, ojciec Boff przedstawił Kościół katolicki jako strukturę władzy autokratycznej, piramidalnej i personalnej, wzorowanej na systemie rzymskim i feudalnym, z jakiego sama wyszła. Kościół — uważa on — broni nie tyle władzy boskiej, ile historycznej w jakiej władza ta została wyrażona. „Nie kwestionuje władzy Kościoła — pisze on — ale sposób w jaki władza ta została zorganizowana historycznie po to, aby zdławić wszelką swobodę myśli w łonie Kościoła".

Latynoamerykański front teologii wyzwolenia stanowi rzeczywiście wyzwanie dla władzy kościelnej. Nie tyle na płaszczyźnie idei (niebezpieczeństwo ze strony marksizmu jest najczęściej tylko pretekstem), ile jako krytyka sprawowania władzy przez Kościół. Dla teologów wyzwolenia „miejscem teologicznym w najwyższym tego słowa znaczeniu są prości ludzie albo ubodzy". Enrique Dussel mówi, że teolodzy powinni „uczyć się od biednych", Leonardo Boff głosi potrzebę „Kościoła zrodzonego z ubogich", a Gustavo Guttierez nazwał swą ostatnią książkę „Historyczna władza ubogich".

Polemika jest nie tyle ścieraniem się idei co sporem personalnym. Od ponad 10 lat najbardziej konserwatywne kręgi Ameryki Łacińskiej zgrupowane wokół latynoamerykańskiej rady episkopalnej CELAM kontrolowanej przez Alfonso Lopeza Trujillo, arcybiskupa miasta Medellin, walczą w obronie własnej wizji Kościoła. Udało im się pozyskać pewnych członków kurii. Wyjaśnia to bez wątpienia ostatnią ofensywę rzymską przeciwko teologii wyzwolenia, która wyraża w ostatecznym rachunku walkę o władzę w większym stopniu polityczną niż teologiczną.

RUCH ZRODZONY Z II SOBORU WATYKAŃSKIEGO I LATYNOAMERYKAŃSKIEJ RZECZYWISTOŚCI

Problem teologii wyzwolenia jest tylko widoczną częścią historii — mało zresztą znanej — katolicyzmu latynoamerykańskiego dwu ostatnich dziesięcioleci. Aby zrozumieć o jaką stawkę toczy się obecna debata, trzeba ją usytuować w ewolucji Kościoła Ameryki Łacińskiej po II Soborze Watykańskim.

Biskupi latynoamerykańscy uczestniczyli w dyskusjach soborowych, ale bez specjalnego zwracania na siebie uwagi. To raczej w kuluarach i podczas nieformalnych spotkań można było odczuć ich wpływy. Dwie osobistości odegrały wybitną rolę w zwróceniu uwagi pewnych uczestników tego zgromadzenia na problemy Trzeciego Świata. Chodzi tu o Heldera Camarę, wówczas biskupa pomocniczego Rio de Janerio i sekretarza generalnego brazylijskiego episkopatu oraz Larraaina, wówczas biskupa miasta Talca w Chile, który zmarł w roku 1966. To ten ostatni jako wiceprzewodniczący, a następnie przewodniczący rady episkopatu latynoamerykańskiego nadał owemu organowi łącznikowemu episkopatów kontynentu południowoamerykańskiego impuls wynikający z II Soboru Watykańskiego. Odegrał on decydującą rolę w przygotowaniu konferencji generalnej biskupów latynoamerykańskich (nie należy mylić tej struktury z CELAM), jaka odbyła się w 1968 r. w kolumbijskim mieście Medellin w trzy lata po II Soborze Watykańskim.

W ramach CELAM grupa biskupów najbardziej otwartych na konkretne problemy społeczeństwa, postanowiła odbywać regularne spotkania. Poparli ich młodzi teolodzy, a m.in. niejaki Guttierez. Ich prace doprowadziły do „II Soboru Watykańskiego zastosowanego do sytuacji Ameryki Łacińskiej", a przede wszystkim do zwołania konferencji generalnej biskupów latynoamerykańskich w Medellin, o czym była już mowa. Paweł VI był obecny na posiedzeniu inauguracyjnym. W wyniku tych prac zgromadzenie opracowało wnioski ogłoszone pt. „Kościół w obecnych przemianach Ameryki Łacińskiej w świetle nauk soborowych". „Dokument z Medellin", prawdziwy program pasterskiej odnowy dla tego kontynentu, stał się czymś do czego obowiązkowo odwoływały się wszystkie żywe siły katolicyzmu tego regionu świata.

To, że wnioski z tej konferencji tak nagle zostały wprowadzone w życie, wynika bez wątpienia z wcześniejszego przygotowania terenu przez encykliki socjalne poprzednich lat. Jeśli chodzi o księży i zakonnice, to nastąpił teraz czas rekonwersji. „Inwestuje się" energie pasterskie w ubogich środowiskach miejskich i wiejskich. W kręgach religijnych zaczyna się bardzo poważny kryzys. Pojawiają się już jednak pierwsze owoce tych przemian. Rzeczywistość ludowa, przeżywana w wierze, przybiera rozmiary religijne ludu bożego. Biblia czytana w ubogich kręgach społeczeństwa znakomicie oddaje sytuację i sens Boga prostaczków. W ten sposób zrodził się, a następnie utwierdził ruch „podstawowych wspólnot kościelnych".

Te wspólnoty stały się terenem szczególnej ekspresji religijnej. Stanowiły one również podstawowy element świadomości problemów społecznych, tak np. utraty ziemi przez chłopów albo braku podstawowego wyposażenia dla mieszkańców ubogich przedmieść ośrodków miejskich Ameryki Łacińskiej. Miejscowe władze uważały na ogół, że ten ruch religijny podważa ustalony porządek. Dlatego też już od początku lat siedemdziesiątych zaczęły się represje polityczne.

Widać z tego, że decyzje pasterskie stanowiły pierwsze próby odrodzenia katolicyzmu latynoamerykańskiego. Można je sprowadzić do lapidarnej formuły „przede wszystkim zwrócić uwagę na ubogich". Refleksja teologiczna nastąpiła dopiero później. Najpierw chodziło o weryfikację wartości wyboru dokonanego w ramach misji, jaką przypisuje sobie Kościół. Potem chodziło o zaprowadzenie praktyk chrześcijańskich w środowiskach ubogich zgodnie z biblijnym dziedzictwem tradycji judeo-chrześcijańskiej. Podobnie jak to było w innych epokach życia Kościoła, teolodzy wyzwolenia odwołali się do nauk społecznych, aby wypracować w ten sposób potrzebne im instrumenty analityczne. Oto dlaczego sięgnęli po pewne koncepcje marksistowskie.

Można zastanawiać się, czy obecną polemikę ktoś nie chce w rzeczywistości atakować ruchu podstawowych wspólnot eklezjastycznych ze względu na ich wpływ w najuboższych kręgach społeczeństwa. Od 1972 r. konserwatywne kręgi Kościoła latynoamerykańskiego zaczęły bać się poważnych konsekwencji politycznych, wynikających z tej odnowy. Niepokoiły je także następstwa eklezjastyczne, bo sądzono, że może powstać Kościół bez hierarchii, a nawet przeciwko takiej hierarchii. Reakcja nastąpiła na szczeblu CELAM, która znalazła się pod nowym zarządem i dokonała zmiany kierunku politycznego w cztery lata po konferencji w Medellin.

Lopez Trujillo, wówczas biskup pomocniczy Bogoty, jest głównym autorem tej operacji. Sekretarz generalny, a następnie przewodniczący CELAM aż do ubiegłego roku, to właśnie on od roku 1973 podjął pierwszy atak na teologię wyzwolenia. Jako organizator konferencji generalnej biskupów latynoamerykańskich w Puebli w 1979 r. starał się kontrolować tę konferencję, aby ograniczyć dokonania z Medellin. Próba ta nie powiodła się. Niemniej jednak arcybiskup Lopez uzyskał poparcie pontyfikalnej komisji do spraw Ameryki Łacińskiej. Kiedy na scenie środkowoamerykańskiej pojawiła się sandynistowska Nikaragua, to właśnie on zaproponował usługi CELAM w dziedzinie kształcenia narodowego kleru. Jednakże przedsięwzięcie to nie powiodło się.

GŁÓWNE POSTACIE: LEONARDO BOFF

Urodzony w 1938 r. w brazylijskim mieście Concordia Leonardo Boff odbył studia teologiczne w Brazylii, a potem w Monachium. Wstąpił do zakonu franciszkanów, potem otrzymał święcenia kapłańskie, wreszcie mianowany został profesorem teologii dogmatycznej i systematycznej w Rio de Janerio. Redaktor „REVISTA ECCLESIASTICA BRASILEIRA" i odpowiedzialny za brazylijską edycję międzynarodowego przeglądu „CONCILIUM" ojciec Boff jest członkiem komisji teologicznej brazylijskiej konferencji episkopalnej. Znany przede wszystkim ze swych koncepcji duchowych, jest autorem licznych prac na temat teologii wyzwolenia.

Korzystając z zaufania episkopatu brazylijskiego, Leonardo Boff stał się jednym z głównych myślicieli teologii wyzwolenia w Ameryce Łacińskiej. Odrzuca on dwa główne zarzuty sformułowane przez rzymską Kongregację do spraw Doktryny Wiary wobec teologii wyzwolenia. Chodzi tu o zarzut, iż sprowadza się ona do doczesnej działalności wyzwolicielskiej Chrystusa i o wykorzystanie analiz marksistowskich, jak o tym świadczy poniższy tekst, wyjęty z artykułu, który ukazał się w brazylijskim dzienniku FOHA DE SAO PAULO:

„Teolodzy wyzwolenia w żaden sposób nie zaprzeczają boskiej naturze Chrystusa, ani też odkupicielskiej wartości mszy jako formy aktualizacji ofiary Pana i obecności eucharystycznej. Teolodzy, którzy wykorzystują pewne kategorie tradycji marksistowskiej, zwłaszcza tej pochodzącej od Gramsciego i Althusera, czynią tak wychodząc z analizy konkretnych sytuacji, a zwłaszcza z cierpienia ubogich. Nie chodzi tu wcale o systematyczną i akademicką refleksję na temat marksizmu stojącego w obliczu chrześcijaństwa. Nie interesuje nas zupełnie Marks jako taki".

JOSEPH COMBLIN

Urodzony w 1923 roku w Brukseli Joseph Comblin studiował teologię na uniwersytecie w Louvain otrzymawszy święcenia kapłańskie w 1947 r. Następnie pełnił różne zadania kapłańskie w Ameryce Łacińskiej. W Brazylii przebywał w latach 1958—1962, w Chile od 1962 do 1965, a następnie w instytucie teologicznym w Recife (Brazylia) od 1965 do 1972, kiedy to został wygnany z Brazylii. Od tej pory naucza na uniwersytecie katolickim w Talca (Chile), jak też na uniwersytecie w Louvain. Ojciec Comblin tak oto krytykował ideologię „bezpieczeństwa narodowego" w swej książce „Władza wojskowa w Ameryce Łacińskiej — ideologia bezpieczeństwa narodowego" (1977):

„Chrystus — mówi św. Paweł — to Duch, a Duch, to wolność. Ewangelia jest więc zapowiedzią wolności. Wyzwanie wolności nabiera coraz głębszej treści i jest odnawiane z każdym stuleciem. Z każdym stuleciem zmienia się też treść zwiastowania Ewangelii. W dwudziestym stuleciu, w wieku światowej rewolucji przemysłowej, urbanizacji i skrajnych nacjonalizmów, wyzwolenie nazywa się często rewolucją, a poszukiwanie wolności wymaga rewolucyjnych praktyk. Chrześcijaństwo niczego nie tworzy. Zadowala się ono odtwarzaniem tego, co ludzie stworzyli przed nim i co nadal tworzą. Chrześcijaństwo nie stworzyło żadnej rewolucji. Może jednak odtworzyć wszystkie rewolucje. Między totalitarnymi pokusami leninizmu i faszyzmu z jednej strony a manipulacją „naukami" przez burżuazję z drugiej strony, chrześcijaństwo stara się uratować człowieka. Rola chrześcijan polega na oddaniu głosu i odbudowaniu obecności tym, którzy nigdy nie są uznawani, a więc ubogim, bezimiennym, zepchniętym na margines".

ENRIQUE DUSSEL

Urodzony w 1934 r. w Mendozie (Argentyna) Enrique Dussel odbył studia filozoficzne w w Madrycie i historyczne na Sorbonie, potem uzyskał doktorat z teologii na uniwersytecie we Fryburgu (Szwajcaria). Profesor etyki na autonomicznym uniwersytecie narodowym w Meksyku i historii teologii oraz historii Kościoła latynoamerykańskiego w instytucie teologicznym studiów wyższych (Meksyk). Ojciec Dussel jest przewodniczącym komisji studiów historycznych Kościoła w Ameryce Łacińskiej CECHILA, która zwołała swą pierwszą konferencję na październik 1984.

„Teologie moralne okresu powojennego nie mogły wyjść poza formuły reformistyczne — uważa Enrique Dussel. Akceptuje się system takim jaki jest. Reformuje się go częściowo. Przechodzi się od krytyki kapitalizmu do akceptacji tegoż kapitalizmu, a nawet aż do jego usprawiedliwienia moralnego. W przeciwieństwie do tego chrześcijanie z krajów peryferyjnych kapitalizmu i klasy uciskane tych krajów zostały ogarnięte nieodwracalnym kryzysem. W Ameryce Łacińskiej etyka wyzwolenia polega na udowadnianiu dobroci, heroizmu i świętości praktyk wyzwoleńczych uciskanego ludu w Salwadorze, Gwatemali, Argentynie i Brazylii.

GUSTAVO GUTIERREZ

Urodzony w 1928 roku w Limie (Peru) Gustavo Gutierrez uzyskał dyplom psychologa na uniwersytecie w Louvain i teologa na wydziale teologii uniwersytetu w Lyonie. Doradca Krajowej Unii Studentów Katolickich i profesor uniwersytetu w Limie ogłosił m.in. „Notatki w sprawie teologii wyzwolenia" (1971).

Słusznie czy niesłusznie uważany za założyciela teologii wyzwolenia ojciec Gutierrez stał się przedmiotem „śledztwa" ze strony rzymskiej Kongregacji do spraw Doktryny Wiary, która w marcu 1983 wysłała dokument w 10 punktach na temat teologii Gutierreza na użytek episkopatu peruwiańskiego.

„Ubodzy i ludzie marginesu Ameryki Łacińskiej wierzą, że żyją na „obcej ziemi". Jest to ziemia im wroga, bliska ich śmierci, odległa od ich interesów i stanowiąca instrument tych, którzy ich uciskają, obca ich nadziejom i będąca własnością tych, którzy starają się im narzucić strach. Wypędzeni przez niesprawiedliwe struktury społeczne z ziemi, która w ostatecznym rachunku należy tylko do Boga, biedacy wdzierają się do historii latynoamerykańskiej i dzisiaj starają się odzyskać to co słusznie im się należy. Lud ubogich Ameryki Łacińskiej przestał być konsumentem duchowości, a stał się stopniowo twórcą swoistej postawy chrześcijanina. Proces ten trwa w dalszym ciągu, bowiem lud ten stał się propagandystą własnej historii i pokłada nadzieję w Bogu, że go wyzwoli".

PABLO RICHARD

Urodzony w 1939 r. w Chile Pablo Richard uzyskał maturę filozoficzną w Austrii, potem dyplom teologii w Chile, dyplom Pisma Świętego w Rzymie i doktorat na wydziale socjologii Sorbony. Naucza obecnie teologii w szkole ekumenicznej nauk religijnych na uniwersytecie krajowym w Kostaryce.

„Podstawowe sprzeczności Kościoła latynoamerykańskiego wynikają z przeciwieństwa między tamtejszym chrześcijaństwem i Kościołem jaki rodzi się z ludu — pisze Pablo Richard — Postępowy neokonserwatyzm jest tym prądem politycznym i teologicznym, który stara się odbudować chrześcijaństwo według nowego ducha i wokół nowych tematów, a także postępowych wartości, ale wbrew prawdziwemu ruchowi wyzwoleńczej ewangelizacji, która pod wpływem nauk Chrystusa nawraca i odnawia Kościół. Na nieszczęście w Ameryce Łacińskiej wysokie instancje kościelne takie jak CELAM i niektórzy z ich teologów opowiedzieli się za praktyką chrześcijaństwa postępowego neokonserwatyzmu".
krajowym w Kostaryce.

JON SOBRINO

Urodzony w 1938 r. w hiszpańskim Kraju Basków Jon Sobrino wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w 1956 r. Od tego czasu należy do prowincji środkowoamerykańskiej i zwykle mieszka w Salwadorze. Ukończył filozofię, literaturę i inżynierię na uniwersytecie w Saint Louis (USA). Otrzymał też doktorat z teologii na wydziale katolickim we Frankfurcie w 1975 r.

„Przez świętość rozumiemy szlachetną realizację wiary, nadziei i miłosierdzia, a także tych wartości jakie zawiera w sobie naśladownictwo Chrystusa — uważa Jon Sobrino. — Rozumiemy jako politykę takie działanie, które ma na celu strukturalne przekształcenie społeczeństwa w kierunku Królestwa Bożego, w którym zapewniono by sprawiedliwość biednym i uciskanym i w którym ludzie ci odnaleźliby życie i historyczne ocalenie".

(„LE MONDE")

W kręgu fantastyki

SEWER GANSOWSKI

Dwoje

Pociąg zatrzymał się w ogromnych pierścieniach. Białe dno jednego z wagonów otworzyło się, w drzwiach pojawiły się nogi, a za nimi cały człowiek. Zawisł nad trawą, a potem miękko zeskoczył, przysiadł na piętach, ale zaraz wyprostował się i popatrzył w górę:

— Wszystko w porządku.

— Nie uderzyłeś się? — Zapytał głos.

— Nie, nie, wszystko dobrze — Pomachał ręką. — Dziękuję!

Drzwi i dno zamknęły się. Pociąg ujęty w magnetyczne pierścienie ruszył z miejsca i pomknął jak strzała. Zniknął.

Człowiek odprowadził go wzrokiem i rozejrzał się.

Nad pierścieniami stojącymi na podporach ledwie słyszalnie dźwięczał poranny, rodzący się upał. W zaroślach przydrożnych tu i ówdzie jaśniały liliowe pęki przekwitających późnych bzów.

Było cicho.

— Zapamiętajmy podporę — powiedział człowiek. — Jest tutaj rozdwojony buk, a obok — mrowisko.

Odszedł od filarów, szybko zdjął kurtkę, spodnie i pantofle, zwinął wszystko w kłębek i wsunął w jamę pod krzakiem Był teraz w krótkich obcisłych spodenkach z kieszenią. Nóż tkwił w pochwie u pasa. Człowiek wyciągnął go, popróbował palcem ostrze.

— Aha!

Podniósł rękę i poruszał palcami czując, jak jego ciało wypełnia się świeżym, ciepłym powietrzem.

— No, idziemy.

Dwukrotnie głęboko odetchnął, przykucnął, wyprostował się, potrząsnął głową i poszedł do lasu.

Zobaczył tabliczkę przybitą do palika:

„Nie chodzić po ścieżkach. Park."

Minął słupek, przeszedł pół kilometra po łące i zatrzymał się przy maleńkiej, sięgającej mu do pasa, prościutkiej choince.

— Witaj.

Przykucnął i ostrożnie ją pogłaskał.

— Stoisz, wygrzewasz się, oddychasz.

Przyglądał się jej uważnie. Patrzył jak odrastają od pnia granatowoszare gałązki, jak przymocowane są do gałązek zielone igiełki.

— Dlaczego na tej tutaj masz osiem a nie sześć igiełek? Nie wiesz, tak? Ja też nie wiem. To są przypadki. Ale gdzieś tam, daleko, daleko, one układają się w niezbędność. To jest bardzo daleko. Tak że nie można tego ogarnąć. — Pogładził pień choinki — Mógłbym nadłamać gałązkę. Nie poczułabyś bólu. To już wiemy: wy, rośliny, bólu nie czujecie. Nawet nie dziwicie się, jeśli ktoś was łamie.

Podniósł się i pokiwał choince.

— Jak budować odpoczynek? Tak, jak architekt buduje dom. Ty jeszcze nie jesteś tym, czego mi potrzeba.

Las wysłał mu na spotkanie swoją awangardę — zarośla brzózek. Były już wysokie, a między nimi rosły sosenki. Człowiek wiedział, że na początku choinki będą się chowały w cieniu i nabierały sił, a potem przerosną brzózki i zakryją je.

Potem zaczął się prawdziwy, głuchy las. Olchy, osiny, stuletnie, potężne cedry. Niekiedy teren się obniżał, pod stopami kruchymi dywanami układały się paprocie. A wyżej, na zboczu wzgórza, las ciemniał, stawał się brązowy, sosny przygniatały wszystko stały jak kolumny egipskiej świątyni między ich korzeniami zalegały sprężyste warstwy igliwia A potem w oddali zajaśniał zielono przeźwit. Polana. Człowiek wyszedł na polanę, zatrzymał się, cofnął o krok i zamarł.

— Tak, to rozumiem! — wyszeptał ledwie dosłyszalnie. — To tak jesteś!... Właśnie ciebie mi brakowało.

Nie przeszedł, a jakby przepłynął z miejsca na miejsce — tak lekkie były jego ruchy. Długie szczupłe nogi przesuwały się jedna za drugą, tułów płynął w powietrzu. Był jak przywidzenie i jak symbol lasu — młody koń

Ostrożnie i trwożnie podniósł głowę i popatrzył na człowieka Z miękkich czarnych warg sterczała trawka. Był maści czekoladowo-jabłkowej. Koniec pyska i brzuch miał jaśniejsze, a ogon i grzywa były koloru dymu — białe i czarne pasma. Głowa z wysokim czołem była wyrazista, wąska pierś mocno sklepiona, na nogach o okrągłych kolanach wyraźnie zaznaczały się mocne ścięgna.

— Jakiś ty piękny! — westchnął człowiek z zachwytem. — Takiego jeszcze nie widziałem. Skąd się ty wziąłeś?

Zbliżył się do konia. Koń szarpnął głową.

— No, no,no — powiedział człowiek — Po co się denerwować? To jesteś ty, a to ja. Czego się mamy bać?

Ostrożnie zaczął obchodzić konia od tyłu. Koń stał wbijając w ziemię wszystkie cztery nogi, wyciągnął długą szyję i śledził człowieka wypukłym wilgotnym okiem. Po cienkiej skórze na jego grzbiecie przebiegał dreszcz.

— Zuch! — powiedział człowiek. (Mówił bez przerwy). — Jestem z tyłu, a ty się do mnie nie odwracasz. Zuch! A na przykład zebra dawno już by się odwróciła i zaczęła gryźć. Sam nigdy nie spotkałem ani jednej zebry, ale opowiadano mi że są głupie i gryzą. A wy, konie — nie. Jesteście delikatne. Nigdy się nie odwracacie, kiedy człowiek podchodzi do was z tyłu. Tylko nasłuchujecie i kosicie oczami. Nie lubicie obrażać człowieka podejrzeniami...

Zrobił krąg wokół konia i przystanął o krok od jego pyska.

— No, zawrzyjmy znajomość.

Wyciągnął rękę do konia. Koń zaczął wyciągać szyję.

Wreszcie spotkali się — palce człowieka i miękkie, jedwabiste nozdrza konia Nozdrza zadrżały, pierś konia opadła, westchnął i po tym długim westchnieniu można było pojąć, jak bardzo się denerwował.

Człowiek roześmiał się z ulgą:

— Teraz już wszystko w porządku. Nie warto się było przejmować.

Wyjął z kieszeni marchewkę i zbliżył się końskiego pyska.

— Masz.

Koń ostrożnie ją obwąchał, kilka razy wypuścił powietrze z szerokich nozdrzy i wreszcie chwycił marchewkę wargami.

— Chrup, chrup — powiedział człowiek Delikatnie chwycił za twardą, splątaną grzywę zwisającą na szyi. — Widzę, że znałeś już człowieka, co? — Pociągnął. — No, pójdziemy.

Koń nie poruszył się.

— No i co? Przecież po coś przyszedłeś tutaj do drogi, prawda? Chciałeś spotkać się z człowiekiem. Ze mną lub z jakimś innym. Ja też chciałem się z tobą spotkać.

Wypuścił z ręki grzywę, poszedł w stronę lasu i obejrzał się.

— Na co czekasz?

Koń otrząsnął się lekko, poszedł za nim.

Wyszli z lasu, a człowiek westchnął z radością:

— To właśnie on! Kraj zwierząt!

Słońce stało już wysoko Dzień był jasny. Przed nimi rozciągała się ogromna dolina, gdzieniegdzie porośnięta zagajnikami i zaroślami Daleko w dole wiła się jasna wstęga rzeka, na drugim brzegu piętrzyły się różowe w świetle słońca skały, a jeszcze dalej — w nieskończonym oddaleniu — zamykały horyzont wzgórza, które, wydawało się, drżały w upalnej, niebieskawej mgle.

Nad rzeką ciemniały, przemieszczając się powoli, szare plamy, a człowiek domyślił się, że to stada antylop lub koni. Zdawało mu się nawet, że rozróżnia w oddali długie sylwetki żyraf, ale pomyślał iż pewnie to złudzenie.

Położył rękę na grzbiecie konia.

— Tak Teraz tam pobiegniemy. Do tych niebieskich wzgórz na horyzoncie. Potem miniemy je i podążymy dalej. Rozumiesz, sam chyba byś nigdy tam nie dotarł. Wy, zwierzęta, wolicie żyć na jednym terenie. Nie macie rozbudzonej ciekawości. Ja sam też bym tam nie dobiegł w ciągu dnia. Ale we dwóch — będziemy jak ptaki.

Zmierzył wzrokiem odległość do wielkiego, samotnego drzewa rosnącego po drodze do rzeki. Piętnaście kilometrów Powinni tam dobiec za dwadzieścia minut Tam odpoczną, a potem zrobią jeszcze jeden skok długości trzydziestu kilometrów. A następnie — już do samych wzgórz.

Koń machał ogonem, opędzając się od owadów.

— No spróbujemy — rzekł człowiek. — Przemierzymy te piętnaście kilometrów. — Chwycił za grzywę przy samej szyi i owinął dłoń długą przędzą. — Naprzód!

Koń z radosnym rżeniem wpadł od razu w galop, a człowiek pobiegł obok niego wielkimi susami.

Początkowo nie udawało mu się uchwycić rytmu konia. Ale trawy płynęły na ich spotkanie, a z każdą dziesiątką metrów ruchy człowieka stawały się coraz bardziej płynne i silne.

Myśli biegły w rytm biegu spokojne i proste.

W samochodzie nigdy nie będzie tak dobrze, jak na własnych nogach. Ale musieliśmy najpierw poznać maszynę, żeby to zrozumieć. Radość z posiadania własnego ciała. Poruszać się tak, żeby każdy ruch nie powodował zmęczenia, a na odwrót, dodawał sił...

Zbiegli ze wzniesienia i mknęli teraz po stepie. Człowiek tylko lekko przytrzymywał się grzywy, pomagając jednocześnie koniowi utrzymywać rytm. Biegli razem, a koń, czując wolność płynącą z tej wspólnoty, ciągle przyśpieszał.

Zapachy przelewały się warstwami. To z pobliskiego zagajnika pachniało wilgotnymi, gnijącymi liśćmi, to znów ogarniał ich aromat koniczyny. Łąki zniżały się i podwyższały, i rosło drzewo, które człowiek wyznaczył jako metę.

...Na razie trzeba jeszcze myśleć, jak stąpnąć, jak podać ciało do przodu. Na razie pobolewają jeszcze mięśnie i plecy nie mają właściwej gibkości, ale to przejdzie, nakaz i wykonanie zleją się w jedno...

Szyja konia pod grzywą stała się mokra, pierś i boki pociemniały od potu, z warg spadały płatki piany.

Drzewo zbliżało się. To był stary dąb rosnący w wieńcu leszczyny.

Człowiek i koń przeszli w chód a potem zatrzymali się wyrównując oddech.

— Och, ty! Widzisz, jak przelecieliśmy? Sam nigdy tak nie biegłeś.

Człowiek obejrzał się.

Porośnięte lasem wzniesienie, gdzie się spotkali, odpłynęło w dal, zrównało się z innymi tworząc jedną niebieskawą grzędę.

— Widzisz jak daleko? Pomyśleć tylko, że jeszcze dwieście lat temu ludzie nie biegali obok koni, a sadowili się na nich jak w fotelu. Rozumiesz, dosiadać takich jak ty!... Ale wtedy nie rozumiano jeszcze, co to jest wolność. Myśleli, że to po prostu tak: zmusić się do robienia czegoś niemiłego. Nie wiedzieli, że wolność związana jest z możliwościami fizycznymi. — Człowiek znowu się obejrzał. — Słuchaj, przecież biegliśmy wspaniale prawda?

Koń potrząsał głową, pochrapywał, rozdymając nozdrza. Jego boki gwałtownie unosiły się i opadały. Człowiek odszedł dwa kroki i obejrzał konia.

— Jesteś jeszcze zupełnie młody? Trzy, albo cztery lata. Dlatego twoje ruchy są trochę kanciaste... A zbudowany jesteś świetnie

Rys. Janusz Szymański-Glanc

I silny. Jakby wytoczony z mocnego drzewa. Wytoczyli cię, a potem obleki w miękką, jedwabną skórę. A może to nieprawda? Jesteś po prostu częścią Przyrody, tak?

Koń słuchał starając się zrozumieć. Każdą nową intonację witał innym postawieniem uszu. To podnosił prawe, a opuszczał lewe, to stawiał lewe na sztorc, a prawe kierował w stronę człowieka. Potem zarżał krótko i zaczął grzebać kopytem.

— No, nie bądź taki skromny — powiedział człowiek. — Przecież jest ci przyjemnie. Lubisz komplementy... Stój a co to takiego?

Człowiek i koń zamarli... Węszyli. Napływający wiatr przyniósł zapach krwi.

Koń wyciągnął szyję w stronę zarośli. Po jego grzbiecie przebiegł dreszcz, zarżał i mocno uderzył kopytem w ziemię.

Człowiek rozejrzał się. Na piasku między trawami spostrzegł pięciopalczasty ślad.

— Kotek — szepnął człowiek. (Nagle trochę ochrypł). — Wielki kotek. Tygrys albo leopard. Masz tobie — tygrys w tych stronach!

Zrobiło mu się gorąco. Poczuł, że kropla potu spada mu z brwi.

— No, co zrobimy? — popatrzył na konia.

Koń natychmiast odbił się czterema nogami od ziemi, potem zrobił kilka długich skoków, zatrzymał się, podniósł głowę i zarżał.

— Co, uciekać? Nie, to nie uchodzi. To my powinniśmy go zmusić do ucieczki — tego tygrysa, leoparda, czy kto tam jest.

Człowiek wyciągnął nóż z pochwy, mocno ścisnął rękojeść.

— Najważniejsze — uchwycić jego spojrzenie — szeptał. — On nie może wytrzymać ludzkiego spojrzenia. Wtedy odejdzie. Wyjdzie z zarośli i ucieknie. A ja odgonię go. To będzie wspaniałe.. A jeśli stanie się odwrotnie?

W zaroślach było cicho. Człowiek zrobił dwa kroki do przodu i teraz wraz z zapachem krwi doleciała do niego i woń tego, kto przyniósł w zarośla swoją zdobycz. Ciężka, ostra woń.

— Czyżbyś się nie bał? — szepnął człowiek. — Czyżbyś miał się nie poruszyć i nie wskazać szelestem, gdzie jesteś? Nie jest ci straszno, że podchodzę?

Zrobił jeszcze krok. Zarośla milczały, z trawy poderwał się maleńki ptak. Zapach drapieżnika był coraz silniejszy.

Koń znowu cicho zarżał.

Człowiek nagle wyprostował się.

— A właściwie po co to wszystko? O wiele lepiej będzie odejść. Koń ma rację, a ja jestem dureń.

Zaczął wycofywać się, potem odwrócił się, podbiegł do konia i schował nóż.

— Tak powinno być. Zostawimy tygrysa wraz z jego zdobyczą, wraz z jego ciemną, krwawą problematyką. A może leopard, jeśli to jest leopard. Za pięć minut będziemy pięć kilometrów stąd.

I znowu trawy popłynęły im na spotkanie.

Pędzili dwadzieścia minut, pół godziny godzinę. Człowiek wsłuchiwał się w swoje ciało. Serce biło mocno i równo, płuca pracowały jak miechy. Ale on czekał, kiedy pojawi się coś innego, to szczególne uczucie fizycznego natchnienia, kiedy ważne się stają nie siły mięśni, a rezerwy woli.

I oto przyszło — odczucie pełnej swobody, pełnego panowania nad własnym ciałem. Robił olbrzymie skoki, po dziesięć, dwanaście metrów, płynął nad trawami. Pragnienie i urzeczywistnienie zlały się w jedno, „chcieć" znaczyło „spełnić", stopa wybierając miejsce odbicia ledwie dotykała ziemi, a ciało lekko leciało przez powietrze.

Mknęli teraz przez środek ogromnej czaszy objętej wzgórzami. Pachniało już rzeką. Antylopy pasące się w stadach podnosiły głowy znad trawy, odprowadzały człowieka i konia spojrzeniami.

Człowiek rzucił się na trawę, odwrócił na plecy, rozrzucił ręce i nogi. Podniósł twarz w stronę słońca.

Jak dobrze!

Zamknął oczy, a pod powiekami było jasno od słońca. Otworzył oczy. Zwisająca przed samym nosem trawa przekreślała niebo na dwie połowy, a po trawie gramolił się owad. Odgiął trawę.

A nie wie niebo, jakie jest przepiękne,
A nie wie słońce, że ono jaśnieje...

Wspaniale!

Mocno i równo stuka serce. Czuje się krew przepływającą przez najdrobniejsze żyłki. Czuje się każdy mięsień. Nawet najmniejszy.

Natura... Natura i ja...,

Natura nieświadoma jest wielkości swojej.
I nie wie niebo jakie jest przepiękne,
I nie wie słońce, że ono jaśnieje...

Z czego to?

Popatrzył na konia.

— No, z czego? Nie wiesz? Z Rainisa... Nie wiem, dlaczego przypominają mi się dzisiaj starzy, wielcy poeci. To znaczy, że na serce spływa harmonia. Tak właśnie, mój drogi, budujemy sobie odpoczynek. Kiedy jesteś zmęczony, wołasz na pomoc przyrodę. Przywołujesz wiersze...

Odwrócił się twarzą do trawy.

O, jak dobrze!

I kwiaty, i trzmiele, i trawy, i kłosy,
I lazur, i południowy upał...

— A to skąd? Z Bunina. Słyszysz, zwyczajna wyliczanka: „I kwiaty, i trzmiele, i trawy, i kłosy...". Wyliczanka — a jednak poezja. Dlaczego, mój dobry koniu? Nie wiesz. I ja też nie wiem.

Koniowi zrobiło się nudno.

Pogrzebał kopytem w rumiankach, powąchał, wyciągnął wargi i zaczął je szczypać.

Człowiek znowu przewrócił się na plecy, a potem usiadł.

— Przyjacielu! (Koń podniósł głowę). Słuchaj, dlaczego jest mi tak tu z tobą dobrze?.. Przecież jeszcze się mało znamy. Niewiele mamy ze sobą wspólnego. Ale mimo to zaprzyjaźniliśmy się, prawda? Dlaczego? Odpowiem ci. Dlatego, że właśnie ty mnie naśladujesz. Ja przekazuję ci cechy swego charakteru, a ty je z ochotą przyjmujesz. Wy, zwierzęta, chcecie być blisko człowieka. To rozszerza sferę waszych uczuć...

Poderwał się, już zupełnie wypoczęty, podszedł do konia i chwycił go za uszy.

— Jakie czoło! — Pogłaskał twarde czoło konia, białą gwiazdkę z kosmykiem sierści. — Tutaj jest mózg, a ten mózg myśli. (Dawniej uważaliśmy, że zwierzęta nie mogą się rozwijać, ale teraz wiemy, że to nieprawda). A mimo to ty, koniu, mógłbyś żyć aż do śmierci nie spotkawszy się ze mną. Ale spotkaliśmy się i ileż w tobie urodziło się nowych odczuć!... A we mnie? Też bardzo wiele.. Będziemy teraz się często spotykać. Zaczną tu przyjeżdżać w określone dni, a ty będziesz wychodzić mi na spotkanie, przy drodze. A potem przybiegniesz do mnie do miasta, zapoznam cię z moimi przyjaciółmi, a może z kimś jeszcze. Może nawet zatańczymy razem na stadionie klasyczny „Taniec z koniem". I ktoś będzie patrzył i oklaskiwał cię. A mnie?...

Rozejrzał się znowu.

— Jak pięknie tutaj! Wiesz, opowiem ci pewien sekret. Ale to tylko między nami. — Zaczął mówić prosto w ucho, a koń wzdrygnął się, bo go załaskotało.— Zdarzyło się tak, że w ostatnich czasach bardzo się zmęczyłem. A to zmęczenie skomplikowało moje stosunki z innymi, z ludźmi. Nie rozumiesz? Wtedy powiedzieli mi: „Musisz się odrodzić. Idź i dotknij najprostszych praw natury. Spróbuj zaprzyjaźnić się ze zwierzęciem". A ja nie chciałem słuchać swoich przyjaciół Nie chciałem, nie chciałem, aż wreszcie, kiedy przestali mi to powtarzać, przyszedłem tutaj. Tak. A teraz już zawsze będziemy się z sobą przyjaźnić. Zaraz pobiegniemy dalej zobaczymy co jest za tymi skałami. A wieczorem znajdziemy miejsce na nocleg. Ja usnę w lesie na gałęziach, a ty będziesz chodzić w pobliżu. A rano zawołam cię, ty do mnie przybiegniesz i popędzimy razem dalej. Przejdziemy razem tysiąc kilometrów, schudniemy, staniemy się silniejsi, ja się opalę, mój wzrok stanie się ostrzejszy. A potem pobiegniemy z powrotem i...

Zza drzew, niedaleko od nich, rozległ się trzask łamanych gałęzi. Człowiek i koń obejrzeli się.

Z lasu, krocząc na tylnych łapach wyszedł wielki niedźwiedź, wytrzeszczył ze zdziwieniem małe oczki i otworzył paszczę z żółtymi zębami. W przednich łapach trzymał niezręcznie krzywy pień drzewa.

W tym samym momencie rozległ się głos:

— Co się stało? Co takiego zobaczyłeś?

Z krzewów wyszedł rudobrody mężczyzna w spodenkach, opalony na brąz. Patrzył chwilę na człowieka i konia, a potem podniósł rękę:

— Dzień dobry!

— Dzień dobry.

Poklepał niedźwiedzia po karku:

— No, idź, idź. Dźwigaj.

Zwierzę przyciskając pień do kosmatego brzucha skryło się w zaroślach.

Rudobrody pomachał za nim ręką.

— Jestem obserwatorem. Budujemy tutaj groblę na strumieniu. Niedźwiedź pomaga mi. — Poruszył się. — No, do widzenia. Cieszę się, że was spotkałem.

— Proszę zaczekać — powiedział ten, który był z koniem Zbliżył się do obserwatora. — Proszę mi powiedzieć, czy zna pan tego konia?

Rudobrody obejrzał konia.

Nie. Nigdy go nie widziałem. A co?

— To znaczy że mogę go sam nazwać? Nadać mu imię...

— Oczywiście. — Rudobrody oglądał konia. — Wspaniały koń. Trzylatek. Sam do pana podszedł?

— Nie... To raczej ja do niego. Zobaczyłem go w lesie przy drodze. Może on też czekał na kogoś innego. Czy to się zdarza?

— Gdyby czekał na kogoś innego, to nie poszedłby z panem. Pan tutaj pierwszy raz?

— Pierwszy.

— Na długo?

— Jeszcze nie wiem. Bardzo tu dobrze.

— Niech pan nie zabłądzi. Na północ parki ciągną się tysiącami kilometrów. Umie się pan orientować według gwiazd?

— Nauczyłem się.

— A nożem umie się pan posługiwać?

— Tak, przecież przygotowywałem się.

— Wobec tego wszystko w porządku. Jeśli nie będzie pan umiał wyżywić się, to proszę pamiętać, że dwieście kilometrów stąd w górę rzeki, jest magazyn żywności. Znajdzie go pan w pobliżu progów wodnych, na lewym brzegu.

— Dobrze, dziękuję. — Człowiek, który przyszedł z koniem, uśmiechnął się. — Bardzo dziękuję. Chyba już pójdziemy. Wie pan, dzisiaj chciałbym być z nimi.

Rudobrody kiwnął głową. Znał takie uczucie, kiedy chce się „być z nimi". Wiedział, że nie jest ono wieczne i że przechodzi w inne kiedy chce się być ze wszystkimi.

Z początku człowiek i koń szli. Potem człowiek poczuł, że siły po prostu rozpierają go. Trącił konia:

— Jasny! Masz na imię Jasny. No, biegniemy.

Rzeka została z tyłu. Daleko na horyzoncie rosły góry, a człowiek obliczył, że pod wieczór do nich dotrze.

Przełożył:
MAREK WAWRZKIEWICZ

1

Nagle zastępstwo

Handlowy striptease

Tym razem Jacek A. sam zaczepił mnie na ulicy.

— Cześć! Zawsze mówiłem, że elementarna znajomość ekonomii jest niezbędna w życiu. Żydowskie przysłowie mówi: „Kto żyje bez rachunku, umiera bez łaski" Przeczytałem zupełnie przypadkowo zresztą, twój felieton, w którym zapowiadasz założenie fotoplastykonu. Piszesz tam, że wstęp będzie kosztował dychę, a uczniowie i żołnierze będą płacić połowę. Oświadczam ci w całym autorytecie szacownej nauki, której jestem nie tylko praktykiem, nie tylko propagatorem, nie tylko teoretykiem, ale — i przede wszystkim — wyznawcą, że przy tej cenie biletów wstępu splajtujesz niechybnie i to już w pierwszych miesiącach działalności, które z natury rzeczy, jako miesiące promocyjne będą wymagać większych nakładów.

Jacek A. wyjął z kieszeni podręczny komputerek, westchnął:

— Co ja z tobą mam... Wiesz jaka jest różnica między ekonomistą-teoretykiem takim jak ja nie przymierzając, a księgowym-rachmistrzem? *Taka jak między zoologiem a hodowcą bydła...* Oto na twoich oczach zoolog musi zagrać rolę hodowcy, aby jak na dłoni wykazać ci twoją nieświadomość i lekkomyślność zarazem.

Następnie zaczął naciskać klawisze komputerka, mrucząc pod nosem. Rozróżniałem tylko niektóre słowa: czynsz... podatek obrotowy... energia... płace personelu netto... spłata kredytu... odpisy na fundusz aktywizacji... średnia frekwencja dzienna... wpływy brutto...

Wreszcie zakończył obliczenia:

— Zakładając wysoką dzienną frekwencję, przy przedłużonym czasie pracy w soboty, niedziele i dni świąteczne, przy płacy kasjerki na poziomie średniej krajowej z nadgodzinami i zatrudnieniu elektryka-konserwatora na ryczałcie — zakładając, że jako prywaciarz nie możesz przynosić wstydu klasie społecznej, do której wchodzisz, to znaczy, zarabiasz na poziomie przeciętnego sklepikarza, wychodzi mi, że bilet do twojego fotoplastykonu musi kosztować przeszło pięćdziesiąt złotych. To znów stawia pod znakiem zapytania całość przedsięwzięcia — kto zapłaci pięć dych za to, żeby popatrzeć parę minut na obrazki?

Widzę jednak dla ciebie pewną szansę. Mianowicie fotoplastykon — porno. Na Zachodzie takie firmy egzystują całkiem nieźle...

— Skąd ja wezmę odpowiednie obrazki? Nie mam zielonych na import. Ba, gdybym nawet miał, kto mi da zezwolenie? Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk czy Wydział Handlu? Już to widzę...

To już twoje zmartwienie. Ja ci tylko wskazuję optymalną alternatywę. Na tym kończy się rola eksperta, teraz kolej na ośrodek decyzyjny, którym — w danym przypadku — jesteś ty. Masz do wyboru, plajtę na byle jakich obrazkach, albo fortunę na fotoplastykonowym striptizie. A propos: W twoim pożałowania godnym tekście o wystawie pralek i lodówek popełniasz zasadniczy błąd. Nie znasz się nie tylko na ekonomii, nie znasz się także na psychologii. Stołeczny handel zastosował stary chwyt, znany właśnie w show-bussinesie. Ten chwyt to właśnie striptease. Popatrzeć można, skorzystać — ani ani...

Pozornie striptease powinien być rozrywką najbardziej znienawidzoną, denerwującą, stresującą. Tymczasem, jak dotąd przynajmniej, nie brak chętnych do polizania cukru przez papierek. Ten właśnie chwyt psychologiczny zastosowali stołeczni menedżerowie od handlu. Zorganizowali striptease lodówkowo-pralkowy. Postawmy pytanie zasadnicze: Czy sklepy, w których dokonuje się tej ekspozycji (po angielsku nazywa się to trafniej: exhibition) mają klientów, pardon, widzów? Przypuszczam że mają. Rodzice przyprowadzają tam dzieci, żeby podtrzymać w nich słabnącą wiarę w postęp techniczny i zaufanie do naszego, rodzimego przemysłu. Zakochani przychodzą pomarzyć o swoim przyszłym M-3 wyposażonym w takie niebywałe cuda, emeryci wspominają ciepło niedaleką przeszłość. Jedyny błąd, jaki moim zdaniem popełnił spec od reklamy w SPHW to zaniedbanie opłat za zwiedzanie tej galerii. Bilet choćby i niedrogi, podniosłby prestiż tej galerii i pozytywnie wpłynąłby na frekwencję. W tym miejscu zbliżamy się do moich rozważań o informacyjnej roli pieniądza. Ważną informacją jest cena. Klient nader często gotów jest utożsamiać wysoką cenę jakiegoś produktu czy usługi z wysoką jakością tegoż produktu czy tej usługi. W normalnych stosunkach handlowych, na ustabilizowanym rynku — najogólniej tak jest. Natomiast na rynku rozchwianym i zdezorganizowanym cena nie oznacza nic albo prawie nic. Często jednak zdezorientowany klient o tym nie wie. Zręczna reklama może mu jeszcze bardziej zamącić w głowie...

— Na szczęście — przerwałem — u nas nie ma dobrej reklamy handlowej!

— Na szczęście — dodał Jacek A. W tym widzę szansę dla twego fotoplastykonu. Musisz go reklamować jako kolorowy, trójwymiarowy striptease. W końcu cokolwiek nie byłoby na twoich obrazkach zasada striptease będzie utrzymana...

ANDRZEJ KAROL

2

Felieton pesymistyczny

Zdrożały remonty...

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie znów skreślić kilka słów, bo sporo u mnie nowego, a siostra przełożona — prawdziwe przeciwieństwo tej hetery z „Lotu nad kukułczym gniazdem" — przemyciła mi dziś długopis. Prawdziwy, z wkładem. I to za kilka duserów raptem. A, i wrzuci ten list do skrzynki — przyrzekła. Poczta chyba jeszcze funkcjonuje, więc składam Panu i Czytelnikom najlepsze życzenia świąteczne i w ogóle „smacznego jajka"!..

Rozgościłem się tu na dobre, a po ostatnich, opisanych Panu niespodziankach, nie dam się stąd wyciągnąć nawet wołami. Swojsko w naszej firmie i przytulnie, ja zaś przestałem kopać i w pasy nie trzeba mnie na noc otulać. Zezwolono mi niedawno na spacery po naszym parku. Spotkaliśmy z kolegami kilka dziewczyn. Z sąsiedniego pawilonu. Była Marysia, Antonina, pogwarzyliśmy z tą filutką Sans Gene, tylko Joasia d'Arc czegoś sztywna, nie pije, nie pali, ale może się rozkręci. Mają nową, niczego sobie kobitkę, widać że po raz pierwszy, bo roztrzęsiona taka i ponoć cały czas na prochach uspokajających. Opowiedziała swoją historię, typową zresztą, żaden z nas, recydywistów, nawet by nie mrugnął...

Gdzieś dwa lata temu zorientowała się, że dziwnie wysokie rachunki za energię musi płacić. Obleciała sąsiadów. Wszędzie, jak i u niej, sprzęt typowy: jakaś lodówka, pralnica, telewizor, żelazko. Tamci przeciętnie 300—400 złotych płacą „za prąd", ona — co dwa miesiące ponad tysiąc. Zdenerwowana (jak opowiadała tak jej się ślicznie ręce trzęsły) napisała podanie do zakładu energetycznego z prośbą o kontrolę licznika. Musiała jeszcze dodać do tego oświadczenie, że jeśli tenże będzie w porządku, to za całą operację zapłaci 300 złotych. Podpisała. Jakoś wkrótce po miesiącu przyszedł facet, monter znaczy się, stary licznik zdjął, założył nowy zaplombował, doradził jeszcze by bieżącej raty kobieta nie płaciła bo wkrótce dostanie odpowiedź to po cóż na razie „wyrzucać" pieniądze?

No, i faktycznie, przez kolejny miesiąc nic się nie działo, więc przerażona telefonuje wreszcie do energetyków. A tam urzędniczka na nią z krzykiem! Że będzie kary płacić, jakim prawem zalega z opłatami i chyba jej energię odłączą!!! — Po cholerę pani montera słucha?! — skwitowała swoje wywody i zręcznie rzuciła słuchawkę.

Stasio, co to swojego niesympatycznego kierownika administracji omal żywcem nie zamurował w czasie remontu mieszkania, skrzywił się z niesmakiem. Faktycznie, z nóg to nas ta opowieść nie ścięła. Tym niemniej, dobry chłop widząc, że nowa na samo wspomnienie przygód zaczyna dziwnie dygotać, mały termos wydobył i kubek-zakrętkę solidną porcją „Balticu" napełnił. No i nabrała przygoda z elektrykami jakby rumieńców.

Wystraszona spółdzielczyni zapłaciła zaległą ratę, a wkrótce potem otrzymała sążniste pismo informujące, że jej licznik jest w porządku i jeszcze 300 złotych musi uiścić. Mało tego, któregoś dnia zastała w drzwiach zawiadomienie, że jeśli... nie zapłaci zaległej raty, to jej wyłączą energię. Wzięła coś na uspokojenie i dzwoni do elektrowni. Miała szczęście, to znów była ta uprzejma urzędniczka po drugiej stronie. I jak nie huknie: — Myśli pani, że będziemy tu na jej kwitki czekali?! Trzeba było do nas przyjść, osobiście zawiadomić!

— Ale odcięli pani dopływ prądu? — dopytywał się Stasio, zerkając co rusz do termosu, bo po dwóch kolejkach zaczęło pokazywać się dno.

— No, nie, ale potem bałam się już do nich dzwonić...

— A jak ten nowy licznik? Wolniej się kręci? — podczaszy drążył problem do końca.

— No mówię, że nie chcę dzwonić, bo on w ogóle stoi, tarcza się nie rusza...

Ryknęliśmy zdrowym śmiechem, bo rzeczywiście, na prąd w blokach nie ma mocnych. I dzień z pewnością należałby do udanych, wieczorem byliśmy proszeni dwa pokoje dalej (miała być „Żytnia" i „Soplica"), ale na nieszczęście odwiedziła mnie osobista żona. I ledwiesmy zasiedli po obu stronach tej lady zaczęła lamentować na podwyżkę czynszów. Okazało się, że dostaliśmy i my stosowne pismo i — jak głosi pierwsze zdanie — „urealniono opłaty eksploatacyjne": z 1200 złotych miesięcznie na 2215. Bardzo przyjemnie, o co ta kobita robi raban? Jak wszystko drożeje, łącznie z wodą i śmieciami wywożonymi z osiedli, to i czynsze o tych „parę" procent muszą w górę skoczyć.

— Popatrz, oni tu wyliczają szczegółowo za co musimy więcej płacić — podsunęła mi pismo spółdzielni mieszkaniowej — piszą, że eksploatacja i remonty zdrożały trzykrotnie, z 6 złotych za metr kwadratowy do prawie 18 złotych.

Jakie remonty! Pociemniało mi w oczach ze zgrozy. Przecież od siedmiu lat, kiedy dokonano tak zwanego zasiedlenia, nikt w moim bloku nie widział faceta z pędzlem czy wiadrem farby. Nikt nigdy nie odnawiał korytarza, drzwi wejściowych, nikt nie malował powtórnie balkonów czy okien. Jakie remonty?! A teraz mam miesiąc w miesiąc płacić za nic ponad 1 tysiąc złotych! Dostałem dygotek. A gdy ujrzałem, że skoczyła w górę opłata za dźwig, to cholerne, brudne pudło, o które nikt nie dba, które jeździ jak samo chce i co rusz ze mną w środku blokuje się między piętrami — trzeba było przerwać wizytę. Podobno zacząłem wchodzić na lampę. Wiszącą.

Dziś czuję się trochę lepiej, ale gdy piszę te słowa znów mnie zaczyna brać: ep, ep, ep, ep...

STEFAN ŻYCIOWY

3

Lewym okiem

Róbmy tak dalej!

Przed paroma miesiącami opisałem w felietonie pt. „Instytucjom nie zależy" perypetie ze zdobyciem w Łodzi numeru telefonicznego abonenta w Warszawie. Dyrektor Okręgu Poczty i Telekomunikacji zareagował na ten felieton notatka w naszym piśmie mianowicie:

— napisałem, że książki telefoniczne poszczególnych województw w łódzkich urzędach pocztowych są podarte, niekompletne, nieczytelne; dyrektor Okręgu pisze że faktycznie książki te są podarte, niekompletne i nieczytelne;

— napisałem, że do Biura Numerów w Warszawie nie można się dodzwonić; odpowiedź: faktycznie, ciągle zajęte;

— napisałem, że informatorka w łódzkim biurze numerów informuje źle; odpowiedź: „ciągłe braki kadrowe są zasadniczą przyczyną utrapień opisanych w notatce".

Jedno zdanie w odpowiedzi dyrektora miało pocieszyć abonentów: „w maju 1984 nastąpiła pewna poprawa..."

Poprawa ta jest jednak nadal bardzo niepewna. Znów chciałem dzwonić — tym razem do Olsztyna. W notesie miałem numer abonenta. Nagrany głos z taśmy informuje: „Nie ma takiego numeru". Książka olsztyńska jest w urzędzie, podaje ten sam numer. Informatorka w Biurze Numerów na pytanie, czy coś się nie zmieniło, odpowiada kategorycznie: numer jest dobry, pewnie centrala źle łączy.

Po paru dniach okazało się że numer nie był dobry, bo w Olsztynie już dawno zmieniono wszystkie numery. **Nikt w Łodzi o tym nie wie.** Czy to braki kadrowe zawiniły?

Informator PKS na stacji Łódź—Fabryczna kategorycznie twierdzi, że na trasie do Bełchatowa nie ma przystanku Karczmy. Kombinujemy różne okrężne dojazdy. Po przybyciu na miejsce okazuje się, że przystanek stoi jak wół i można było spokojnie i elegancko dojechać. Informatorowi za trudno było sięgnąć po odpowiedni rozkład jazdy.

Na tym samym dworcu Łódź Fabryczna wielka tablica nad kasami PKP informuje, że pociąg osobowy do Skierniewic o godzinie 7.25 odjeżdża z peronu III. Idę i wsiadam do stojącego tam pociągu. A kuku! To wcale nie ten! Nikomu nie chciało się skorygować wielkiej i przecież nie nasuwającej wątpliwości informacji.

I tak wszędzie, stale, wciąż, na każdym kroku. Na przystanku autobusowym przy ul. Promińskiego róg Milionowej nie ma w ogóle żadnej informacji i klawo. Pewnie chuligani zerwali. To haniebne, zgadzam się. Ale jak długo mamy czekać — my, normalni obywatele — zanim wybryk chuligański zostanie naprawiony? Nigdy już nie będzie informacji? To może wytniimy wszystkie lasy, żeby w nich kłusownicy nie grasowali?

Zgłosiłem w Rejonie Obsługi Mieszkańców, że mam w domu spory przeciek wody i proszę o hydraulika. Specjalny urzędnik długo rysował linijką rubryki w grubym brulionie, potem zapisał mój adres i ustalił dzień i godzinę. Hydraulik nie przyszedł. Po paru interwencjach telefonicznych urzędnik oświadczył, że powinienem postarać się skontaktować z hydraulikiem i bezpośrednio z nim uzgodnić termin. Woda się leje. Nie wiem, gdzie i kiedy „kontaktować się" z hydraulikiem. Nie wiem, po co tam siedzi specjalny urzędnik i do czego służy bloknot porubrykowany brulion.

Jeszcze raz o PKS na stacji Łódź Fabryczna: autobus zajeżdża na stanowisko wyjściowe już z paroma osobami w środku, siedzącymi na naszych numerowanych, wykupionych w kasie, miejscach. Nasze bilety nic ich nie obchodzą — To siadź pan gdzie indziej. Potem każdy siedzi gdzie indziej a znaczna część nie siedzi wcale: stoją w ścisku i czytają swe numerowane bilety zresztą nie wszyscy bo niektórzy nie mają biletów żadnych i też dobrze. Pasażerowie dosiadający na trasie z reguły biletów od kierowcy nie otrzymują, a na zwrócona uwagę spotykają się natychmiast z żywiołowym niechęcią wszystkich pasażerów. — Na głupim papierku mu zależy!.. To podlizywanie się panu kierowcy ma jednak głęboki sens, przecież jak nie zechce, to w ogóle nie zabierze! A kontroli nie spotkałem jeszcze nigdy.

To są małe „utrapienia" jak napisał dyrektor Okręgu Poczt i Telekomunikacji. Ale sumują się w jedną wielką gehennę i owocują naszymi nerwicami! Róbmy tak dalej! Ale pamiętajmy: miejsc w odpowiednich zakładach też nie ma!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Sport

Balony i pieniądze

Słucham rano informacji Tadeusza Sznuka ze Szwajcarii i próbuję sobie wyobrazić zagubione w chmurach balony. Jak trzeba wznieść się wysoko, aby przelecieć nad Alpami? Jakie trzeba mieć umiejętności, aby przewidzieć, na jakich wysokościach i jakie będą wiały wiatry? Jak trafić na te wiatry, aby zaniosły daleko? Jak daleko?

Piszę w poniedziałek rano, 15 października i wiem tylko tyle, że w powietrzu jest jeszcze 6 balonów. W tym dwa polskie. Ponoć radarowi kontrolerzy ruchu powietrznego wiedzą, gdzie są te balony, ale nie chcą powiedzieć. Rzecz bowiem w tym, że załoga balonu po wylądowaniu musi udać się do najbliższego telefonu i zameldować o miejscu lądowania, a to musi też być potwierdzone przez lokalne władze. Poza tym cała emocja sportu balonowego polega na tym, że widzi się start, a później w niepokoju oczekuje już tylko na wiadomość. A wiadomości nie ma. Można się tylko domyślać, że są jeszcze w powietrzu. Ale gdzie?

— Poprzednio też tak było — mówi Tadeusz Sznuk ze Szwajcarii, dając tym do zrozumienia, że skoro też tak było i zwyciężyli, to teraz też mogą zwyciężyć. Ale to tylko cieniutka nitka nadziei, która każe oczyma wyobraźni widzieć kule balonu wysoko w chmurach, a na dole rozłożoną mapę Europy. Może są gdzieś nad Hiszpanią? Czy to możliwe? A może nad Italią? A może... Nic nie wiemy. Radio zapowiedziało, że jak tylko nadejdzie wiadomość od Tadeusza Sznuka ze Szwajcarii, to zaraz ją nadadzą. Więc będę słuchała radia, bo emocjonuje mnie ta walka ludzi z przyrodą, bo podziwiam ludzi, którzy posługując się wiatrem pokonują przestrzeń. Nie pomaga im żaden silnik żadne wymyślne urządzenie, tylko umiejętność wykorzystywania sił przyrody do osiągania swoich celów.

Balon Bena L. Abruzzo i Dewey Reinharda był najnowocześniejszy. Cud techniki i nauki. Taki balon przeleciał nad Atlantykiem nad Pacyfikiem. A tu, w Szwajcarii lądował już jako pierwszy, bo gdzieś był przeciek i zaczął się ulatniać wodór.

Naszym nie dane było dysponować najnowocześniejszą techniką. Udział naszych pilotów balonowych w ogóle stał pod znakiem zapytania. Nie było pieniędzy na zakup gazu, nie było różnych niezbędnych urządzeń. Ale była chęć i wola walki. Potrzeba zamanifestowania, że mimo różnych trudności i niepowodzeń, jakie przeżywa nasz kraj, nie rezygnujemy z udziału w międzynarodowych imprezach, tym bardziej, że potrafimy w tych imprezach przodować, zdobywać laury. Pomogła firma farmaceutyczna z Bazylei, pomógł LOT, pomogli inni i jakoś nasi wystartowali. Są jeszcze w powietrzu. Tyle wiem, gdy to piszę. Kiedy felieton będzie w druku, wszyscy już będziemy wiedzieli, jak zakończył się lot naszych pilotów. Wystartowało ich czterech: Stefan Makne i Jerzy Czerniawski oraz Ireneusz Cieślak i Waldemar Ozga.

Balony cicho lecą nad Europą. Ludzie są sami, wysoko w powietrzu. Niesie ich wiatr. Na ten wiatr trzeba trafić. Sześć balonów jest jeszcze w powietrzu, w tym dwa polskie...

Piękny to sport, ale rzadko mamy możliwość emocjonowania się startem balonów. W zmaganiach o puchar Jemsa Gordona Bennetta Polacy odnosili duże sukcesy. Oby było ich więcej. Piękny to sport. I... czysty. Wiatru nie przekupisz. A ludzi? Ludzie rywalizują między sobą. Tu nie ma punktów, nie ma więc zimnej kalkulacji, co się bardziej opłaca. Każdy chce dolecieć jak najdalej.

Nie słyszałam jeszcze, aby w sporcie balonowym były jakieś afery. O aferach w innych dziedzinach sportu słyszę ciągle. Ostatnio o aferze w sporcie żużlowym. Zawodnicy Unii Leszno ścigali się na żużlowym torze z zawodnikami Stali Rzeszów. Unia Leszno miała już tytuł mistrza w kieszeni. Nawet remis jej wystarczał. Stal Rzeszów groził spadek do II ligi, ale remis dawał jej możliwość pozostania w I lidze. Kiedy więc wynik meczu wyniósł 41:25, zawodnicy Unii Leszno przestali wygrywać i doprowadzili do wyniku remisowego — 45:45. Zawody pokazała telewizja. Pokazała też oburzenie kibiców. Niektórzy wymachiwali przed telewizyjnymi kamerami pieniędzmi, dając do zrozumienia o co tu chodzi, o co była ta niby-gra. Główna Komisja Żużlowa PZMot. pozbawiła Unię Leszno tytułu mistrza Polski na 1984 rok. Za prawomocny wynik uznano 41:25. Stal Rzeszów musiała rozegrać barażowe zawody o pozostanie w I lidze. Wielu zawodnikom odebrano prawo występowania w wyścigach drużynowych, będą mogli tylko startować w indywidualnych mistrzostwach Polski. Nie będą też mogli należeć do kadry narodowej. Również kierownicy drużyn zostali ukarani. Nie mogą pełnić tych funkcji do końca 1985 roku. Uznano, że winę za niby-grę ponoszą też trenerzy obu drużyn.

Decyzja Głównej Komisji Żużlowej PZMot. jest precedensowa. Nikt jeszcze tak szybko nie zareagował na zasygnalizowane i pokazane całej sportowej Polsce niesprawiedliwości. Jest to decyzja odważna.

Kto następny? Kto weźmie przykład?

BOGDA MADEJ

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 40

O tym, jak Kłobuk złoto w chleb zamienił

— A mówiłeś, że tam było złoto — oburzali się ludzie na Kondka, który o odnalezionym przez Zygfryda Malawkę słoiku pierwszy wieść rozniósł po wiosce.

Kondek przykulił się i umknął do domu. To samo uczynił Erwin Kryszczak. Tylko sołtys Jonasz Wątruch czoło wstydowi stawił i tak rzekł:

— Takie kartki na chleb to były jeszcze droższe od złota. Nie naje się człowiek złotem, a chlebem brzuch napełni i życie uratuje. Czy nie zabił to stary Szulc człowieka w lesie dla zwykłej kromki chleba?

Wieczorem Joachim nieoczekiwanie poprosił ojca, aby mu pokazał swoją broń i nauczył się z nią obchodzić. Doktor nie zapytał skąd się w nim wzięła ta ochota, wyjął z szafy strzelbę, położył ją na stole.

— Należała podobno do księcia Reussa — wyjaśnił. — Jest to dubeltówka kurkowa, model włoski Castore z zamkiem bocznym Hollanda. Dobra. Celna. Niezawodna. Rzadko chodzę na polowania, ale lubię mieć oroń w domu, sam nie wiem dlaczego...

Joachim ostrożnie jak smyczka dotknął oksydowanej lufy, a potem stwierdził, że palce pachną mu oliwą. Nigdy nie przypuszczał, że delikatna oliwa do konserwacji broni ma tak przyjemny, przenikliwy zapach i że on mu się może podobać. Zresztą strzelba posiadała przepiękny kształt. Jak dobre skrzypce. I była nadzwyczaj lekka. Także jak dobre skrzypce.

Makuchowa nieco dłużej pozostała tego wieczoru w domu doktora. Zmieniając Joachimowi powleczenie pościeli w jego pokoju na piętrze, tak mu całą sprawę wyłożyła:

— Bałam się o ciebie, Joachimie, bo kowal Malawka to straszny człowiek. Dlatego zatelefonowałam do twego ojca w Trumiejkach. Ale nad tobą czuwa Kłobuk. To on zamienił złoto na stare fotografie i kartki na chleb. Uczynił to dla twojego dobra i dobra innych ludzi.

O tym, że nie należy sądzić kobiety, której miłość zwyciężyła

Rankiem kuchnia w domu doktora wypełniona była chłodem; nie paliło się pod płytą kuchenną, nie krzątała się w niej Makuchowa, przyrządzająca jak co dzień śniadanie. Doktor Niegłowicz wypił tylko szklankę gorącej herbaty, zaparzonej na elektrycznej maszynce i przed wyjazdem do Trumiejek odwiedził dom Makuchów. Gertruda znajdowała się w swojej kuchence, piekła świąteczne ciasto. Jej mąż, Tomasz, siedział przy oknie i smutnie wyglądał na drogę.

— Myślałem, że zachorowałaś — stwierdził doktor.

Gertruda wzruszyła ramionami:

— Takie kobiety jak ja nie chorują. Ale sił mi może zabraknąć. Za trzy dni Wigilia. Dom trzeba posprzątać, podłogi wypastować i wyfroterować, jedzenie odpowiednie przygotować, bo w pierwsze albo w drugie święto zapewne ktoś zajrzy... To już nie na moje siły. Mam swój dom oraz męża, muszę i o niego zadbać.

— Jeśli ci ciężko, najmij kobietę z wioski, żeby ci pomogła. Przecież chyba nie zostawisz mnie i Joachima na łaskę losu. Czy ci kiedyś złe słowo powiedziałem, Gertrudo? Czy kasetkę z pieniędzmi przed tobą zamykałem?

— A właśnie. Stała otworem. Nigdy się nie zainteresowałeś na co wydaję twoje pieniądze. Ani mnie nie pochwaliłeś za oszczędność, ani też nie przyganiłeś za rozrzutność. Za stara jestem i za słaba, żeby dwa domy mieć na głowie.

— Najmij kobietę z wioski.

— Co? Jakiegoś brudasa niechlujs albo co gorsza złodziejkę do domu sprowadzę? Toż u nas wszystko stoi otworem, nawet kasetka z pieniędzmi. Niedoczekanie twoje, Janku, żebym miała coś takiego uczynić.

— To co mam zrobić? — zapytał zniecierpliwiony, patrząc na zegarek.

— Nie udawaj, że nie wiesz, do czego zmierzam. Jest tylko jedna kobieta, do której mam zaufanie, i która mogłaby pomóc. Zaproś do nas na święta pannę Brygidę. Zaproś ją razem z dzieckiem.

— Nie przyjmie zaproszenia — oświadczył. — Jest zbyt dumna. Zresztą nie chcę mieć wobec niej żadnych zobowiązań. Czy pamiętasz, jak mnie nazwała? Powiedziała, że jestem knurem. Myślę również, że i tobie byłoby przykro, gdyby po moim domu krzątała się w święta taka osoba jak Brygida. To kobieta bardzo dumna, przypominam ci to. Nie zechce wejść tylnymi drzwiami, ale od frontu.

— Ech, Janku, Janku — uśmiechnęła się z pobłażliwą wyrozumiałością. — Bywam u niej często. Niewiele już zostało w niej dumy. Czekają ją drugie w jej życiu samotne święta, ponieważ swoim rodzicom nie powiedziała, że ma nieślubne dziecko. To jacyś zamożni gospodarze. Wykształcili ją, brat spłacił jej udział w gospodarstwie pięknym samochodem. Na szczęście dla Brygidy mieszkają daleko i może się nawałem zajęć wymówić od przyjazdu do nich na Boże Narodzenie.

— Nie zaproszę jej — rzekł zdecydowanie. — Nazwała mnie knurem.

To mówiąc opuścił dom Gertrudy i odjechał, wiedząc, że Makuchowa uczyni w tej sprawie po swojemu. Gdy wrócił później niż zazwyczaj, na zaśnieżonym podwórzu stał wspaniały samochód Brygidy, a ona i Joachim rozkładali na śniegu wielki dywan z salonu. Makuchowa zalecała czyszczenie dywanów na śniegu.

Sucho powiedział Brygidzie „dzień dobry" i w kurtce i czapce z borsuka zamknął się w swoim gabinecie lekarskim, który już uprzednio rozkazał wyłączyć ze świątecznego sprzątania.

Po chwili do gabinetu weszła Brygida.

— Dziękuję za zaproszenie mnie z dzieckiem na święta do pańskiego domu, doktorze — powiedziała, rumieniąc się odrobinę. — Przykro mi, że zabrakło panu odwagi, aby przekazać to zaproszenie osobiście, choć był pan w Trumiejkach o kilka kroków od mojego mieszkania. Mimo to przyjęłam zaproszenie, gdyż lubię Gertrudę i lubię pańskiego syna, Joachima. Przyznaję, że czekały mnie smutne, samotne święta.

Doktor zacisnął usta. Odnalazł spojrzeniem oczy Brygidy, ale nie odkrył w nich wyrazu pokory. Gertruda okłamała go: Brygida nie straciła nic ze swej dumy.

— Moje zaproszenie mogło zabrzmieć dwuznacznie, dlatego wolałem, aby przekazała ci je Gertruda — wyjaśnił spokojnie, choć wzbierał w nim gniew. — Wiem, że jestem dla ciebie tylko knurem. Masz o mnie jak najgorszą opinię. Byłem pewien, że odrzuciłabyś moje zaproszenie, gdybym ci je złożył osobiście.

— Naprawdę chciał pan, żebym tutaj spędziła z dzieckiem święta? — zapytała z najwyższym trudem wypowiadając każde słowo, jak gdyby coś ścisnęło jej nagle gardło. Jej wielkie oczy zaszły rosą, z której zaraz miały powstać łzy. Pomyślał, że Gertruda miała jednak rację: niewiele dumy zostało w tej kobiecie. Może tylko trochę, troszeczkę...

— Tak. Chciałem tego — potwierdził to zdanie skinieniem głowy.

— Nie myślę o panu źle, doktorze. Jest pan bardzo dobrym człowiekiem — próbowała mu wytłumaczyć. Ale on przerwał jej stanowczo:

— Ach, to już teraz nie ma żadnego znaczenia. Lepiej weźmy się za swoje zajęcia.

Zrozumiała, że nie chce dłużej rozmawiać o sobie i o niej. Opuściła gabinet, a on wyszedł tuż za nią i skierował się do kuchni, gdzie zastał Gertrudę, która siedziała na stołku i w glinianej misce rozcierała żółtka z cukrem. Prawą stopą kołysała śpiące w wózku dziecko Brygidy.

Był głodny, nie dostrzegł jednak na kuchni nawet śladu obiadu. Poirytowany wyjął z kieszeni paczkę papierosów, ale powstrzymał go karcący głos Gertrudy:

— Chyba nie będziesz palił przy tak małym dziecku? Już lepiej idź do siebie. Joachim przyniesie ci jedzenie. Nie miałyśmy dziś czasu na przyrządzenie obiadu.

Bez słowa opuścił kuchnię, w gabinecie lekarskim usiadł za swoim białym biurkiem. Po chwili wszedł Joachim z tacą pełną kanapek i dzbankiem z herbatą.

— Bywałeś i ty u Brygidy, prawda? — zapytał go niby to obojętnie, lecz przecież słowa zabrzmiały ironicznie.

— Tak — odparł tamten wyzywająco. — Czy to coś złego?

— Nie. Radzę ci jednak, abyś był ostrożny wobec kobiet łagodnych i posłusznych, powolnych mężczyźnie. Ich chęć nieustannego poświęcania się dla mężczyzny narzuca nam słodkie pęta niewoli.

— Czy mówisz o Brygidzie? — zapytał.

Doktor zrobił zdumioną minę:

— Ależ nie, Joachimie. Miałem na myśli Gertrudę.

— Wybacz, ale po raz pierwszy w życiu ci nie wierzę. Mówiłeś o Brygidzie, choć być może także i o Gertrudzie. Co do mnie, na nic się nie zdadzą twoje ostrzeżenia. Ja też będę chyba kiedyś żył wśród takich kobiet.

Co mu pozostało, niż zająć się wyłącznie jedzeniem? Joachim wyszedł, doktor zjadł bez smaku cztery kanapki i wypił szklankę herbaty. Posiedział przy biurku jakiś czas, na próżno usiłując skupić myśli na osobie Justyny, która tak niedawno przecież siedziała tu, w tym samym gabinecie. Nagle wstał od biurka, narzucił na siebie futrzaną kurtkę, włożył czapkę z borsuka i zatrzymał się w drzwiach salonu. Brygida pastowała tam podłogę. Robiła to na klęczkach, wypinając ku niemu swój zad dwuletniej klaczy. Cała podłoga pokryta była cienką warstwą pasty, a on chciał się dostać do kredensu. Stał więc w drzwiach i czekał aż go Brygida zauważy, ale nie dawał jej żadnego znaku swej obecności, tylko z przyjemnością obserwował ruchy jej bioder i ramion. Dostrzegła go nagle, wyprostowała się, poczerwieniała, świadoma, że od długiego czasu bezkarnie taksował ją wzrokiem jak klacz na jarmarku. Chciała mu coś ostro powiedzieć, ukarać za tę bezczelność, on jednak zrobił niewinną minę i poprosił grzecznie:

— Podaj mi, Brygido, butelkę wiśniaku. Jest w kredensie po lewej stronie, na drugiej półce od dołu. Nie chcę się ślizgać po paście.

W milczeniu, na kawałku flaneli, zbliżyła się do kredensu, znalazła butelkę.

— Postanowiłem odwiedzić przyjaciół i napić się z nimi — wyjaśnił, chowając butelkę do kieszeni kurtki.

Gdy odszedł, zanim znowu wzięła się do roboty pomyślała, że dzieje się w niej coś dziwnego. Była oburzona, że ją podpatrywał, a teraz żałowała, że go już nie ma w drzwiach i na nią nie patrzy. „Gertruda chyba ma rację — zastanawiała się — Jestem głupia. Po prostu głupia. Kocham go i chcę, aby mnie obrażał, patrzył na mnie i mnie dotykał, a jednocześnie coś się we mnie sprzeciwia już na samą myśl, że może to robić. Czegóż więc pragnę tak naprawdę? Dlaczego wmawiam w siebie, że każde jego słowo i każde spojrzenie ma tylko jedno na celu: aby mnie upokorzyć i poniżyć. Jak wiele innych, uwierzyłam, głupia, że on musi kobietę najpierw upokorzyć, zanim w nią wejdzie i postanowiłam, ja jedna, przeciwstawić się temu. Po co? Jeśli go kocham, a jemu to jest potrzebne do miłości, to niech mnie upokarza codziennie, co chwila. Nic nie odbierze mi poczucia dumy, że żyję z ukochanym mężczyzną. Nikt nie sądzi kobiety, której miłość zwyciężyła...".

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O tym, że każdy otrzyma to, czego chce, jeśli się będzie o to bardzo starał

Był już zimowy zmierzch. W leśniczówce Biesy Turlej siedział w ciepłej kuchni — w samych kalesonach i podkoszulku. Jego spodnie i kurtka suszyły się nad kuchnią, przy której krzątała się Widłągowa w trochę przykrótkiej spódnicy, odsłaniającej jej grube gołe uda. Dorodna była z niej kobieta — Turlej patrzył na nią z przyjemnością, bawiąc się kartonikiem z kolorową wycinanką.

— Wybieram się na nocne polowanie na dziki. Pójdzie pan ze mną, doktorze? Umówiłem się w lesie z proboszczem Mizererą i komendantem Korejwą.

— Nie. Mam ochotę wypić — oświadczył stawiając na stół butelkę.

— Jednego się napiję. Ale nie więcej. Nie chcę pudłować — przystał Turlej.

Widłągowa postawiła na stole trzy kieliszki. Doktor rozlał wiśniak, roniąc na stół kilka czerwonych kropel. Był zafascynowany zręcznością, z jaką Widłągowa wciskała sobie w stanik to lewą, to prawą pierś.

— Dostał pan zaproszenie od Halinki? — zapytał Turlej, pokazując kartonik z kolorową wycinanką. — Zaprasza mnie na Sylwestra do domu Porwasza. To miłe z jej strony, prawda? Wycinankę zrobił mój synek, a ona nakleiła na kartonik z zaproszeniem. Czy pan potrafi sobie to wyobrazić, doktorze, że, chociaż mieszka z Porwaszem, myśli jednak o mnie i pozostaje mi wierna? Porwasz jest do mnie podobny. Kubek w kubek ja. Dlatego nie mam do niego żalu i pójdę do nich na Sylwestra. A potem, doktorze, przywiozę dużo drewna, porąbię je i ułożę z polan tak wielki stos, że będzie widoczny z okien domu Porwasza. Żona to zobaczy i do mnie wróci, bo gdzie jej będzie lepiej niż u mnie, prawda, pani Widłągowa?

— A pewnie — przytaknęła, wciskając w stanik lewą pierś. — Będzie pan miał dużo owiec. Wełna jest teraz w dobrej cenie.

— Nie dostałem zaproszenia na Sylwestra — zmartwił się doktor.

— To nic. Może Porwasz dostarczy je panu osobiście, a nie przez pocztę — pocieszał go Turlej.

Wypili. Doktor zakorkował butelkę, wsadził ją do kieszeni i przez nocny mrok powędrował do Lubińskiego. Czuł potrzebę, aby zwierzyć się komuś ze swej sytuacji.

Pisarza w domu nie było. Turlej zapomniał go wymienić wśród tych, którzy zamierzali polować na dziki. Właśnie przed chwilą poszedł do lasu, gdzie pod starym dębem umówił się z Mizererą i Korejwą. Pani Basieńka przyjęła doktora z kwaśną miną. Była w gospodarskim fartuchu i zaprosiła gościa do kuchni. Musiała doglądać kaczki w piekarniku.

— Zajrzałam do pana w południe, żeby od Makuchowej pożyczyć żeliwną brytfannę na kaczkę — opowiadała. — A u pana rządzi się Brygida. Co to za pomysł, doktorze? Czy to już nie ma u nas porządnych kobiet?

— Gertruda zaprosiła ją do nas na święta. Dziewczyna jest samotna, żal jej Gertrudzie.

— I pan dał się na to nabrać. Takie jak Brygida nigdy nie bywają samotne. Może na dzień lub dwa, nie dłużej. Gertruda chce ją panu wpakować do łóżka.

— Piękna kobieta, dobry kąsek — stwierdził, gdyż raptem poczuł ochotę, żeby poirytować Basieńkę.

— Rozumiem — przytaknęła chłodno. — Ale to nie będzie kąsek na jeden ząb. Od dawna ją obserwuję. Ona chętnie wejdzie do pańskiego łóżka, ale nie wyjdzie bez krzyków i płaczu.

— Przesada — doktor wyjął z kieszeni butelkę z wiśniakiem.

— Ostrzegam, doktorze! Widziałam, jak ona się zachowuje w pańskim domu. Rozumiem, żeby zjawiła się u pana po cichu, drzwiami od tarasu. Ale ona postawiła swój samochód na środku podwórza, wzięła się za sprzątanie, pastowanie podłóg, trzepanie dywanów. Wyszła do mnie na ganek i pyta: „Słucham panią". Mówię: „Mam sprawę do Gertrudy. Brytfannę chcę pożyczyć". A ta woła w stronę kuchni: „Gertrudo, trzeba pożyczyć brytfannę pani Lubińskiej". I Gertruda wynosi mi brytfannę. Coś takiego, doktorze! Trzeba było widzieć dumną minę Brygidy, słyszeć jej wyniosły ton. I nawet Gertruda jakoś inaczej mi tę brytfannę podała, jakby z łaski. Biedny Joachim...

— Co takiego? — zaniepokoił się doktor.

— Przecież pan ma dziecko, synka, półsierotę. Brygida posiada swoje dziecko. Czyim kosztem będzie je wychowywać i dla kogo dawać to co najlepsze? Dla swego dziecka, czy dla Joachima?

— Joachim jest już mężczyzną.

— Tym bardziej, doktorze. Dorosły syn i młoda macocha. Czy pan wie, na co się pan naraża?

— Joachim przyjeżdża rzadko i tylko na ferie, jeśli już o to chodzi. Od wielu lat żyję sam. Zupełnie sam. Bez odrobiny czyjegoś ciepła.

— Gertruda wystarczająco się panem opiekuje. A tak naprawdę sam to pan dość rzadko bywał. Szczególnie nocą.

— A za dnia?

— Miał pan oddanych przyjaciół. Nepomucena, mnie, Porwasza i innych. Nie brakowało panu towarzystwa. To śmieszne brać sobie na stare lata młodą kobietę z dzieckiem. Jakby mało było w okolicy młodych, powabnych i porządnych dziewcząt.

— Sama pani powiedziała, że jestem stary...

— Tak. Za stary jest pan, żeby brać sobie na stałe młodą i piękną kobietę. Co innego od czasu do czasu. Ciekawam, czy Halina i Porwasz zaproszą na Sylwestra także i Brygidę.

— A gdyby tak, to co?

— Nie jestem pruderyjna, nieślubne dziecko to nic kompromitującego. Ale nawet nie wiadomo, z kim ona je ma.

— Być może ze mną — rzekł.

Zabrał butelkę wiśniaku ze stołu, wcisnął ją do kieszeni i pożegnał panią Basieńkę bez odrobiny serdeczności.

Na dworze rozpanoszył się wiatr. Silne podmuchy podrywały z ziemi zlodowaciałe drobiny śniegu i chłostały nimi po twarzy. Doktorowi ciążyła w kieszeni butelka wiśniaku. Przy furtce w ogrodzeniu domu Porwasza zatrzymał się, a widząc światła na piętrze, już śmiało podszedł do drzwi.

Pani Halina postarała się o drewno. Grzał piec w pokoju od strony drogi, gdzie sypiał synek Turleja, buchał ciepłem piec w dużej pracowni malarza, a nawet płonęły szczapy brzozowe na kominku w pracowni. Porwasz rysował zwierzątka w zeszycie z kolorowymi papierkami, chłopiec zwierzątka wycinał nożyczkami, a pani Halina przyklejała je do kartoników i flamastrem wypisywała zaproszenia na Sylwestra w ich domu.

— Pan, doktorze, dostanie odwet — rozdzwonił się jej śmiech. — A dla Joachima zaproszenie będzie z wiewiórką.

C.D.N.